

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/50

1951

---

500



• «La Culture» • Revue mensuelle •

**Oświadczenie w sprawie nowej emigracji**

R. Palester – **Uwagi o muzyce**

A. Bobkowski – **Pytania dzikich ludzi**

St. Vincenz – **Syrojidy**

ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦  
SPRAWY I TROSKI ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POL-  
SKI ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ KSIĄŻKI ♦ CZYM  
JEST „KULTURA”?



## SPIS RZECZY:

—	<i>Oświadczenie</i> .....	3
	◆	
Roman Palester:	<i>Uwagi o muzyce</i> .....	4
Andrzej Bobkowski:	<i>Pytania dzikich ludzi</i> .....	23
Stanisław Vincenz:	<i>Syrojidy</i> .....	32
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i> .....	44
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Lerski:	<i>Symbioza</i> .....	51
Maria Czapka:	<i>Szkoły i dzieci</i> .....	59
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i> .....	73
SPRAWY KRAJOWE		
S. V.:	<i>Więści ze Lwowa</i> .....	76
Czesław Miłosz:	<i>Do Antoniego Słonimskiego</i> .....	80
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
J. Dołęga-Kowalewski:	<i>Pierwsi polscy łagiernicy</i> .....	89
Wł. Pobóg-Malinowski:	<i>Ostatnie chwile marsz. Śmigłego</i>	100
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Łobodowski:	<i>Tym razem w obronie poetów</i> ..	111
Daniel Halevy:	<i>Wystawa Józefa Czapka</i> ..	120
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Stanisław Gryziewicz:	<i>Wspomnienie o Adamie Rose</i> ..	122
KSIĄŻKI		
N. N.:	<i>Stalin i nowa koncepcja historii</i>	
	<i>Rzymu</i> .....	129
Wit Tarnawski:	<i>Walter 7.65</i> .....	140
CZYM JEST „KULTURA”?		
Jan Chomecki:	<i>Do Zespołu „Kultury”</i> .....	147
—	<i>Nasza odpowiedź</i> .....	155
	◆	
—	<i>Résumé en langue française</i> .....	159

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Grudzień — Décembre 1951

INSTYTUT



LITERACKI



## Noty biograficzne autorów

Józef ŁOBODOWSKI, ur. 18.11.1909 w maj. Porwizki (ziemia Suwalska). Spędza lata 1914-22 w Rosji: Petersburg, Moskwa, Kaukaz, Gruzja, Ukraina. Ukończył szkołę średnią w Lublinie, studia uniwersyteckie w Lublinie i Warszawie. W latach 1932-35 relegowany z Uniwersytetu Lubelskiego z powodów politycznych, szereg spraw sądowych, aresztowań, konfiskat książek, usunięty również z przyczyn politycznych z wojska w czasie odbywania służby wojskowej. Kampania wrześniowa w 10 Brygadzie Kawalerii. Ewakuacja do Francji, potem Hiszpania, więzienie w Figueras. Współpraca z prasą hiszpańską od 1944, współpracuje w audycji polskiej radia madryckiego od 1944 do marca 1951. Pierwszy tom wierszy pt. "Rozmowa z Ojczyzną", wydany w 1935 (drugie wydanie w 1936), w 1936 tom pt. "Demonom Nocy" nagrodzony "nagrodą młodych" Polskiej Akademii Literatury. Przed wojną ukazał się ponadto obszerny tom jego przekładów z poetów rosyjskich pt. "U przyjaciół" (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski). W czasie wojny tom wierszy "Z dymem pożarów", Nicea 1941; po wojnie "Modlitwa na wojnę", Londyn 1946. Po hiszpańsku wydał książki: "Por nuestra libertad y vuestra. Polonia sigue luchando", 1945, oraz "Literaturas eslavas", 1946.

Jerzy LERSKI, ur. 1917 r. we Lwowie, absolwent Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie, magister prawa (Oxford). Obecnie ukończył doktorskie studia z nauk politycznych i historii Stanów Zjednoczonych na jezuitskim Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie.

Oficer artylerii przeciwlotniczej w kampanii wrześniowej w Polsce i w kampanii francuskiej 1940 r. Oficer oświatowy W.P. w Szkocji. Emisariusz (spadochroniarz) Naczelnego Wodza, Rządu R.P. i stronnictw politycznych do Kraju w r. 1943 oraz wysłannik Komendanta A.K., Delegata Rządu i stronnictw podziemnej Jedności Narodowej do Londynu w 1944 r. Sekretarz premiera T. Arciszewskiego, kierownik szkockiej placówki Min. Informacji i Dokumentacji, kierownik Działu Brytyjskiego w Min. Informacji. Redaktor "Polish Fortnightly" w Londynie i "La Pologne" w Paryżu (1948-1949).

Przed wojną współredaktor pism młodzieżowych, m.inn. "Kuznia Młodych" i "Orka na Ugorze". Przewodniczący Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej we Lwowie, członek Rady Naczelnej Stronnictwa Demokratycznego.

Po wojnie jeden z założycieli Polskiego Ruchu Wolnościowego "Niepodległość i Demokracja" (N.I.D.). Obecnie wiceprzewodniczący Amerykańskiego Przedstawicielstwa Rady Politycznej. Wiceprezes Związku Federalistów Polskich w Stanach Zjednoczonych.

Jerzy DOŁĘGA-KOWALEWSKI, ur. 1892, rodem z ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej. Znaczną część swego życia spędził w Rosji, gdzie ukończył za carskich czasów wydział prawny uniwersytetu i służył w armii w czasie I wojny światowej. W Polsce, w okresie międzywojnia, prokurator i adwokat. W jakiś czas po wybuchu tej wojny zesłany przez bolszewików do obozu pracy przymusowej (łagru) w okolicach Krasnojarska na Syberii, wypuszczony stamtąd wskutek "amnestii", został wkrótce osadzony w "Osoboj tiurmie NKWD", skąd wyszedł w październiku 1942.

Działalność pisarska: dramat "Jam jest Miłość", grany na Pohulanec w Wilnie (dyr. L. Kielanowski) 1939; na uchodźstwie — poezje, esaysy, nowele i szkice historyzoficzne po różnych czasopismach ("Wiadomości", "Życie", "Kultura" i in.).

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

## Oświadczenie

Liczne głosy prasy emigracyjnej wywołane tzw. „Sprawą Miłosza”, wśród których nie brak napaści szkalujących, jak artykuł w londyńskich „Wiadomościach” Nr 292 i prób zorganizowania nagonki — zmuszają nas do powtórnego sformułowania poglądu na zagadnienie nowych emigrantów.

W przekonaniu, że w tej sprawie nie jesteśmy odosobnieni zwracamy się do przedstawicieli kultury polskiej na obczyźnie z zaproszeniem złożenia podpisów pod następującym oświadczeniem:

Jesteśmy odcięci od Polski od lat dwunastu. W okresie tym wolność, do której dostęp nie jest nikomu zamknięty na emigracji, przestała istnieć w Polsce. W takich warunkach specjalnie trudno jest oceniać motywy postępowania, intencje, granice odpowiedzialności, zasług i win, a także sumy nadziei i złudzeń, które były motorem postępowania ludzi przybywających do nas z kraju. Nie doceniając miary nacisku i zupełnie innej atmosfery działania, wpada się łatwo w krzywdzące szablony osądów.

Sąd o nowych emigrantach musi być wydany w pierwszym rzędzie na podstawie ich działalności i ich zachowania na emigracji. Stosunek nasz do nich powinien być bez uprzedzenia i gorzkich urazów, lecz pełen życzliwej czujności. Jeżeli nowoprzybyły emigrant współpracował aktywnie z reżimem, mamy prawo oczekiwać od niego, że przedstawi swą sprawę publicznie. Nie mamy jednak prawa domagać się od niego upokarzających „pokajań” na wzór procesów sowieckich. Nie mamy również prawa żądać, by się zdeklarował po stronie jednego z licznych obozów politycznych na emigracji. Posiada on prawo, tak jak każdy uchodźca, do kształtowania sobie własnej opinii, dotyczącej wszystkich zagadnień jak również i naszej działalności i wybrania własnej, zgodnej z jego sumieniem, drogi walki.

Andrzej BOBKOWSKI, Marian BOHUSZ-SZYSZKO, Józef CZAPSKI, Maria CZAPSKA, Tomasz DOBROWOLSKI, Jerzy GIEDROYC, Stanisław GRZYBIEWICZ, Waclaw IWANIUK, Janusz JASIENCZYK, Juliusz MIEROSZEWSKI, K. MOCHLIŃSKI, Jerzy PRADZYŃSKI, Tadeusz ROMER, Michał SAMBOR, Tadeusz SOŁOWIJ, Wit TARNAWSKI, Jan TOKARSKI, Józef URSYN, Melchior WANKOWICZ, Stanisław VINCENZ, Wojciech ZALESKI, Kazimierz ZAMORSKI, Zygmunt ZAREMBA, Józef ŻYWINA.





## Uwagi o muzyce

### CZYLI "PAZYLOGIA" I "WSPÓŁCZESNY APOLLO"

Ten dziwny tytuł zawdzięczać czcigodnym prekursorom owych współczesnych proroków sztuki "społecznej", sztuki, od której wymaga się dziś bezpośredniej i rzeczowej przydatności, sztuki "zaangażowanej". Jakkolwiek bowiem przywykliśmy obfitą i nieustającą dyskusję na temat społecznych rudymen-tów sztuki uważać za objaw raczej kryzysowej natury, to jednak sam problem jest przecież stary jak świat. Różnica polega jedynie na tym, że w owych pięknych, dawniejszych czasach wyciągano pewne wnioski ogólne na podstawie istniejących, znanych dzieł sztuki, podczas gdy dziś jesteśmy świadkami procesu odwrotnego. Coraz częściej pisze się o tym jaką sztuka powinna być i co powinna wyrażać, a coraz rzadziej opiera się te rozważania na analizie dzieł sztuki i tendencji, których są wyrazem.

Rozważając poglądy nowoczesnych apologetów "sztuki społecznej", od Sorel'a i Proudhon'a aż po owych fanatycznych dzisiejszych czcicieli materialistycznego myślenia, nie sposób nie zauważyć, że czysto estetyczna strona ich zainteresowań stoi przeważnie na bardzo niskim a czasem nawet wręcz kompromitującym poziomie. Nie ma powodu aby, mówiąc o tych tak powszechnie dziś uznanych autorytetach, o tych, którzy mądrze i logicznie zapisują Himalaje papieru na tematy dotyczący tego jaka winna być "zdrowa" sztuka, co powinna wyrażać itd., itd., nie wspomnieć ich prekursorów, których opuskuły również stanowią źródła radości dla zwolenników curiosów i ciekawostek.

Stąd "Pazylogia" i stąd ów "Współczesny Apollo".

Autorem pierwszego dzieła<sup>1)</sup> jest De Vismes, dyrektor opery paryskiej w latach 1777-79 i muzyk zapomniany dziś — nie bez słuszności — całkowicie. Ilość argumentów, które przytocza na korzyść tezy zawartej w tytule swego dzieła jest przytaczająca, choć niepotrzebna, bo nikomu chyba nie przyjdzie do głowy wąpić w "powszechność" języka muzycznego... Ale ostatecznie nie to jest ważne. Ważniejszy jest ów prąd "społeczny", tendencje "zbratania" ludzkiego i wiary w lepszą przyszłość świata.

1) Pasiologie, ou de la musique considérée comme langue universelle, par Anne-Pierre-Jacques De Vismes, Paris, 1806.

ta, które De Vismes podzielał z ludźmi swego pokolenia i którym w swej publikacji dał wyraz — w bardzo naiwny zresztą sposób. Te same idee, wyrażone w kilkanaście lat później przez Beethovena z całą potęgą jemu tylko właściwego geniuszu, cechuje jednak również pewna naiwność i sztuczność. Nie potępimy zatem pana De Vismes, podobnie jak nie potępilibyśmy pana Brijon, który w swym nieco wcześniejszym dziele<sup>2)</sup> podaje po prostu całe mnóstwo przykładów do czego muzyka może być użyteczna, zaczawszy od leczenia chorych<sup>3)</sup>, a na polowaniu na hieny skończywszy. To już wkracza w dziedzinę humorystyki, ale w niewiele większym stopniu niż niektóre współczesne nam sformułowania, które, jeśli nie są czystą humorystyką, to tylko dlatego, że zbyt często, niestety, są poparte całym policyjno-organizacyjnym aparatem współczesnego państwa...

Jednym słowem, Zdanow et consortes nie wymyślili "z niczego" całej sprawy publikując ów, tak okrzyczany dziś ukaz na temat konieczności dostosowania muzyki do celów, które odpowiednio wysoko postawiony areopag jej wyznaczył. Zainteresowanie sprawą społecznej wartości sztuki istniało zawsze, ale musieliśmy widocznie dotrzeć dziś do samego dna kryzysu, skoro z taką łatwością powszechnie zaakceptowano odwrócenie całego problemu z kompletnym podeptaniem elementarnej logiki. Takim bowiem odwróceniem jest — podkreślam to raz jeszcze — ustalenie a priori jaką sztukę należy tworzyć i jakich środków technicznych należy do tego celu używać. Nie znamy w przeszłości przykładu, aby ta metoda umożliwiła kiedykolwiek stworzenie istotnie wartościowego dzieła sztuki. Olbrzymia ilość publikacji i wszelakiego gatunku wypowiedzi o sztuce, jaką przekazała nam historia, opierała się zawsze na materiale empirycznym istniejących dzieł sztuki — i to bez względu na konkluzje aprobujące czy reprobujące takie czy inne dzieło, gatunek lub tendencję. Natomiast "planowanie" sztuki — i to w najdrobiazgowszy, bo aż do środków technicznych sięgający sposób — jest jednym z "wielkich", choć nie przynoszących zaiste zaszczytu, wynalazków naszych czasów.

Nie ma to wszystko nic wspólnego z problemem tak zwanej "wolności twórczej". Postulat zupełnej "swobody" artysty i dziwne pojęcia o jego jakoby "kapłańskim" posłannictwie i nieodpowiedzialności są wynalazkiem względnie niedawnych czasów i znalazły swe apogeum w nietzscheańskiej teorii wolności i niezależności jednostki wybitnej. W ten sposób rozumują o sztuce ci, którzy — jak powiedział kiedyś Brzozowski — "swój bezzasadny, niehistoryczny, nieświadomiony żywot

2) C. R. Brijon, l'Apollon moderne, ou le développement intellectuel par le sons de la musique, Lyon 1782.

3) Nie wpadło mi, niestety, nigdy w ręce wielce uczone dzieło, które niejaki dr Schneider wydał w Bonn w roku 1835-ym, a które jest po prostu traktatem na temat walorów medycznych muzyki. Podobno są to cztery grube tomy in 8-vo!



biorą za normę istnienia”, artyści, dla których sfera ich subiektywnego stosunku do tworzonego dzieła nie ma żadnego związku ze sferą podstawowych myśli przewodnich ich epoki i gromady ludzkiej, wśród której żyją. Ci mają na swą jedyną, wątpliwą obronę fakt, że właśnie tak a nie inaczej “czują”. Uważają, że są nosicielami jedynego w swoim rodzaju objawienia, które jest wyłącznie ich udziałem i na tej niezbyt przekonywującej podstawie pragną sięgnąć po “rząd dusz”. Co nie przeszkadza, że za swym parawanem szczerości ukrywają niechęć i pogardę dla “tłumu” i usiłują zachować pełną namiętności postawę wyższości i odosobnienia.

Te “kapiąskie” tendencje artystyczne występują zwykle na jaw w okresach głębszych kryzysów sztuki. Najidealniejszy bowiem czas jedności i uniwersalizmu oraz “pokoju dusz” pewnych posiadania prawdy, jakim było średniowiecze, okres prymatu pierwiastka duchowego, nie znał w ogóle pojęcia “artyści” w sensie, jaki my dziś temu słowu przypisujemy. Ówczesny artysta, daleki od wszelkiego śladu intelektualizmu, był rzemieślnikiem, jego sytuacja społeczna była najdokładniej uregulowana a myślał i czuł podobnie jak i wszyscy inni mieszkańcy jego grodu. Wydaje się, że w historii naszej kultury był to okres najzdrowszego “konsumowania” sztuki, najpowszechniejszego jej przenikania i związania z życiem gromady. Nie jest najważniejsze, że jeden z rzemieślników rzeźbił odrzwia katedry, a inny robił buty. Ważne jest, że ten, który robił buty nie ustępował w niczym tamtemu, “artyście”, wkładając również w swą pracę całą miłość, talent i wyrafinowane kunszt. Muzycy owej epoki byli wyłącznie rzemieślnikami; pojęcie “kompozytora”, muzyka, zajmującego się wyłącznie komponowaniem, nie było znane. Każdy trubadur, a tym bardziej każdy muzyk miejski, dworski czy kościelny był — według naszych dzisiejszych pojęć — wirtuozem instrumentalnym, śpiewakiem, kapelmistrzem a przede wszystkim niezmordowanym kompozytorem, dostarczającym sobie i towarzyszom stale nowego repertuaru. Prócz tego bywali ci muzycy zwykle aktorami, sztukmistrzami, żonglerami, itp.<sup>4</sup>). Podobnie jak w innych gałęziach sztuki, tak i w muzyce skala tematyczna była niezmiernie ograniczona, tworzyło się wyłącznie na zamówienie, a pomimo tego podziwiamy po dziś dzień olbrzymie bogactwo, rozmach, różnorodność oraz potęgę wewnętrzną sztuki tych starych, mądrych rzemieślników, których imion nawet często nie znamy. Siła i trwałość tej sztuki musiała chyba powstawać poza wszelką problematyką wewnętrzną. Wi-

4) Ta tradycja przetrwała niesłuchanie długo. Jeszcze w końcu 18-go wieku Haydn, angażuje się na dwór Esterhazy'ch w roli nie tylko kompozytora i wykonawcy, ale też i “kierownika rozrywek”. Nie musiało to widocznie być bardzo uciążliwe, skoro w okresie pełnienia tych funkcji Haydn napisał kilkadziesiąt symfonii, które stanowią podstawowy zrab jego twórczości i zapewniły mu tak piękne miejsce w historii muzyki.

docznie ci ludzie znali na pewno prawdę, która była prawdą całej gromady i tej prawdzie dawali świadectwo, które przetrwało wieki. Czy to znaczy, że ludzie ówczesni nie znali wątpliwości, które nas dręczą, nie znali załamania, buntu, walki?

Wydaje się, że żadne z tych uczuć nie było im obce, a choćby “Carmina Burana” z jednej strony, a bogata literatura “jarmarczna” z drugiej świadczą o sposobach jakimi ratowali się, kiedy nawiedzała ich owa tajemnicza średniowieczna “acedia”. Ale czy chodziło o akt wiary, czy o akt buntu, artysta był po prostu jednym ze swojej gromady i nie przychodziło mu nawet na myśl, że sztuka jego może służyć wyrażeniu myśli, które nie byłyby myślami pewnej większej społeczności ludzkiej.

W dziedzinie muzyki średniowiecze dało nam podstawowy fundament, na którym zbudowany został z czasem cały późniejszy wspaniały gmach muzyki europejskiej: dało nam średniowieczną muzykę religijną oraz pierwowzory i zaczątki wszystkich dziś używanych instrumentów muzycznych. Średniowieczna muzyka religijna, oparta na chorale gregoriańskim jest punktem wyjścia tego wszystkiego, co dzieje się w dziedzinie muzyki po dziś dzień.

Ten zdrowy, normalny stosunek artysty-rzemieślnika do społeczeństwa, któremu służył, uległ pierwszemu wypaczeniu w okresie renesansu. Pierwsze bowiem próby monodii, muzyki przeznaczonej na pojedyncze głosy śpiewające oparte na akompaniamencie instrumentalnym, posiadają już piętno pewnego arystokratyzmu duchowego i są sztuką subtelną, zrozumiałą i dostępną tylko dla kilku jednostek obznajomionych z kulturą starożytną i środkami technicznymi tragedii greckiej. Rewolucyjna nowość tej sztuki ograniczyła jej zasięg do małego grona wykształconych słuchaczy, a kompozytor z roli skromnego rzemieślnika zaczyna urastać do kategorii “artyści”; jego warstwa socjalna stanie się z czasem powstająca kasta “intelektualistów”.

Na zasadzie monodii i w tęsknocie do wskrzeszenia tragedii greckiej powstaje opera. Metoda akompaniamentu orkiestrowego wzbogaca kolosalnie środki wyrazu muzyki, środki, które poprzednio nie wychodziły poza możliwości śpiewacza głosu ludzkiego. Wobec ogromnych możliwości instrumentalnych język muzyczny zaczyna się stawać coraz trudniejszy, coraz bardziej skomplikowany, a coraz wyższe wymagania stawiane instrumentom wywołują konieczność specjalizacji wykonawców. W ten sposób ramy “powszechności” muzyki zaczynają się nieco zacieśniać i już pod koniec szesnastego wieku powstają “akademie”, poświęcone urzędowaniu płatnych koncertów<sup>5</sup>). Najwybitniejszy twór tego przewrotu — opera — była

5) Poeta Jean-Antoine de Baif stworzył w Paryżu taką “akademię” gdzie zapisani do księgi słuchacze zbierali się raz w tygodniu na płatne koncerty. Ale sytuacja Baif'a była trudniejsza niż dzisiejszych agen-



w początkowej fazie swego rozwoju zmonopolizowana przez dwory panujących i bogatej arystokracji, ale jak wszystkie zdobywcze sztuki renesansowej, jak wszystkie właściwości włoskiego odrodzenia promieniowały na całą Europę, tak i nowy styl muzyczny — choć w tempie o wiele wolniejszym, niż nowe prądy malarskie, architektoniczne czy też literackie — zmienił oblicze muzyki europejskiej. Z upływem lat forma opery zdobywa sobie coraz większą ilość zwolenników, staje się najbardziej wyrafinowaną konwencją artystyczną i, rozrywając ciasne ramy teatrów dworskich, wydostaje się w końcu na teren publicznego, wszystkim dostępnego teatru operowego. W międzyczasie następuje — na mocnych fundamentach najgłębszej potrzeby muzyki wszczepionej psychice niemieckiej przez reformację — w twórczości Buxtehude'go, Hasse'go, Bacha i Händla synteza zewnętrznych znamion stylu włoskiego z głębokim duchem muzyki niemieckiej, która na długi czas przejmie pierwszeństwo w dalszym rozwoju sztuki muzycznej.

Należy zwrócić uwagę, że po chwilowych emancypacyjnych tendencjach u muzyków renesansowych, po okresie ich wyzwolenia z rzemieślniczych, a tak zdrowych serwitutów średniowiecznych, reformacja i kontrreformacja ułożyły nieco "normalniej" stosunek artysty do społeczeństwa. Oczywiście nie zawsze jest to znów ów prosty, skromny i zwyczajnie myślący pracownik, chwalaący Boga za pomocą "interwałów będących dziedzictwem wieków i tajemniczych jak one", ale — ogólnie biorąc — nie znajdujemy u muzyków tego okresu tendencji do uważania swej sztuki za jakiś wyjątkowy dar niebios, który by z obdarzonego talentem czynił "wyższą" istotę. Nawet czysto zewnętrznie "kariera" kompozytora w sensie powszechnego powodzenia, bogactwa i "sytuacji" jest jeszcze w tym okresie rzeczą niezmiernie rzadką.

Ale następuje czas kataklizmów i starć; rewolucja francuska w swoich dalszych perspektywach odda władzę w ręce warstwy mieszczańskiej, której panowanie przybierze w ciągu XIX-go wieku charakter powszechny i której klęską będą dopiero wojny światowe ze swymi następstwami. I nagle, jak za dotknięciem różdżki, rzecz zaczyna się psuć. Wydawało by się nieomal, że to kompozytor traci równowagę wewnętrzną: ideałem staje się postać Beethovena, ostentacyjnie odwróconego od świata i zagniewanego na niego artysty, który w genialny sposób wyraził to co czuje i co myśli subiektywnie, ale który — pierwszy wśród tylu następnych — zdradze wysoko głowę i na swe niepowodzenia u współczesnych odpowie dumnym: "nie rozumiacie mnie". Nic dziwnego — romantyzm wkracza na

tów koncertowych, jak to wnosić można ze statutów, które Karol IX nadał tej akademii w r. 1570-ym, a w których znajdował się punkt następujący: "Quand aucun après avoir ouy un ou deux concerts de l'Académie, auroit regret à son argent, qu'il auroit avancé, luy sera rendu et sera son nom effacé du livre". Dobry zwyczaj i szkoda, że nie utrzymał się w naszej praktyce koncertowej...

arenę z całym weltschmerz'em i ze wszystkimi nieporozumieniami między tymi, dla których najcenniejszym było zachowanie dawnego prymatu spirytualizmu, a resztą społeczeństwa angażującą się — początkowo nieświadomie — na równi pochyłej, która doprowadzi je po stu latach do katastrofy.

Rozumiemy i godzimy się od dawna z faktem, że nie ma w sztuce rewolucji, nie ma nagłych przeskoków, nie ma czyniania "na nowo z niczego"; wszystko w niej jest ewolucją, mozolnym zbieraniem doświadczeń własnych i cudzych; na platformie techniczno-estetycznej nie ma nic śmieszniejszego jak pojęcie prawa autorskiego. Trudno, bardzo trudno jest ocenić ile w dziele sztuki jest z ducha twórcy, ile z innych, poprzedników, mentorów, a ile w końcu z monety obiegowej epoki i wpływów przelotnych. Dlatego właśnie ta nagła diametralna zmiana postawy kompozytorów, której pierwszym wyrazem jest Beethoven była dość nieoczekiwana i dziwna. Muzyka tego okresu żeglowała spokojnie niczym Odyś, aż w końcu niezawinionie oślepienie Polifema uruchomiło cały mechanizm kary, która w ciągu XIX-go wieku potoczyła się jak lawina. Szybująca coraz bardziej "przyziemnie" warstwa panującej burżuazji prowokowała nieustępliwą postawę artystów. Innymi słowy: rozdźwięk powiększał się w miarę postępującej demokracji, która znakomicie poszerzyła obszary kultury, ale która sprzyjała wytworzeniu zbyt ujednostajnionego, zbyt konformistycznego typu człowieka. Człowiek ten "konsumuje" niewątpliwie więcej muzyki niż to miało miejsce kiedykolwiek dawniej — to zasługa tak wydatnie w ciągu XIX-go wieku podwyższonego poziomu kulturalnego. Ale potrzebna mu jest muzyka "ładna", w miarę poważna, nie za głęboka, raczej nieproblematyczna, mile łechtająca nerwy i nie wymagająca zbyt-niego wysiłku i skupienia.

W ciągu czasu, jaki dzieli nas od powstania IX-ej Symfonii rozdźwięk między artystą a szeroką rzeczą "odbierców" muzyki powiększył się do rozmiarów katastrofalnych, zwłaszcza, że muzyka — niezależnie od postawy moralnej artystów zamykających się z konieczności coraz bardziej w wieży odosobnienia — nie stała w miejscu; przeciwnie, z żelazną koniecznością narzuconych sobie praw akustycznych szła naprzód używając coraz bardziej skomplikowanych, coraz bardziej wyrafinowanych środków wyrazu. Nic dziwnego, że nawet niewielka garstka wiernych i "czujących" melomanów miała niekiedy trudności w nadążaniu za rozwojem sztuki muzycznej, idącej naprzód siedmiomilowymi krokami. W pierwszych dwóch dziesięcioleciach naszego stulecia, czyli w okresie powstania tak banalnie zwanego "modernizmu" muzycznego, rozdźwięk doszedł niemal do zenitu, a sama technika muzyczna zdawała się wyczerpywać do dna wszystkie możliwości techniczne owego mądrego, we wczesnym średniowieczu poczętego systemu, któ-



ry był przez tyle wieków podstawową bazą teoretyczną i akustyczną muzyki europejskiej.

Zdaje sobie sprawę, że w powyższych, nieco przydługich wywodach wiele objawów pominąłem, wiele uprościłem, ale zależało mi na stwierdzeniu, że kryzys, który współczesnej nam muzyce przypadł w udziale, nie jest przez nią zawiniony. Widzieliśmy, jak w ciągu długiego czasu narastał proces odpływu odbiorców, wiemy również, że byłoby rzeczą niemożliwą i zgoła śmieszną żądać od muzyków zerwania ogólnej, historycznej linii rozwojowej i zaczęcia budowania na nowo na całkiem nieznanymi przesłankach i całkiem inną techniką i środkami. Przeszłość muzyki obarczyła modernizm licznymi zadaniami i problemami technicznej natury, ona podyktowała współczesnym nam kompozytorom odcinek pracy, który należy wykonać, ona zmusiła niekiedy do rozwiązywania trudności na drodze spekulatywno-dialektycznej i ona sprawiła, że supremacja zagadnień technicznych upodobniła w początkowej fazie obecny okres rozwoju muzyki do okresu kubizmu, który plastyka przeżywała nie bez olbrzymich, trwałych korzyści w niedawnych latach.

Tak więc nawet najprostsze i najbanalniejsze twierdzenie pana De Vismes o powszechności i ogólnej przystępności języka muzycznego nie okazało się wytrzymałe na próbę czasu. Zaiste, "Pazylogia" nie zdała egzaminu i możemy ją śmiało odłożyć do lamusa. Za to, jeśli chodzi o "Apollona Współczesnego", czyli o przydatność muzyki do celów praktycznych, to w tej dziedzinie nasza epoka dostarcza nam zbioru przykładów, wobec których całkowicie błędnie owo polowanie na hieny przy dźwiękach muzyki, tak zalecane przez pocziwego, a pomysłowego pana Brijon.

Twórczość Debussy'ego i Ravela we Francji a Ryszarda Straussa i Mahlera w Niemczech i Austrii stanowiła wyciągnięcie ostatnich, najdalszych konsekwencji z wiekowego rozwoju harmoniki tonalnej. Zresztą już sam Debussy próbował odświeżyć środki techniczne, opierając częściowo swą muzykę na orientalnej gamie całotonowej. Rzecz się przyjęła jedynie na krótko i nie pozostawiła po sobie trwalszych śladów (poza piękną muzyką Debussy'ego), z powodu nieznośnej monotonii akordyki opartej na tej gamie. Jednym słowem, następcy wyżej wspomnianych kompozytorów stanęli wobec konieczności radykalnego odnowienia materiału, w którym przyszło im pracować.

W tym momencie rozpoczynają się perypetie tego gatunku muzyki, który szersze sfery publiczności koncertowej nazywają niebardzo szczęśliwie "modernizmem", a który należy rozważyć zarówno na płaszczyźnie techniczno-muzycznej jak i na tle głębszych powiązań z treścią epoki.

W roku 1911-ym Arnold Schönberg pisze swój kameralny cykl

pieśni "Pierrot-Lunaire"; w dwa lata później pamiętny skandal na premierze "Święta Wiosny" znaczy istotny, głębszy start Igora Strawińskiego. W latach międzywojennych nazwiska Be-li Bartoka i Albana Berga uzupełnią grupę koryfeuszów "modernizmu" muzycznego. Tendencje estetyczne tych kompozytorów są bardzo różne. W dwudziestoleciu między dwiema wojnami Strawiński osiąga dużą popularność i powodzenie, które w tym samym czasie nie stało się udziałem innych przywódców modernizmu.

Postawa Strawińskiego jest skrajnie reakcjonistyczna w stosunku do całego dziewiętnastowiecznego rozwoju muzyki. Obcy i nienawistny jest mu wszelki romantyzm i ekspresja pozamuzyczna. Muzyka jego nie jest środkiem do wyrażania czegokolwiek; jest ona grą napięć wewnątrzno-muzycznych i tylko muzycznych, których celem jest oderwane piękno zespołu dźwięków. Muzykę rozpatruje on jedynie jako "objet d'art", jako przedmiot, w który zaklęta została precyzyjna sztuka autora pewna ilość absolutnego, oderwanego piękna. Stąd w konsekwencji powrót do estetyki owych starych mistrzów-rzemieślników, do klasycyzmu i akademizmu. Oczywiście "akademizm" w sensie tej ze wszech miar zdrowej tendencji do zwięzienia romantycznego rozpędu twórczego do klasycznych, niezmiennych ram materiału i formy. Bo nie brak przecież muzyce Strawińskiego przejmującej siły wyrazu i — czasem — romantycznej rozlewności. Ale wie on doskonale, że oderwana piękność dzieła "klasycznego" powstaje niemal wyłącznie z okiełznania tego, co w nim jest z romantyzmu. Jest to sztuka niesłychanie oszczędnego wyboru wśród nieograniczonej liczby możliwości. Strawiński mówi o tym w następujących słowach<sup>6)</sup>: "...odczuwam rodzaj przerażenia kiedy, zabierając się do pracy i wobec nieskończonej ilości danych możliwości, mam poczucie, że wszystko jest mi dozwolone. Jeśli mogę wszystko, od najlepszego do najgorszego, jeśli nie spotykam znikąd oporu, wszelki wysiłek jest nie do pomyślenia, nie mogę oprzeć się na niczym i stąd całe przedsięwzięcie staje się próżne. Czyż mam zatem zgubić się w tych przepaściach wolności? Na czym mam się oprzeć, aby uchronić się od zawrotu głowy, jakiego doznaję przed samą istotą tego nieskończonego bezmiaru?... Opanowuję mój strach i uspokajam się myślą, że mam do dyspozycji siedem stopni gamy i jej interwały chromatyczne, że mam do wyboru słabe i mocne części taktu i że w ten sposób posiadam solidne i konkretne elementy, które mi dają pole do działania równie wielkie jak wielkim był ów rozległy bezmiar, który mnie przerażał przed chwilą. Na tym polu zapuszczam korzenie, przekonany, że zestawienia na które pozwala dwanaście w każdej oktawie istniejących dźwięków i ich różnorodność rytmiczna daje mi bogactwo, którego nawet cała działalność twórczego ducha ludzkiego nie wyczerpie nig-

6) Igor Strawiński, Poétique musicale, Ed. J. B. Janin.



dy". Na tej świadomości samoograniczenia polega siła Strawińskiego, w niej też leży jego słabość. Podstawa jego działalności bowiem samą siłą reakcji antyromantycznej stała się zachowawcza, klasycystyczna. Zbiega się ona idealnie z postawą wielkich klasyków muzyki 17 i 18-go wieku. Różnica i cała oryginalność Strawińskiego polega na wysubtelnieniu momentu "wyboru" wśród nieskończonej ilości możliwości. Ale ostatecznie wszelka sztuka polega właśnie na tym "wyborze". Świadectwem wielkości Strawińskiego jest fakt, że nieomal zawsze jego "wybór" jest nieomylnie trafny i przekonujący. Na płaszczyźnie historyczno-estetycznej postawa jego jest znacznie słabsza, bo — powtarzam — to, co jest jego siłą osobistą jest równocześnie w pewnym sensie brzemieniem, ciężącym na muzyce jego — tak licznych — epigonów. Im lepsze, im doskonalsze są poszczególne osiągnięcia Strawińskiego, tym trudniej jest roz wiązać młodszym jego następcom zasadnicze zagadnienie odnowienia środków technicznych, które jest koniecznością tych czasów. Zachowawcza, kokieterijnie zwrócona w przeszłość postawa Strawińskiego nie ułatwia tego zdania. Być może, że przyszłość osądzi, że jedyną, ale za to ogromną zasługą jego jest "odpatetyczenie" wyrazu muzycznego, oczyszczenie języka z napuszonych naleciałości wagnerowskich koturnów? Jak się dziś wydaje, premierowa publiczność "Święta Wiosny" protestowała nie tyle przeciw dysonansom i "kakofonii" dzieła, ale właśnie brak wszelkiej sztucznej "powagi" i patosu był dla niej ciosem na który tak ostro zareagowała. Być może, że ta właśnie cecha muzyki Strawińskiego będzie najbardziej podkreślana kiedyś w historii muzyki dzisiejszego okresu.

W przeciwieństwie do Strawińskiego nowość i rewolucyjność Arnolda Schönberga polega nie na tym co wyraża, ale jak wyraża. Ekspresja, przejmujący wyraz jego muzyki łączy go z dziedzictwem 19-go wieku i na płaszczyźnie estetycznej muzyka ta stanowi logiczny dalszy ciąg zarysowanej uprzednio drogi rozwojowej. Rewolucyjny przewrót, jakiego dokonał Schönberg leży w dziedzinie samej techniki muzycznej, w dziedzinie najelementarniejszych podstaw teoretycznych. Dla słuchacza nie jest to oczywiście ważne, dla kompozytora najbardziej podstawowe. Schönberg odrzucił całkowicie wiekowy system "dur-moll" jako definitywnie zużyty, wyczerpany i pierwszy użył w sposób konsekwentny systemu "atonalnego", tj. wyzwolonego z "tyranii" dotychczasowych tonacji<sup>7)</sup>. W systemie Schönberga wszystkie dwanaście dźwięków skali muzycznej posiada tę samą wartość "formotwórczą"; nie ma — jak w dawnym

7) Ponieważ jest niezmiernie trudno wytłumaczyć tę sprawę językiem niefachowym, więc ograniczę się do przypomnienia, że w systemie dur-moll, w ramach poszczególnych gam, niektóre dźwięki posiadały większą wagę, większe znaczenie od innych. Użycie pewnych dźwięków wywoływało konieczność użycia po nich właśnie takich, a nie innych następstw akordowych; w sumie dawało to poczucie owej "tonacji", wspólnej całemu danemu utworowi.

systemie dur-moll — dźwięków "prowadzących" do innych i ustalających w ten sposób poczucie tonalne. Aby uniknąć związania się — choćby przypadkowego — z pewną tonacją, kompozytor musi stosować technikę bardzo specjalną, trudną i pełną szeregu ograniczeń. W związku z tym systemem "dwunastotonowym" powstała olbrzymia literatura — za i przeciw — cała sprawa jest w ogniu gorącej dyskusji i stosunkowo niewielka ilość kompozytorów przejęła tę technikę do stałego stosowania. Brak nam dziś dostatecznej perspektywy, aby ocenić definitywnie samą metodę, ale należy stwierdzić, że jest to jedyny system, który dawnej żelaznej logice konstrukcji tonalnej przeciwstawił nie chaos, nie kompletną abolicję "zakazów", ale równie konsekwentny, logicznie skonstruowany kompleks teorii muzycznej jak i ta, którą posługiwano się uprzednio przez tyle wieków. Niektórzy z uczniów Schönberga stosowali i stosują ten system nie stale, ale jedynie w wypadkach, kiedy im się to wydaje potrzebne i celowe. Tak postąpił np. Alban Berg w swej operze "Wozzeck", która jest jednym z najpiękniejszych utworów napisanych w pierwszej połowie naszego stulecia. Dla nieprzygotowanego słuchacza muzyka pisana techniką "dwunastotonową" wydaje się zewnętrznie pełna dysonansów, ale przecież muzyka Strawińskiego czy Bartoka — którzy nigdy nie używali tego systemu — również wyda mu się chaotyczna i dysonansowa. W istocie rzeczy zaś wszystkie, najostrzejsze nawet dysonanse w tym systemie nie są zdeterminowane subiektywnym sądem autora, któremu się "podobają", ale są najlogiczniejszą konsekwencją podstawowego "szeregu" dźwięków każdego utworu. W tym leży olbrzymia przydatność do celów praktycznych systemu, którego właściwą i definitywną ocenę dać może dopiero dalsza przyszłość.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad próbą oceny roli, jaką odegrali dwaj najwybitniejsi koryfeusze "modernizmu" dlatego, aby móc wyjaśnić raz jeszcze, że powstanie takiego a nie innego stylu muzycznego, że używanie mniej lub więcej ostrych dysonansów nie jest sprawą dowolności, nie jest rezultatem — jak to się zdarza słyszeć — snobizmu czy nieszczerości kompozytora, ale jest logiczną konsekwencją pewnej, niezmiernie dawno rozpoczętej linii rozwojowej, która przed każdym pokoleniem muzyków stawia wciąż nowe i coraz to inne zadania.

W każdej epoce żyją kompozytorzy, którzy nie siłą się wcale na rozwiązanie problemów, jakie ciągnęły rozwój sztuki muzycznej nasuwa do wyeksperymentowania. Powtarzają oni ślepo to, co inni wypróbowali i powiedzieli już przed nimi. Każdy czas ma swoich Griegów, Dworzaków, Sibeliusów czy Puccinich... Udziałem ich bywa powodzenie i sukces, ponieważ nie wymagają od słuchacza żadnego wysiłku. Ale istotny twórca — jak to starałem się wykazać na przykładach Strawińskiego i Schönberga — nie unika problemów, których konieczność rozwiązania narzuca mu jego czas i epoka. Jest to niewątpliwie



droga znacznie trudniejsza, choć jedynie uczciwa. Z reguły zaczyna się ona od mniej lub więcej ostrego nieporozumienia z publicznością. Osamotnienie trwa czasem krótko — jak w wypadku Strawińskiego — a czasem całe życie — tak było z Schönbergiem, który aż do swej niedawnej śmierci nigdy nie zaznał szerszego powodzenia. W niektórych wypadkach — Bartok jest tego świetnym przykładem — kompletny brak powodzenia za życia nagrodzony bywa historycznym sukcesem na drugi dzień po śmierci. Dość dziwne — choć w sumie nieważne — są koleje sukcesu.

Walną pomocą do niezrozumienia tego co się dzieje w muzyce jest zwykle tzw. krytyka muzyczna, czyli proceder polegający na ogłaszaniu kilku oderwanych i przeważnie bezsensownych zdań, zredagowanych zwykle przez muzyków, którym brak talentu nie pozwolił zająć lepszego miejsca w hierarchii życia muzycznego. Czyż mam tu przypominać owe recenzje o IX-iej Symfonii Beethoven'a jako o utworze "bez talentu, zupełnie źle napisanym, co ostatecznie nie szkodzi, ponieważ i tak nikt tej muzyki nie będzie grać"... A wypowiedź ta jest podsygnowana dość znacznym i "poważnym" nazwiskiem. Jeszcze w trzydzieści lat po śmierci Beethoven'a Ludwik Spohr, kompozytor poważny i nie bez talentu nie waha się stwierdzić, że "pozbawiony on jest zupełnie (Beethoven, p. m.) edukacji estetycznej i poczucia piękna". Jakże można brać na serio to co dzisiaj "krytyk" sądzi o muzyce Schönberga, jeśli nie kto inny, jak sam Weber po wysłuchaniu V-iej Symfonii zdecydował, że "Herr Beethoven ist schon reif zum Irrenhaus"...

◆  
Pogłębiający się wciąż kryzys stosunków między kompozytorem a jego publicznością, coraz większe odosobnienie artysty i niezrozumienie jego "konieczności rozwojowych" nie mogły nie spowodować w końcu jakiejś przeciwności. Puste sale na koncertach muzyki modernistycznej i poczucie zupełnej zbyteczności swego istnienia wywołało w latach dwudziestych, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, pierwsze świadome i zorganizowane próby dotarcia nowej muzyki do szerokich warstw słuchaczy. Ruch ten przechodził najrozmaitsze fazy i tendencje i pozostawił po sobie trwałe ślady. Zaczęło się od rzeczy najprostszych, ale i najnaiwniejszych. Cały szereg kompozytorów — w Niemczech przede wszystkim — począł zdecydowanie upraszczać swą technikę wyrazu, zaczęto pisać utwory przesadnie proste, wystartowano olbrzymią produkcją utworów przeznaczonych z góry do takiego czy innego celu wychowawczego przez samych — dość naiwnie rozumujących — autorów. Powstała duża literatura choralna, przeznaczona do "śpiewania przez laików", powstały liczne utwory celowo pisane tak łatwo, aby każdy amator mógł je wygrać bez trudności na skrzypcach czy fortepianie u siebie w domu, napisano

ogromną ilość utworów przeznaczonych do "umuzycznienia" (coż za straszne, a tak rozpowszechnione słowo!) dzieci i młodzieży, którą miano w ten sposób stopniowo wciągać i wprowadzać w skomplikowany świat współczesnej muzyki; ba, pisano nawet całe opery<sup>8)</sup>, które pomyślane były do wykonywania przez amatorskie zespoły laików, niefachowców. Cała ta zbyt naiwna, przesadnie dydaktyczna produkcja posunęła się samym prawem reakcji za daleko w "uproszczeniu" muzyki: w rezultacie często spadała na poziom tzw. lekkiej muzyki, a na tym terenie nie mogła konkurować z jazz'em, który dla ucha "laika" był przyjemniejszy i ciekawszy. Tym niemniej tendencja ta nie pozostała bez znaczenia i pewnej wartości. A najważniejsze, że "postawiła" i zrobiła stale aktualnym sam problem poszerzenia i powiększenia ilości odbiorców muzyki.

W tym samym okresie zaczęło ząbkować radio, które w ciągu następnych lat rozrosło się błyskawicznie do prawdziwie gigantycznych rozmiarów. Przy wszystkich swych wielorakich wadach, nie sposób nie docenić olbrzymiej roli, jaką radio odegrało w dziedzinie rozpowszechnienia muzyki, a muzyki współczesnej w szczególności. Posiadamy już dziś dość materiału statystycznego, aby móc stwierdzić, że w sumie radio — pomimo osłabienia ruchu koncertowego, jakie niewątpliwie spowodowało — pomnożyło wielokrotnie zastępy słuchaczy muzyki i w bardzo znacznym stopniu przyczyniło się do rozwiązania istniejącego kryzysu i spopularyzowania muzyki współczesnej.

W rezultacie w ciągu ostatnich lat trzydziestu rozdźwięk między kompozytorem a słuchaczem zmniejszył się bardzo wydatnie, muzyka "modernistyczna" zdobyła sobie powszechne prawo obywatelstwa, a całe mnóstwo utworów, które jeszcze przed kilkunastu laty były postrachem publiczności, stało się dziś zgoła pewnymi i niezawodnymi podporami programów koncertowych. Szok, jakim przed laty był start pierwszych "modernistów" dawno już minął i meloman dzisiejszy wydaje się doskonale otrząskany z wszystkimi specjalnościami współczesnej kuchni muzycznej. Oczywiście, obraz chwili obecnej daleki jest jeszcze od owego dawnego, idealnego, aproblematicznego ideału kiedy to kompozytor w spokoju i bez wstrząsów wykonywał swą pracę dla dobra całej gromady. Walka o słuchacza istnieje, a skomercjalizowanie, konserwatyzm i utarta rutyna pewnych odcinków życia muzycznego przyczyniają nieraz wiele trudności.

Jednym z wynaturzonych, nieszczęśliwych fenomenów, które wiek 19-ty zostawił nam w spadku, jest też sprawa interpretacji muzyki. Bogaty rozwój techniki instrumentalnej wywołał ową idolatrię, której jesteśmy świadkami, a której nie można przyklasnąć, gdyż jej ksztyty zbyt często, niestety, ponosi sama muzyka. Zamiast bowiem służyć wyłącznie prezentowanemu dziełu i być wiernymi interpretatorami intencji autora,

8) Por. Kurt Weill, "Der Jasager" do tekstu Brechta.



wirtuozi, śpiewacy i kapelmistrze zbyt często dziś stawiają na pierwszym planie pokaz swych własnych umiejętności technicznych. Gatunkiem zupełnie specjalnym i bez najmniejszego precedensu w historii muzyki jest dzisiejszy "kapelmistrz-gwiazda". Strawiński wystawił trafne świadectwo muzykom tego typu. Pisze on: "Muzyka romantyczna rozděła ponad wszelką miarę osobę "Herr Kapellmeister" dając mu wraz z prestiżem podium — które już samo przez się centralizuje na nim uwagę — nieograniczoną władzę nad wszelką muzyką powierzoną jego opiece. Ze swego sybilińskiego trójnoga narzuca on kompozycjom, które dyryguje swoje ruchy, swoje specyficzne "nuanse" i pozwala sobie z naiwnym bezwstydem mówić o swych specjalnościach, o "swojej" siódmej, o "swojej" piątej (mowa o symfoniach Beethovena, p. m.), niczym kucharz zachwalający swe dania... Nic podobnego nie istniało dawniej, w epokach które przecież też znały arrywizm i tyranie wirtuozów, instrumentalistów i primadon, ale które nie cierpiały jeszcze z powodu rozmnożenia się i konkurencji dyrygentów, którzy, nieomal wszyscy, aspirują do roli dyktatorów muzyki".

Istotnie, Bach napisał Pasję św. Mateusza na zespół kameralny i wykonywał ją w 34 osoby, ale dzisiejszy "kapelmistrz-gwiazda" stawia dla tego samego celu na estradzie około tysiąca wykonawców jedynie dlatego, aby pokazać maestrię swego panowania nad tą masą. Przykładów takich można mnożyć w setki, nie mówiąc już o tych mistrzach batuty, którzy dyrygują jedynie te utwory, które się kończą głośno i hucznie, jako że wtedy podobno oklaski są znacznie "cieplejsze" i dłuższe... Ścisłości i uczciwości gwoli wypada nam jednak pamiętać, że nie wszyscy prezentują się w ten sposób i że istniał i istnieje cały szereg wybitnych wirtuozów i kapelmistrzów, którzy dla propagandy muzyki dzisiejszej zrobili bardzo wiele i którzy nieraz narażali swoją karierę i rezygnowali z osobistego sukcesu lansując mniej dostępne czy też mnie efektywne dzieła o większym "ciężarze gatunkowym". Z tym wszystkim zresztą sprawa wykonawców jest problemem raczej drugorzędny i nie tu miejsce, aby go dłużej rozważać.

Czynnikiem, który w ostatnich latach w najpoważniejszym stopniu zaważył na problemie stosunku artystów do społeczeństwa, była nieoczekiwana ingerencja polityki. Stało się to w krajach, które przechodziły, lub jeszcze przechodzą, chorobę totalizmu. Podstawy i urzędnicy państwa totalnego były i są tak szeroko wentylowane i omawiane, że nie ma dziś człowieka, który by nie wiedział, że ingerencja rządu dosięga w tych krajach wszystkich terenów działalności ludzkiej. Jeśli chodzi o muzykę, to wszyscy pamiętają harce Goebbelsa sprzed niewielu lat i wiedzą, czym w tej dziedzinie może się pochlubić Rosja sowiecka. Ponieważ działalność Goebbelsa została w międzyczasie zakończona, wystarczy nam przypomnieć, że twórczość muzyczna niemiecka w czasie jego rządów nie wy-

produkowała ani jednego dzieła większej wagi — w każdym razie, jeśli chodzi o kompozytorów, którzy pozostali w Niemczech i cieszyli się łaskami i poparciem krótkotrwałego régime'u Hitlerowski minister propagandy był też pierwszym wynalazcą muzycznych "list proskrypcyjnych", skazujących "na śmierć" całe mnóstwo utworów. System ten rozwija się w dalszym ciągu w najlepsze w Rosji z tą różnicą, że spisów dzieł "zakazanych" nie publikuje się, jak to naiwnie czynił Goebbels. Ale pomimo wszystkich dewastacji, jakich dokonał hitleryzm, nie należy przeceniać upadku niemieckiej kultury muzycznej, który nie jest tak wielki jak to się niekiedy wydaje i poziom zainteresowań muzycznych publiczności niemieckiej wraca bardzo szybko do dawnej wysokości.

Natomiast sposób, w jaki zabrano się do sprawy w Rosji, jest o wiele groźniejszy — i to nie tylko dlatego, że na razie nie widać upragnionego końca działalności estetyków kremlo-wskich... System sowiecki rozbił dawno ściśle polityczne czy ekonomiczne ramy doktrynalne i podstawowym i elementarnym celem jego stało się całkowite zniszczenie naszej cywilizacji. Zmiany, które bolszewizm wprowadził do stosunków międzyludzkich są tak olbrzymie, że już one same postulują konieczność wytworzenia z czasem nowej, całkowicie odmiennej kultury. Ta idea wydaje się nam często absurdalna, szczególnie kiedy władcy Kremla krzyczą o budowaniu "nowej kultury" na komendę, w ciągu kilku lat, ale tym niemniej sama rzecz istnieje i posuwa się naprzód żywiej niż przypuszczamy.

Jakąż rolę wyznacza się sztuce w budowie tej nowej kultury? Odpowiada na to sam Stalin owymi spokojnymi, obiektywnymi, naspikowanymi żargonem partyjnym frazami, które, przetłumaczone na praktykę dnia codziennego znaczą tragedię, rozpacz i nieszczęście jednostek i całych grup społecznych... Mówi on: "Nadbudowę stwarza baza po to, by jej służyła, by aktywnie pomagała jej ukształtować się i utrwalić, by aktywnie walczyła o likwidację starej bazy, zbliżającej się do kresu swego życia wraz z jej dawną nadbudową. Wystarczy tylko, by nadbudowa wyrzekła się tej swej służebnej roli, wystarczy tylko, by przeszła z pozycji czynnej obrony swej bazy na pozycje obojętnego stosunku do niej, na pozycje traktowania na równi poszczególnych klas — aby utraciła ona swoją jakość i przestała być nadbudową. Można i należy zniszczyć dawną nadbudowę i zastąpić ją nową w ciągu kilku lat, by stworzyć pole dla rozwoju sił twórczych społeczeństwa".

Co niejaka pani Lissa, tym razem polski spec od katowania dusz, tak tłumaczy na język konkretny: "W słowach tych, ujmujących najgłębszą podstawę procesów przemian w ideologii, a więc i w sztuce — odnajdujemy wyjaśnienie tego wszystkiego, co zachodzi w muzyce radzieckiej. Odnajdujemy... sens walki, jaka się w jej ramach toczyła i toczy, a także sens konfliktów w naszej muzyce, z takim trudem przechodzącej



na nowe ideologiczne pozycje. Bo cała walka, jaka się toczyła dawniej w muzyce radzieckiej, a dziś w tak ostrej formie ujawnia się i w naszej muzyce, nie jest niczym innym, jak właśnie walką ideologiczną, walką klasową. Walka o zachowanie środków wyrazu w muzyce, wykształconych w ostatniej fazie kapitalizmu, względnie walka przeciw nim, to właśnie nic innego, jak odbicie walki klasowej, walki dnia dzisiejszego, na odcinku muzycznym. Bo walka przeciw, czy za starymi środkami muzyki, to walka przeciw czy za starą funkcją muzyki, starymi założeniami estetyki, z których ona wyrastała, a dalej idąc: walka o stare założenia filozoficzne, światopoglądowe i formy bytu, z których one właśnie wyrosły. Względnie walka przeciw tym wszystkim ogniwom jednolitego łańcucha: przeciw środkom, przeciw treściom, przeciw założeniom estetycznym, przeciw filozofii, przeciw formom ustrojowym epoki, która już na naszych oczach upada, mija, kończy się<sup>9)</sup>.

Jednym słowem, zadanie, jakie ci nowocześni prorocy wyznaczają muzyce jest nader konkretnej natury; jest ono trudne przez samą swą nowość, przez brak precedensów i wyznacza sztuce muzycznej funkcje tak dalece utylitarne i banalne, że chyba sam pan Brijon, autor "Współczesnego Apollona" zdziwiłby się niepomierne. Inne zaiste zadania społeczne wyznaczał kiedyś muzyce Platon i całkowicie inny był dawny, średniowieczny porządek rzeczy. Wtedy bowiem rola kompozytora polegała na wypowiedaniu tendencji i myśli swego społeczeństwa dlatego, że czuł, myślał, przeżywał i reagował tak samo, jak szczerze i bez przymusu czuli i reagowali wszyscy z jego gromady. W systemie sowieckim artysta jedynie pozornie wypowiada "tendencje" swego narodu i swych współczesnych. Jest on wszystkimi środkami — nacisku policyjnego i przekupstwa, biciem i głaskaniem — zmuszany do stanięcia u boku owej cieniutkiej warstwy rządzącej, która narzuca mu stanowisko pełne fałszu i kłamstwa wewnętrznego, stanowisko, które nie wyraża ani jego własnego przeżycia, ani nie jest wyrazem myśli, krążących w otaczającym go społeczeństwie. Ten podstawowy fałsz wychodzi na wierzch przy każdej okazji, bije w oczy — a nas, muzyków, w uszy — ilekroć przychodzi nam skonfrontować się z "osiągnięciami" sztuki "soc-realistycznej". Z przykrością obserwujemy potworne łamańce estetyczne, do których zmusza się utalentowanych skądinąd kompozytorów rosyjskich, z których wielu zasłużyło na lepszy los, z żalem wspominamy niektóre utwory, które, napisane przed kilku laty i "dozwolone" wówczas do grania, zostały już dziś surowo "zakazane" i wycofane z obiegu. Widocznie w międzyczasie nastąpiło przemeblowanie "nadbudowy" lub może nawet zmiana "bazy"? Poza zdecydowaną szmirą, którą się urzędowo ochra-

nia i której się broni, nie ma ani jednego poważniejszego utworu rosyjskiego ostatniego okresu, który by wytrzymał próbę kilkunastu lat. Zawsze w końcu okazuje się, że albo utwór nie jest dość "klasowy", albo "usypia czujność", albo wyraża "treści, niezgodne z epoką"... Czytelnik łatwo domysli się, że są to wszystko pojęcia, które na terenie muzyki nie mają w ogóle żadnego pokrycia, sąd zatem w każdym wypadku jest najzupełniej arbitralny i dowolny.

Jakaż więc jest — na kryzysowym tle tendencji ogólnych i diametralnych sprzeczności chwili — sytuacja obecna w muzyce, a w szczególności w twórczości średniego pokolenia kompozytorów, następców Strawińskiego, Schönberga czy Bartoka?

Dla sumarycznej choćby oceny tej sytuacji należy mieć stale w pamięci fakt dość zasadniczy: to, co pozostało dziś z dawnej jedności europejskiej, a co w dziedzinie kultury i sztuki jest nazywotniejsze i najbardziej świeże i twórcze, otoczone jest z jednej strony ogromną połacią świata zsovietyzowanego, którego sztuka, całkowicie odcięta i szczerze odgraniczona od Europy zamiera w kleszczach bezdusznego systemu z drugiej zaś strony poddane pewnemu nie zawsze szczęśliwemu, ciśnieniu coraz bardziej wyodrębniającej się, w naszych oczach powstającej kultury amerykańskiej.

Jeśli prawdą jest że sztuka wystawia świadectwo swym czasom i swojej epoce, że wyraża bez reszty dążenia i myśli przewodnie współczesnego pokolenia, to najprościej chyba będzie zatrzymać się chwilę na rozważeniu kilku dzieł powstałych w ostatnich latach, a reprezentujących najbardziej odrębności tych trzech światów. Weźmy zatem trzy utwory, wszystkie napisane już po wojnie: oratorium czołowego kompozytora Szostakowicza pt. "Pieśń lasu", operę (a raczej, jak chce autor, "dramat muzyczny"), "Konsul" amerykańskiego kompozytora Menotti'ego, oraz operę "Il Prigioniero" Włocha Luigi Dallapiccola, co do którego europejska opinia muzyczna jest zgodna, że zajmie prawdopodobnie w niedługich latach wcale piękne miejsce w naszej muzyce.

Niezmiernie charakterystyczne jest, że z tych trzech dzieł jedynie opera Dallapiccoli napisana jest "dzisiejszym" językiem muzycznym. "Dzisiejszym" w sensie wyciągnięcia wszystkich korzyści z doświadczeń starszych modernistów, przede wszystkim Schönberga i Albana Berga. To znaczy, że napisana jest na wskroś nowocześnie, przemawia trudnym, dość zawiłym językiem muzycznym i wymaga od słuchacza pewnego otrzaskania i osłuchania się z muzyką nowoczesną. Pozostałe dwa utwory — Szostakowicza i Menotti'ego — pisane są łatwym, dostępnym stylem sprzed lat kilkudziesięciu, nie wnoszą absolutnie nic nowego, nie próbują nawet starać się o jakąkolwiek oryginalność czy własny ton. Może dlatego właśnie cieszą się

9) Obie wypowiedzi, które cytuję, pochodzą z pracy dr Zofii Lissa pt. "U podstaw przemian stylistycznych w muzyce radzieckiej" (mies. "Muzyka X.-XI 1950).



pewnym powodzeniem, które w wypadku Menotti'ego jest nawet dość dużym powodzeniem. Szostakowicz napisał swe oratorium na zamówienie (zresztą wszystko co piszą kompozytorzy w Rosji jest, jak wiadomo, z reguły finansowane przez rząd), z okazji kampanii na rzecz ponownego zalesienia obszarów, wykarczowanych podczas wojny. Składa się ono z kilku części, w których soliści i chór na zmianę śpiewają tekst, którego naiwność walczy o lepsze z gorliwością propagandową. Czegóż tam nie ma! Dowiadujemy się z tego tekstu, że dawniej, kiedy jeszcze nie było Stalina, cała przyroda była smutna, bezbarwna, matowa i szara. Teraz natomiast i zieleń lasu jest piękna, soczysta i woda strumyka szumi radością i nawet słońce świeci weselej! W innej znów części dzieci sowieckie gromadnie przychodzą sadzić drzewka, a rozczulony autor nie oszczędza nam porównania gęstwiny sadzonek z gęstwiną czerwonych chorągiewek, które mają nam przypomnieć co te dzieci naprawdę myślą i czują. Po czym para młodych komsomolców śpiewa przydługi duet miłosny, z którego w końcu wynika, że nie tyle kochają się oni między sobą, ile oboje kochają Stalina! I tak dalej... Ale nie warto przecież tego wszystkiego opisywać. Śpiewa się to na "serdeczną" i przystępną nutę, której rozbrajająca banalność i zły smak uwalniają nas od obowiązku zajmowania się nią na płaszczyźnie estetycznej. Taka musi być widocznie aktualna, chwilowa "nadbudowa", ale każdej chwili "baza" może ją zmienić a wtedy usłyszymy, być może, oratorium tego samego autora np. na temat konieczności jak najszybszego karczowania lasów. A to może być już jutro!

Drugi z wspomnianych autorów, Menotti, jest Amerykaninem i próbuje od kilku lat swych sił na terenie teatru muzycznego. Poszedł on dalej niż sam Wagner, gdyż nie tylko pisze sam libretta do swych dzieł operowych, ale też projektuje ich oprawę sceniczną i kostiumy, nie mówiąc oczywiście o reżyserii. Wszystko co robi jest zawsze zgrabne i zrobione z wyczuciem efektu teatralnego. Niestety, gatunek tego "efektu" jest bardzo podrzędny i trzeba doprawdy wielkiej nieznajomości historii teatru, aby nie zorientować się od razu, że ów — przez niektórych tak chwalony — "Konsul" jest w istocie rzeczy mieszaniną najgorszych efektów werystycznych z "przedmiejskim" melodramatem, który ongiś Montehus zaszczylił na banlieue paryskiej, ale który, przeniesiony na deski teatru operowego, staje się już zbyt śmieszny i wytarty. Menotti uważał za właściwe wybrać za temat do swej opery jeden z najboleśniejszych problemów ostatnich lat. Gorzej, że smutna sprawa wyjazdu zagranicę rodziny człowieka, będącego w szponach policji politycznej, jest skąpana w sosie takich nieprawdopodobieństw akcji — jeśli już brnąć na własny teren autora — i w tłumie tak wytartych i banalnych efektów zewnętrznych, że zazwyczaj odczuwamy pewne zażenowanie. Ostatecznie nie chodzi o brutalność — w "Iliadzie" jest więcej trupów; zażenowanie

nasze w tym wypadku jest zażenowaniem wobec człowieka, który wywala drzwi kopnięciem, zamiast w nie lekko zapukać. Temat jest dobry, pomimo tego, że ludzie istotnie niedawno ginęli w sposób, jaki pokazuje nam Menotti. Całkowicie odpersonifikowany, potraktowany jako kanwa jakiejś "kantaty scenicznej" mógłby być dziełem istotnej sztuki. Ale w rękach Menotti'ego robi się nieznośny. Stwierdzenie, że "Konsul" wyciska łzy z oczu publiczności niczego nie dowodzi, jako, że "Madame Butterfly" oraz smutny los Toski i Cavaradossi'ego wycisnęły niewątpliwie tych łez jeszcze więcej! Od czasów Puccini'ego i Mascagni'ego działo się bardzo wiele w muzyce i pojęcia Menotti'ego o operze i stylu operowym wydają się co najmniej dziwne. Jeśli dodać do tego tanią, melodyjną muzykę, dla której największym komplementem będzie jeśli się powie, że nie pozostawia po sobie nic, nie "trzyma" akcji, ani jej nie przeszkadza, jest nieważna, nic nieznacząca, to niepodobna nie stwierdzić, że mamy do czynienia z utworem, stojącym całkowicie poza istotnym nurtem rozwojowym muzyki, poza wszelką głębszą problematyką muzyczną. Zdumiewa nas — a w pewnym sensie i imponuje — ta nonszalancja z jaką artysta, niewątpliwie utalentowany i obdarzony niejaką zgrabnością ręki, z całym spokojem, a bodaj nawet z pewną kokieterią postępuje tak, jak gdyby nigdy nie istniał teatr operowy Mozarta, Verdiego, Wagnera czy Rimskiego-Korsakowa. W każdym razie ten teatr jest dla niego pustym i nic nie mówiącym pojęciem.

Z jakim uczuciem ulgi, zadowolenia i satysfakcji przechodzimy po takich utworach, jak oba wyżej wspomniane, do rozważań na temat kompozytora, w którego dziele czujemy tę głęboką mądrość i dojrzałość, jaką dają całe wieki poważnej tradycji artystycznej i z którym łączyć nas będzie zrozumienie każdego odruchu, wycucie każdej wartości stylistycznej i ów nawał treści, który tkwi w niedopowiedzeniach. A może istotnie sztuka — w naszym tego słowa pojęciu — jest specjalnością "starego świata"?

Opera Dallapiccoli oparta jest na jednoaktowej sztuce Villiers de l'Isle Adam'a "Torture par l'espérance", przy czym w środkowych partiach autor wprowadził w bardzo wyrafinowany sposób pewne elementy z "Dyla Sowizdrzała" de Costera. Treść, nabrzmiała problematyką wolnościową, polega na rozmowach jakie w swej celi więziennej prowadzi anonimowy więzień inkwizycji ze swym dozorcą. O czym może mówić więzień? Oczywiście o wolności; tym bardziej o wolności, że wieści o powstaniu w dalekich Niderlandach, o prądzie wolnościowym jaki powiał się i dla niego nadzieję i cudowną obietnicą. Po odejściu dozorcę więzień zauważa, że drzwi celi są otwarte! A zatem dozorca myśli podobnie jak on, kocha wolność, nienawidzi tyranii, umyślnie otworzył mu drzwi? Więzień wysuwa się powoli z lochu, entuzjastycznie wita tchnienie wolnego świata, ale w tej chwili ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. To anoni-



mowy dozorca — inkwizytor, który zwraca się do niego z wyrzutem: "Jako, mój synu, naszym jedynym celem jest dać ci istotną, prawdziwą wolność, jedyny gatunek wolności, który jest wart starań, a ty chcesz nas tak niewdzięcznie opuścić"? W straszliwej prostracji i załamaniu więzień rzuca w stronę widowni jedno słowo opatrzone znakiem zapytania: "Wolność"? Ten znak zapytania nad całym ogromnym problemem kładzie się przemożnym ciężarem na całości dzieła. Jesteśmy świadkami starcia się dwóch pojęć wolności, one są właściwymi dramatis personae a subtelność Dallapiccoli polega właśnie na zupełnym odpersonifikowaniu dość przeciętnej sztuki Villiers de l'Isle Adam'a i przeniesieniu jej z pomocą muzyki w sferę czystej poezji. Z tym samym librettem w rękę Menotti pokazałby nam zapewne następnie cały proces więźnia, który tak naiwnie wygadał się przed dozorcą ze swych prawdziwych myśli i nie oszczędziłby nam także bardzo smutnej sceny stracenia. W ten sposób można by osiągnąć upragnione ły i ożywione wycieranie nosów na widowni, a poza tym zwolnić słuchacza od obowiązku myślenia. Na szczęście nie jest jeszcze celem kompozytora europejskiego oduczanie swych słuchaczy właśnie od myślenia... Dallapiccola nie ułatwia w niczym słuchaczowi zadania, jak nie ułatwiali go Bach ani Beethoven. Komponuje swe dzieło w najbardziej wyrafinowany sposób, z wykluczeniem wszelkiego efektu zewnętrznego, w żelaznym związaniu formy muzycznej, bogato operującej techniką wariacyjną. Muzyka jest najściślej związana ze słowem i ona właśnie — powtarzam — uskrzydla je polotem poezji. A czyż jest dla poezji piękniejsze zadanie jak dotykać owych "ran serdecznych" duszy ludzkiej, jak mówić o tym, co nam wszystkim ciężarem leży na sercu?

Pan Brijon pisząc "Współczesnego Apollona" i rozmyślając na temat przydatności muzyki wcale nie zauważył, że najpiękniejszym jej zadaniem jest z pewnością uchylenie tego małego rąbka niebios, za którym kryje się rozległa kraina poetyckiej "nieskończonej przygody". A jeśli ta przygoda stawia nam czasem właśnie znak zapytania, wina tego na pewno nie leży po stronie tych, którzy uczciwie, w miarę skromnych możliwości, z dwunastu dźwięków oktawy kleką z takim uporem coraz dziwniejsze budowle.

Tak było zawsze, tak pewno i będzie zawsze.

**Roman PALESTER.**

## Pytania dzikich ludzi

Dzicy ludzie w dzikich krajach mają kłopotliwy zwyczaj zadawania Europejczykom głupich pytań. Karły kulturalne z kontynentu cywilizacji lodówek elektrycznych i Coca Coli przypominają zupełnie odpustowych chłopków, chodzących po mieście z rozdziawioną gębą i wypytujących o byle co; i gdy się im odpowie, uważają za stosowne dodać jeszcze: «A dlaczego?»

Zdżyczenie Europejczyka, rzuconego w to barbarzyńskie środowisko, zaczyna się między innymi (inne: chęć posiadania lodówki elektrycznej, pralki, samochodu, itp.) od tego, że i on z kolei przejawia tendencję do zadawania niedorzecznych pytań.

— Jakim sposobem poznał pan, że ten typ przy sąsiednim stoliku jest «świeżym» Europejczykiem? — zapytuje mnie mój guatemalski znajomy.

— Bo go czuć naftaliną.

— A dlaczego?

Trudno na to odpowiedzieć. W każdym razie zapach naftaliny bije od takiego przybysza, jak od szacownych karakułów, wydobytych z worka przeciwmolowego i rozwieszonych, żeby się przewietrzyły. Na widok świeżego Europejczyka odczuwam teraz to samo, co raz odczułem jako mały chłopak, witając się z moim dziadkiem, powracającym po tamtej wojnie z Rosji; coś, co pomimo całej sympatii i współczucia, jakie się żywi dla tego rodzaju ludzi, równocześnie delikatnie odpycha. Jakiś «arme Leute Geruch», dolatujący od całości, krępujący i zawstydzający, obcy. Wrażenie «wycofania z obiegu», w wypadku Europejczyków spotęgowane zarozumiałością i ekskluzywnym poczuciem wyższości egzotycznego gościa.

Profesor prawa berlińskiego «Freie Universitaet», będący tu przejazdem, wraca do domu po całym dniu wizyt i powiada:

— Wszędzie to samo. Z nimi nie można rozmawiać. Cóż za poziom!... Ci ludzie żyją ciągle jeszcze w ubiegłym wieku!

Zdesperowany uśmiech szlachetnych karakułów pod adresem zwyczajnych baranów. A potem, w rozmowie, długi «Vortrag» o etyce naturalnej i moralności laickiej, wywiedziony z ogranych kupletów Rewolucji francuskiej i przyprawiony na marksistowsko przez byłego komunistę, nawróconego obecnie na socjalizm. W jakim wieku żyje Herr Professor?



Młody Francuz, który nawet nie przejechał przez Stany Zjednoczone, a tu ma zamiar wywąchać kawowy posąg, uśmiecha się z pogardą:

— To potworne, do jakiego stopnia «cette barbarie américaine» ogarnia kraje łacińskie jeden po drugim. Wśród starszego pokolenia można jeszcze spotkać ludzi mówiących po francusku: wśród młodych nie spotkałem prawie nikogo. Za to po angielsku rozmówi się pan nawet z pucybutem.

— To żeń się pan z babcią!

Inny Francuz, dając mi list polecający do attaché kulturalnego francuskiego poselstwa, napisał jednym tchem: «Mr. B. appréciez infiniment notre culture. Il s'abrutit complètement dans ce pays...» Ponieważ już w tym czasie miałem wątpliwości co do tego, czy nieskończenie cenię naszą kulturę i czy jestem w trakcie kompletnego tępienia w tym kraju, listu nigdy nie zaniosiłem; i z typowo europejską rezygnacją dałem się zalać potopowi drukowanego barbarzyństwa w rodzaju takiej tandety kulturalnej, jak «Time», Mumford i inne kapitalistyczne brednie.

Wszyscy ci Europejczycy, załamujący ręce gdy tylko mowa o Europie i jej kulturze, zdołali równocześnie doprowadzić już do tego, iż niejednokrotnie młodzi ludzie, uczniowie kolegów lub uniwersytetu, zadawali mi takie głupie pytanie:

— Proszę pana, czy Polska leży w Europie?

Z początku uśmiechałem się i klnąc w duchu dziec, tłumaczyłem im, że tak. Doszedłem jednak do wniosku, że jest to nieścisłe.

— Nie! — odpowiadam teraz. Polska, Węgry, Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria, Jugosławia, Albania, Łotwa, Litwa i Estonia (o istnieniu trzech ostatnich przeważnie nikt nic nie wie i nie pamięta) położone są w nowej, szóstej części świata, noszącej nazwę KrajóW Satelickich lub KrajóW za Żelazną Kurtyną. Gdy się chce o nich zapomnieć, przysuwa się je do Rosji i nazywa Krajami Satelickimi; gdy się chce o nich przypomnieć, odsuwa się je od Rosji i przybliża do Europy, nazywając Krajami za Żelazną Kurtyną. Poza tym nazwy tych państw podaje się raz same, raz z dodatkiem «czerwony». Subtelności dialektyki niezdedykowana i ostrożności.

— Więc w sumie jest to także Europa?

— Tak. W rzeczywistości jest to wschodnia połowa Europy, o której część zachodnia, zwana Europą Wolną, stara się za wszelką cenę zapomnieć. Jedną z cech głębokiej kultury jest dyskrecja, umiejętność nieporuszania drażliwych tematów. W tej dziedzinie kultura europejska doszła do szczytu. Reprezentanci Europy wschodniej r. uszają się wciskać na kongresy europejskie niemal siłą, a z całej prasy zachodnio-europejskiej może pan tylko wywnioskować, że Europa kończy się na terytoriach, na których można jeszcze odnaleźć resztki gumy do żucia, wyplutej przez amerykańskich obrońców i opiekunów.

— Czy nie dzieje się to jednak z winy Stanów Zjednoczonych?

— Oczywiście. Zawsze wszystkiemu są winny Stany Zjedno-

czone. To one powinny przypominać Europie czym jest i dokąd sięga naprawdę.

Europa? Wygodna i tchórzliwa «pars pro toto» zastąpiła dziś pojęcie Europy, a jej istota i treść rozpuściły się w tym tak dokładnie, iż najbystrzejsi Europejczycy nie zdają sobie z tego sprawy. Niedawno wpadł mi do rąk długi artykuł Artura Koestlera, opublikowany w jednym z tygodników francuskich. Koestler pochyla się w nim nad siennikiem złożonej niemocą Europy zachodniej i dochodzi do wniosku, że przypomina ona chorego o stalowych płucach, oddychającego jeszcze dzięki tlenowi pomocy ekonomicznej i wojskowej Stanów Zjednoczonych.

Stwierdziwszy ów stan, bliski momentu wydania ostatniego technienia, odrzuca z właściwą mu wnikliwością szereg przyczyn fizycznych, jakimi w Europie zwykło się to tłumaczyć, i dochodzi do przekonania, że są one raczej skutkami głębokich schorzeń psychicznych. Jednym z nich, a według Koestlera najważniejszym, to utrata wiary w siebie.

Grzebiąc w kilku słowach całą Europę wschodnią, w której «cywilizacja, jaka przyczyniła się do jej wielkości, jest już zniszczona, a ludzie żyją tam już tylko zdegradowanym życiem koncentracyjnego wszechświata», przepowiada on podobny los zachodniemu «strzępowi» (lambeau) Europy, jeśli ten nie podźwignie się politycznie i moralnie i nie wejdzie w stadium odrodzenia duchowego. Tego odrodzenia nawet Stany Zjednoczone nie potrafią ani wyprodukować, ani wyeksportować.

W dalszym ciągu swych rozważań, Koestler odrzuca także modne dziś w Europie zachodniej lekarstwa: reformy społeczne, socjalizację i inne postępy, konkludując słusznie, iż wszystkie one razem wzięte nie przyczyniłyby się ani do odparcia agresji sowieckiej, ani do odrodzenia moralnego. «Przed wszystkim — pisze — walka o sprawiedliwość społeczną i ekonomiczną ciągnie się od 200-tu czy 300-tu lat i jest rzeczą mało prawdopodobną, iż złoty wiek nadejdzie w sam czas, by powstrzymać przyszłe uderzenie sowieckie na Berlin lub Jugosławię». Lecz brak nam idei, zdolnej porwać umysły, jak w czasach pierwszych chrześcijan lub Rewolucji francuskiej — stwierdza następnie. I wobec tego jedyną, która zdolna byłaby coś wykrzesać z Europy zachodniej, to idea zachodniej Unii Europejskiej.

«Zastąpić nadwyrężone poczucie narodowe i wierność chwilnym rządowi poczuciem i wiernością Europie». Ażeby to przyspieszyć, aby wzniecić błysk jakiegoś entuzjazmu w zamglonych oczach chorego, proponuje on stworzenie Europejskiego Legionu Wolności. Podaje nawet dosyć szczegółowy zarys organizacyjny tej czysto defensywnej jednostki i widzi w niej jakby gwardię (corps d'élite) o wielkim znaczeniu symbolicznym. Jej żołnierze, rekrutujący się wyłącznie z obywateli zachodnich krajów Europy, byłiby żołnierzami Europy, maszerującej pod sztandarem Europy w takt hymnu europejskiego. Symboliczne znaczenie czego? Jakiej Europy? Najpierw nazywa się to strzę-



pem, po czym Europą. Najpierw dostrzega się chorobę przede wszystkim duszy, po czym aplikuje się pastylkę aspiryny — Legion Wolności, składający się z byłych weekendowców z Zuydcoote.

Jest to naprawdę interesujące, z jaką konsekwencją pisarze i publicyści Europy zachodniej skręcają nagle w decydującym punkcie. Świadomie lub podświadomie, Koestler także wolał ominąć grząskie grunta niedopowiedzianych i nieprzedyskutowanych do końca spraw, zatruwających swymi wyziewami atmosferę Europy zachodniej. Nie tylko Europa straciła wiarę w siebie; reszta świata też utraciła wiarę w Europę. Dlaczego? Od kiedy? To jest najważniejsze.

Bez uświadomienia sobie przyczyn tej powszechnej utraty wiary, wszystkie propozycje spowodowania odrodzenia duchowego, skuteczność najdoskonalszych tlenów amerykańskich i wszelkie możliwe zastrzyki pozostaną bez skutku. Chory w takim stanie, w jakim znajduje się Europa zachodnia, powinien najpierw zrobić rachunek sumienia i wypowiedzieć się, a dopiero potem można by mu przepisać jakieś leki. Ale chory i lekarze milczą uparcie; przemilczają to, co jest istotne.

— Dlaczego Europa, która jest bezpośrednio zagrożona, nie posiada nawet trzydziestu dywizji, podczas gdy USA, niezagrożone wprost, są od roku w pełni wysiłku mobilizacyjnego? — zapytuje student tutejszego uniwersytetu.

— Dlaczego przychodzi coraz więcej zabawek europejskich, a coraz mniej amerykańskich? — pyta mały chłopiec, stojący za ladą sklepu z zabawkami, w którym pracuję.

Gdy staram się na to odpowiadać, równocześnie stają mi w oczach francuskie drogi w czerwcowym słońcu i ten bukiet kwiatów, który spadł mi na kierownicę roweru, rzucony z jakiegoś okna okna z radosnym okrzykiem: «C'est signé». Słyszę także słowa jakiegoś francuskiego oficera w palącym się Brest, który siedząc przy kolacji, odpowiedział mojemu znajomemu: «Żałuję bardzo, ale w niczym nie możemy już być panom pomocni, gdyż od godziny 10-tej wieczorem będziemy jeńcami wojennymi». Była godzina 7-ma, a Niemcy byli jeszcze daleko, Brest poddał się telefonicznie, na odległość.

Choroba duszy zaczęła się formować w tych tragicznych dniach. Całkowita utrata wiary w siebie nastąpiła na polach Holandii, nad Kanalem Alberta, na linii Maginot'a. Znaleźli się ludzie, którzy pod płaszczykiem patriotyzmu, przewodniczyli jej; którzy sankcjonując ją, przyczynili się do jej utrwalenia. Chcąc ratować ciało, pogrążyli duszę. Od tej chwili kompleksy zaczęły mnożyć się i narastać w szybkim tempie.

— Proszę pana, jak należy rozumieć publikowanie takich fotografii? — pyta mnie młody dzikus, pokazując jakieś ilustrowane pismo francuskie, w którym na okładce jest fotografia relikwii po Pétain'ie, potem Pétain ściskający dłoń Hitlera, obok Pétain ściskający dłoń adm. Leahy, fotografie z ostatnich dni, fotografie z pogrzebu. — Czym w końcu był Pétain? — pyta w

dalszym ciągu. Zdrajcą czy zbawcą? Członkiem Akademii Francuskiej czy osobnikiem skazanym na «indignité nationale» i na śmierć? Marszałkiem czy «Monsieur Pétain»? Dzicy nie rozumieją.

— Niech panu odpowie na to historia!

Historia już dawno odpowiedziała i odpowiada codziennie, na każdym kroku; zagusza się ją. To, co stało się wtedy we Francji, co działo się potem, wycisnęło i wyciska piętno na całej Europie zachodniej. Francja była jej duszą, a tym bardziej jest nią w obecnym strzępie europejskim. Upadek był tak straszliwy i równocześnie tak gładki, iż pewnie dlatego nikt do dzisiaj nie zdobył się na powiedzenie o nim prawdy, a cały problem przekazuje się skwapliwie historii; może dlatego, gdy tylko zabłyśły szlachetniejsze iskry, rozdmuchano je z hałasem i tak długo dmuchano, chcąc z nich uczynić wielki płomień oczyszczenia, że suma kłamstw i niedomówień jeszcze bardziej wzrosła. Legenda, jak szklany klosz, przykryła robaczywy ser. Robaki dalej się pod nim mnożą, całe programy polityczne tworzą się dalej na starych kompleksach i urazach. Nikt nie ma ochoty mówić o tych rzeczach. Łatwiej pisać wykrętne usprawiedliwienia, nadając im komiczne tytuły, łatwiej zaliczać się do wielkich i brnąć dalej w tanie gadulstwo. W zbankrutowanym duchowo przedsiębiorstwie Europy zachodniej nikt dotąd nie ogłosił rzetelnych cyfr, nikt nie zsumował prawdziwych i istotnych strat. Cały wysiłek skupiono na sporządzaniu fałszywych bilansów wielkości. I skutek tego zachodniemu strzępowi wydaje się, że jeszcze ciągle jest tym, czym była kiedyś cała Europa.

A tymczasem lata po klęsce, lata niemieckiej okupacji, to okres powstawania nowego uczucia, które zamieniło się w nałóg: oczekiwania na pomoc innych. I czeka się do dziś dnia, oczekuje na coraz więcej, czeka na wszystko. Oczekiwanie na pomoc amerykańską stało się drugą naturą strzępowego Europejczyka-niekomunisty. Dlaczego nie przyznać się otwarcie, że najchętniej widziałoby się sto dywizji amerykańskich w Europie, bo wtedy można by i palcem nie kiwnąć? Wmawianie w siebie, że jest się nadal centrum świata, podczas gdy jest się już tylko prowincją. Korea? to bardzo daleko. Indochiny? Prywatna sprawa gen. de Lattre i Pentagonu. Europa wschodnia? W gruncie rzeczy to nigdy nie była prawdziwa Europa.

Uwiad jest już wyraźny. Duch Europy zachodniej pozbawiony został swych naturalnych i tradycyjnych rynków zbytu na wschodzie, lecz nie upomina się o nie. Wprost przeciwnie — stara się o nich zapomnieć, stara się sobie wmówić, że strzęp jest całą Europą. Przemilcza swoje kalectwo, kuleje i gotów jest w każdej chwili zgodzić się na każdą ciemną tranzakcję w rodzaju drugiej Jałty; sprzedać bez słowa sprzeciwu swoje wschodnie nogi, byle by uratować na chwilę siwą, zachodnią głowę. Tam w Paryżu, w Rzymie, w Brukseli wydaje się wielu ludziom, że reszta świata tego nie wyczuwa; że ten świat ma obowiązek zbiec się i nastawić piersi, bronić do ostatniego tchu omszonych



kamieni i idei zachodnio-europejskiej Hellady. Żąda się szacunku, żąda opieki, pieniędzy, krwi barbarzyńców. Jakim prawem? Dlaczego? Z kogo tworzyć Legion Wolności? Czy z ludzi, którzy psychicznie czują się już pod okupacją sowiecką? Pod okupacją nie tworzy się regularnej siły wojskowej, lecz partyzantkę. Dlatego to wysiłek wojskowy Europy zachodniej nie przekroczył i najprawdopodobniej nie przekroczy rozmiarów armii partyzanckiej. A i o niej trzeba będzie powiedzieć to, co raz Déat powiedział o policji paryskiej pod tamą okupacją: «Nie jest się pewnym, czy połowa jest pewna, ale jest się pewnym, że połowa jest niepewna». Zachodni strzęp Europy gotowy jest poddać się telefonicznie. Świat to wyczuwa.

A kultura? Jaka kultura? Kultura bazy amerykańskiej, kultura domku z kart, gdzie wyciągnięcie jednej karty amerykańskiej grozi runięciem wszystkiego, czy kultura całej Europy? O co chodzi? O zachodnio-europejskie muzeum i woźnych, wyciągających rękę po amerykański napiwek, czy o cały kontynent, żywy i twórczy? Kto powinien o tym wiedzieć i kto powinien domagać się o całość? «Świat, który nas nie rozumie, spogląda na nas ze śmiechem; na honor — ma rację, że się śmieje!» — powinien by wykrzyknąć dziś jakiś zachodnio-europejski Ruy Blas. Bo Europa, ta, o której mówi się dziś prywatnie to, czego najdzikszy Amerykanin nie ośmiela się jeszcze oświadczyć publicznie, ta Europa nie gra. Jest pustym dźwiękiem, po prostu niczym.

— Gdy moi rodzice wyjeżdżali teraz do Paryża, miałem wrażenie, że nie jadą tam, aby zobaczyć i przywieźć stamtąd coś żywego, lecz żeby odwiedzić muzea; zupełnie tak, jak Europejczycy wyjeżdżający do Grecji, których interesują jedynie resztki Akropolu i posągów — powiada syn moich przyjaciół.

Rodzice z pośpiechem jadą do odległego katafalku, by przed pogrzebem spojrzeć jeszcze raz na martwą twarz; dzieci jeżdżą do USA, bo przed nimi jest życie. Dla nich Europa jest już taką samą bazą amerykańską, jak Filipiny lub Alaska. Ciekawi ich bardziej siedziba kwatery głównej, niż odległe garnizony. A kultura?

Ta kultura jest dla nich kulturą Heysta ze «Zwycięstwa» Conrada. Prosta i niewykształcona dziewczyna, która nadstawia karku i stara się stanąć w jej obronie płacąc za to życiem, jest im bliższa i interesuje ich bardziej, niż Heyst z całą swoją kulturą i finezją, wpatrzony tylko w nie, tkwiący na skrawku ziemi wśród szpargałów po ojcu i w momencie zagrożenia umiejący zdobyć się jedynie na intelektualną gimnastykę i dyplomację niedowidzeń. Kultura, która nie tylko przestaje myśleć o podboju, ale nawet nie chce się bronić sama i zmusza do obrony prostaków, nie jest żadną kulturą; jest w najlepszym wypadku martwym zabytkiem. Takim samym, jak Heyst na tle żywej Almy, takim samym, jak Europa wycofująca się na linię swoich katedr i ograniczająca się do szantażowania nimi reszty dzikiego świata.

— Piszę o malarstwie włoskim, piszę o naszej literaturze i muzyce, układam programy radiowe, poświęcone naszej kulturze, planuję urządzenie biblioteki, a ciągle mam wrażenie, że to wszystko nie ma sensu, bo do nikogo nie przemawia — zwierza mi się młody i rzutki attaché kulturalny poselstwa włoskiego.

— A jaki ustrój gospodarczy panuje we Włoszech? — pytam. Myśli chwilę i nagle wybucha śmiechem:

— Plan Marshalla!

Gdy przyjechałem tu zmęczony i bez pieniędzy, czułem się dobrze, choć nieraz nie wiedziałem, czy nazajutrz wystarczy na obiad. Przez okres przeszło dwóch lat byłem w sytuacji materialnej tak nędznej, że nawet najcięższych lat w Europie nie można było do tego porównać. Pomimo to nie traciłem zapału. Od pierwszej chwili poczułem iż znalazłem się w obrębie jakiegoś zdecydowanego ustroju gospodarczego; że ustrój ten na pewno nie jest doskonały, ale *jest*; że stoję na czymś określonym, a mój dochód, nawet najskromniejszy, przedstawia tu uchwytną wartość. Ustrój gospodarczy zachodniej Północy, nie jest żadnym ustrojem. Poza szwajcarską wysepką, wszędzie panuje ekonomiczna «bouillabaisse».

— Kultura nie oparta o żaden zdecydowany ustrój gospodarczy przestaje być pełną i żywą kulturą i nie przemawia do szerokiego ogółu; staje się automatycznie bibelotem, figurką tantryjską, interesującą jedynie znawców, smakoszy i kolekcjonerów. Cały świat antyczny przetrwał w najlepiej zorganizowanych gospodarczo ośrodkach i wjeżdżał w średniowiecze na bardzo prozaicznych wehikułach. Gdyby pan dysponował funduszem nawet dwukrotnie większym, niż pański kolega amerykański, kłopot byłby ten sam. Bo za panem nie stoi nic; cały pański Rzym, renesans, cały ten olbrzymi skarb razem ze współczesnymi klejnotami zawieszony jest w powietrzu, jak kolorowa bańka na choince.

— Importowanej z USA — kończy ze smutnym uśmiechem.

Tak; nawet w każdym z nielicznych produktów europejskich, które bierze się tu do ręki, odczuwa się brak oparcia ekonomicznego. Kupuje się te produkty jakby dla zabawy, od wypadku do wypadku, bez «linii» zakupu. Produkty bez posłannictwa. Jedynie towar niemiecki stanowi wyjątek. Toteż często słyszy się pytanie:

— Dlaczego Niemcy zachodnie, które zostały najbardziej zniszczone w czasie ostatniej wojny, zdołały szybciej dźwignąć się, niż reszta krajów Europy?

Dlaczego? Niemcy mają już tu swoją radiostację «La Voz de Telefunken», z której nadają muzykę niemiecką, zapowiadając ją po hiszpańsku i po niemiecku. Przy niej centralizuje się nie tylko propaganda odbiorników Telefunken i Blaupunkt, lecz propaganda całej gospodarki i kultury niemieckiej. Europa? Może to być bardzo przykre, ale od pewnego czasu zaczyna ona na całym kontynencie łacińskim przybierać z powrotem kształty niemieckie i kojarzyć się ludziom coraz częściej z Niemcami.



Z całej armii zachodnio-europejskiej traktuje się poważnie tę, która nie została jeszcze utworzona: niemiecką. Sam ten fakt pozwala domyślać się, że Niemcy wykorzystają plan Marshall'a i oparły swą odbudowę na jakichś bardziej określonych podstawach, pachnących mocno amerykańskim kapitalizmem. Jakim?

Kapitalizm jest tylko jeden: jesteśmy niesłychanie postępowi i o problemach ekonomicznych dyskutujemy ze znanstwem. Kapitalizm? Wiemy lepiej od Amerykanów, czym on jest: to Wall Street, bankierzy z grubym cygarem, rekiny, to przeżyty, reakcyjny ustrój gospodarczy, skazany na niechybną zagładę. I wobec tego materiał zakupiony w Stanach Zjednoczonych na poczet planu Marshall'a rozdziela się wśród upaństwowionych arsenałów i przedsiębiorstw, których wydajność jest znana. Gdy Amerykanie mówią, że USA są w tej chwili najsilniejszą podporą wielkiej rewolucji wolnościowej i ekonomicznej, przeciwko której skierowany jest reakcyjny atak agresji sowieckiej, uśmiechamy się z pobłażliwością. Jesteśmy bardziej rewolucyjni: cena pieniądza kształtuje się obecnie na poziomie cen z najbardziej burzliwych okresów europejskiego średniowiecza. To wcale nie przeszkadza, że na tegorocznym zjeździe «Nouvelles Equipes Internationales», gdzie mówiono o problemach Europy powojennej, jeden profesor stanął w obronie umiarkowanych form liberalizmu, a drugi okazał się zwolennikiem planizmu i reglamentacji. Planizm i umiarkowany liberalizm czyli umiarkowany planizm z amerykańskiej kieszeni. W kółko to samo. Jesteśmy specjalistami od zagadnień ekonomicznych. Europa roi się od ekonomistów, a szczególnie od tych, o których Siegfried mówi, iż wierzą oni bardziej w metodę podziału, niż w twórczości. No i są skutki.

Od czasów Rewolucji francuskiej do dziś dnia dyskutuje się o podziale i dzieli, a gdy zabrakło swojego, przeszliśmy na podział owoców pracy Amerykanów. Ale i tak my wiemy lepiej i reformujemy w Stanach Zjednoczonych wszystko: «Ameryka powinna...», «Obowiązkiem Amerykanów...». Całym społeczeństwem i najpoważniejszym umysłem zabrakło już poczucia śmieszności. I zmysłu proporcji. Amerykanie mają produkować, mają od rana do wieczora płacić podatki, mają bić się, a my już to sobie rozdzielimy między sobą zgodnie z naszymi zasadami postępowego marnotrawstwa.

Jeżeli kapitalizm amerykański finansuje nam od lat naszą niezaradność produkcyjną i nędzę naszego postępu, jeżeli od lat dokłada nam do naszej kultury, która bez niego zmieniłaby się w wątpliwej wartości kulturę głodomorów, to dlaczego odwracamy się od niego z pogardą i lekceważeniem? Wykształcenie ekonomiczne nie tylko przeciętne, ale nawet inteligentnego Europejczyka opiera się jeszcze ciągle na kilku sloganach, wykrzyczanych najpierw przez Rewolucję francuską, po czym powtarzanych do dziś dnia z marksistowskimi modyfikacjami od góry do dołu.

— Co pan myśli o Europie? — pytam młodego lotnika amery-

kańskiego, który przed tygodniem zmienił bazę i przyleciał z Europy.

— To dobre, ale tylko dla bardzo bogatych!

Jego odpowiedź służy mi teraz, gdy inni młodzi ludzie pytają mnie z typowo studencką bezwzględnością:

— Proszę pana, jeżeli mówi się nam, że Europa jest centrum postępowych idei społecznych, to dlaczego tylu Europejczyków chciałoby stamtąd wyjechać i dlaczego emigrują stamtąd wyłącznie biedni ludzie. To jest nielogiczne.

Pewien stary lekarz mawiał, iż trzeba mieć końskie zdrowie, aby się leczyć w Zakopanym. Wydaje mi się, że tylko w świetle logiki tego powiedzonka można zrozumieć zjawiska ekonomiczne i społeczne Europy, a lotnik amerykański streścił w kilku słowach rezultaty całego naszego dorobku w tej dziedzinie. Poza wspaniałe wyostrzoną czujnością i zawiścią klasową nie dorobiliśmy się dotąd niczego w naszej ekonomii podziału i niczego nie potrafiliśmy dać tym, o których ciągle mówimy.

I dlatego trzy czwarte mieszkańców Europy chce ją opuścić bez wahania. Bo tam pod pozorem dawania równej szansy wszystkim, odbiera się ją każdemu. Na tle tego mówienie i pisanie o kulturze europejskiej, o Legionach Wolności i o duchu Europy graniczy z czystą abstrakcją. Cóż warta jest wolność, kultura i inne subtelności bez szansy materialnej? Obrony drogiego talerza bez kawałka mięsa na nim można wymagać tylko od bardzo nielicznych. W takiej Europie, jaką jest ona teraz, to znaczy w jej strzępie, ta kultura albo rozleci się całkiem pod okupacją sowiecką, albo rozsypie się częściowo pod automatycznym naporem ekonomicznym Ameryki (pod warunkiem, że starczy jej sił) wypełniającym najbardziej podstawową dla życia próżnię.

— Co pan myśli o Europie? — pytają coraz częściej dzicy.

— Myślę, że powiedzenie Comte'a: «Ludzkość składa się bardziej z umarłych, aniżeli z żywych» wydaje mi się specjalnie prawdziwe w odniesieniu do obecnego strzępu europejskiego. Z tym, że nawet żywi przemawiają tam zbyt często językiem umarłych, a całość jest jak muzeum Carnavalet.

Andrzej BOBKOWSKI.



## Syrojidy

1.

*Pociec Czesławowi Mitoszowi  
poświęcam w przyjaźni.*

Do opowiadania zgłosił się starzec osiemdziesięcioletni, niewielki człeczyna, prawie niewidomy, ze stwardniałym bielmem na oczach. Mętymi, wyplukanymi, siwymi oczyma wodził za słońcem, kierował się podług słońca. Nos miał szeroki, wąsy obfite a w nieporządku, ciemne włosy przyprószone szarością, rzadkie lecz rozkudłane.

Gdy zaczął opowiadać wznosił oczy. Podnosił też ręce do słońca. Potem dłonie zbliżał jakby lepił coś i rzeźbił palcami. A gdy o flojerze mówił, składał ręce ostrożnie i czule, jakby tulił ptaka.

Usiadł pod modrzewiem wśród kwiatów.

Zwano tego starca Wasyl Drondiek. Po matce pochodził z rodu Kudilowego. Drondiek mówił z początku cicho, powoli, jakby do siebie, brzękał słowami. Potem coraz wyraźniej, coraz goręcej głosił.

— Dla nas flojera to — «boża muzyka». Któż o tem nie wie? A są gdzieś tacy na świecie, są, co przypowiadają, że ani w czasie postów ani procesji, ani pielgrzymek nie godzi się grać. Że muzyka ludzka wszelka to prawie grzech albo nieprzystojność. Tymczasem u nas i umarłemu w chacie prywil<sup>1)</sup> grają na flojerze. Grają i jeszcze dużej płaczą...

Czym jest flojera, widno będzie z tej starej przykaszki.

Z was młodych nikt głodu nie zaznał.. Dzięki Hospodu! Bo

**Flojera.** Tak nazywa się nie zwyczajna i powszechnie znana fajarka, lecz archaiczny, leśny i poloniński niby-flet, przeważnie nie ozdobny, czasami rzeźbiony, o przekroju półtora centymetra, a sięgający do metra długości. Wygląda jak prosty zeschnięty patyk z wydrążonymi otworami. Wyrażenie greckie, może przejęte przez pośrednictwo rumuńskie. Podobny instrument używany dotąd przez pasterzy greckich nazywa się tak samo «flojera». W górach huculskich w starych rodach chłopskich, ale już tylko w zakątkach oddalonych od komunikacji jak Hołowy, Bereznica, Snidawka, przechowywano flojery rzekomo z połowy XVIII wieku, w każdym razie stare i poczerniałe, dlatego, jak zapewniano, dobrze wygrane. Gra na flojerze, szczególnie osiągnięcie barwy tonu naprzemian dudniącej i fletowej jak gdyby naśladowującej głos ludzki, jest trudna, prawdziwych mistrzów tej gry słyszy się coraz rzadziej.

1) Gra przy umarłym.

gdy głód w kraju — to nie sama głodność po prostu. To zaraza! — dobrze mówili starzy ludzie. Poniżej on człowieka do ziemi samej. A choćby jadł wciąż, będzie głodny. Strachająta brzuchowego zeń robi. Pokłońcie przed brzuchem! Dziś lepiej nie mówić o tym.

Tak było dwadzieścia cztery lat temu. Akuratnie kiedy urodziła się tu u gazdy-dziedzica dziewczyna. Ta — panna młoda. A było to właśnie tuż tego roku.<sup>2)</sup>

Gdy głód zaczął przemijać, strach rzucił się na ludzi, bardziej łączny od głodu. Jak tylko mieli wszystko, zaczęli się bać na dobre. Wieszczyli, ba nawet na pewniaka już obiecywali sobie nie takie jeszcze lata tuhe. Ot — tak powiadali — będziem jak Syrojidy rzucać się na wszelką surowiznę, za ścierwem się rozbijając, w końcu kolana i poślądki ludziom spotkanym zniecka obgryzać — a może nawet w jakąś niewolę sprzedawać się z głodu.

Sypał się zewsząd lęk, lepił się jak śnieg rześny i mroził świat.

Pojechałem do Syhotu<sup>3)</sup> i jeszcze nawiozłem zboża sobie i ludziom. Pojechałem nad Dniestr potem. Zaopatrzyłem siebie i sąsiadów. Wody pilnowałem, co dnia do źródeł dwa razy szedłem na służbę wodzie, na nabożeństwo tajemne. «Zamówionej» wody miałem w komorze cały rząd garnuszków: każdy coraz mocniejszą tajną przemówką uświęcony.

A tu wciąż słyhać było, że głód toczy się chmurą. Że znaki znamionują się na ziemi i na niebie. Powiadali starzy mędry, że nawet Słoneczko, nie to, by rozgniewało się i nie, żeby zapomniało o nas — Ono święte, prawe! — ale ot — znudziło się całą tą nędzą — głupotą ludzką. Odwróci się i będzie koniec! Zatem wszystkiego mało! Pielgrzymować potrzeba, pątnikować do Ziemi świętej. Ku Słoneczku, do Rusałyma!<sup>4)</sup> A kto się tam ukorzy, napokutuje, smutku i łez się natyka — odkupi przewiny swoje i ludzkie, — oddali biedy. A tam nie tylko wielmożyc się zasię! Zzebraczyć się przystojnie!

Coraz bardziej namawiali mnie. Nie tylko rodzina, nie tylko sąsiedzi, gromada cała i sąsiednie osiedla i gromady. Sprzedaliśmy las. Zapisali mnie do tej pielgrzymki. Zabrali mnie wraz z innymi, hen, światami, przez morze ku wschodowi słońca.

Wziąłem flojerę. Dotykałem jej co dnia po modlitwie. Czasem grałem sobie w kącie. Czy to był grzech, czy nieprzystojność? Kto dosłucha do końca — nie tak pomyśli.

Ziemia święta — Rusałym — to na skruszenie i umartwienie człowieka. Aby mu było trudno w skórze ludzkiej wytrzymać! Aby tak go dławilo i pędziło po świecie, aby nigdy nigdzie spokoju nie znalazł! Bo tam umęczyli harciebnie i zakopali Chrysta. Wciąż przypomina, że świat ten nie dla nas.

2) Głodny rok.

3) Sziget na Węgrzech.

4) Jerozolima.



Ale nie o Ziemi Świętej będę opowiadać. I nie ja godzien tego. Nie tacy jak ja pozapisywali to wszystko w grubych księgach. Zresztą mierzę w coś innego...

Bo i cóż taki jak ja mógłby naprawdę tam zobaczyć, choć oczy moje własne były wtenczas zdrowe?! Ot, chyba tak jak ów, co pismo i karby nibyto widzi, palcem dotyka, a nic wyczytać nie umie. Widziałem słońce rozognione, słyszałem je, gra na piachach aż brzęczy, palmy widziałem, drzewa pomarańcz. Także ślady stóp Chrystowych. Boże kamienie i znaki. Tak jak u nas pokazują ślady Dobosza<sup>5)</sup> albo Rabina<sup>6)</sup>. Wino pilem, haj! słodkie, szumne. Ale widziałem też grunta jałowe — skamieniałe. I pustynie i wichry gorące i burzę piaskową. Tam to dalej gdzieś mają być one bramy piekielne...

Szukałem właśnie jeszcze innych śladów: chciałem popatrzeć innymi oczyma. Oczyma takiego co był tam przede mną. Bo to nie moja ta wieść, ani z mojej głowy, ani z oczu moich odbita. Z głęboka, z dawności idzie, z wieków starych, od przodków.

Był tutaj taki człowiek przed wielu laty, rodu szlacheckiego, słobodnego i sam szlachećny — choć powiadają, że watażko opryszków — *Kudil*.

To jego fłojera teraz wam grała. Całe życie — powiadają — mało mówił. Nie lubił opowiadać nawet odzywać się nie lubił. Tylko grał na fłojerze. Wszystko wygrał, co mu potrzeba było. Ciągłe wędrował, wszystkie nasze puszcze, — a na dodatek — pół świata przemierzył nogami. Wciąż tęsknił do swojej ziemi. I wciąż wracał, choć wtenczas wcale nie było tu dlań bezpieczne. Nie lękał się nigdy. Tu w naszym kraju, w rzędzie śmiałych — on był najśmielszy. W głowie taką jasność miał, jakby wieczną pogodę. Nigdy nie nawiało mu lęku.

Ale raz przecie zaznał strachu i *Kudil*! I to opowiedział swoim.

On także w owe czasy, przed wielu laty, — bo i wtedy był właśnie *tuhy rok*, — powędrował do Ziemi Świętej. Ślubował ratować ludzi pokutą.

A inne to czasy były. Droga nie taka jak moja. Ani łatwa, ani bezpieczna, ani taka szczęśliwa! I długo, latami, nie było go widać z powrotem. A chociaż pomogła ludziom jego ofiara, gdy wrócił, sam był już stary. Ten jeden, jedyny raz opowiedział ludziom długą opowieść o powrocie z Ziemi Świętej — i o kraju niewoli. I zakarbować zalecił tę wieść — po wieczne czasy.

A sam *Kudil* był w starości jak świętek z obrazu: wysoki, chudy, blade — smutny. Twarz gładką miał, foremną, oczy wielkie, siwe i nosił brodę jasną.

Skąpą mowę miał a mocną. Rębał nią jak na rewasz.<sup>7)</sup>

I tutaj zaczyna się — widkaz — testament *Kudilowy*.

Słuchajcie, goście! *Kudil* mówi:

5) Znany na Huculszczyźnie watażko.

6) Balszem Tow, założyciel sekty chassydów.

7) Deszczułka z rozliczeniami karbowanymi, podobna do szwajcarskiej "Tessle".

### Samego *Kudila* opowiadanie

Na skale pośród morza — tak przekazał *Kudil* — obok monastynu żyliśmy z Wasylukiem.<sup>8)</sup> I tam rozstaliśmy się. A on, chociaż chory, wciąż nam odczytywał z księgi świętej. Zawsze słobodny, pogodny zawsze — jakby miał żyć. I te słowa główne odczytał nam niedługo przed śmiercią.

«Większej nad tę miłość nie ma żaden człowiek — jak ta, by położyć duszę za pobratymy swoje.»

Wspominałem zawsze te słowa na pamiątkę śpiewaka Wasyluka. Wracałem potajemnie do kraju, to znów wymykałem się mandatorom.<sup>9)</sup> I tak samo, gdy za niewolą przyszedł nowy, *tuhy rok*. Wtedy, gdy już innej pomocy nie widać było, wydarłem się na pielgrzymkę do Rusałyma, do ziemi Chrystowej. Tam byłem tak długo, aż wróżbę miałem, że idzie pomoc: bylebym zawsze gotów położyć duszę za swoich.

Tymczasem wojna czy zwada jakaś rozgorzała na morzach. Nikogo stamtąd nie wypuszczali. Już tęsknie mi się tam działa. Ścisłała motuzkiem szyję — tęsknota. Puściłem się obchodzić ten świat: naokoło, pustyniami, słonostepem — rabskim krajem i tatarskim, Rosjami — ku chacie. Naprzd kapinkę wzdłuż morza, potem ku wschodowi słońca przez trzy niedzielki, potem wschodzące słońce po prawej stronie mając. To miał być mój szlak. Ale żeby wciąż krajużkiem pustynie obchodzić. Tak zaklinali mnie starzy pielgrzymi.

Dwadzieścia dni szedłem ku wschodowi słońca, dość szczęśliwie. Choć nieukorzony pielgrzymką, zuchwały człek górski — przekląłby to na wieki. A dnia dwudziestego pierwszego morze ujrzałem po lewej ręce. I między mną a morzem pustynia. Ale tylko wąska jej krajka. Tu gdzie trzeba było półobrotem skrócić i iść ku morzu. Grzecznie jak na dłoni widniały ludzkie osady nadmorskie.

Odważyłem się spoprzeczyć ten rąbek pustyni. Poszedłem przez pustynię: oj, nie szedłem, od razu brnąłem, harowałem ciężko. Ołowiane nogi, nie moje, wyciągałem z piasku. A to morze czemuś nie zbliżało się. Przyszło południe. Morze było tak daleko jak przedtem. I ku wieczorowi niewiele uszedłem. A tu noc spadła na pustynię. Przenocowałem po raz pierwszy w pustyni: zimna noc, nad ranem uleżeć ani ustać nie można, przyszło mi ruszać się i biegać.

Już o świcie powiało tego. Wielkie litery, znaki czarne, cicho a groźnie pisały się na dalekim niebie. Morze znikło mi z oczu. Namysłilem się od razu, by uciec z powrotem ku stepom. Ale już nie wybrnąłem z pustyni.

Coraz większe, coraz czarniejsze znaki stapały za mną, mrużąc, dudniąc. Puchły w chmurę brzuchatą, huczały. Dogoniła mnie wichura jeszcze przed południem.

8) Watażko i śpiewak, którego dzieje opowiedziane są w I. tomie "Na Wysokiej Połoninie".

9) Urzędnicy austriaccy w okresie absolutyzmu.



Zakotłowała pustynia. Aż lunął z nieba wał piasku. Zwyobrażały mnie wichry od razu, zmiętosily jak liść. Wkręciły w wir piaskowy. Zdusiły ku ziemi, zapodziały gdzieś w pustyni. Raz za razem waliły się na mnie góry piasku. Całe powietrze ciemno-żółte, zamazany świat.

Pagórki małe dymiły z wszystkich stron jak watry. Już i same chwiały się, ruszały się z miejsca. Pomaszzerowały pagórki, już cały świat kolebał się, ruszał i walił.

Hospody! Koniec świata niedługo, a mnie chudzinie to już od razu. Ostry deszcz piaskowy sprął mnie po chwili, lice i ręce nieznacznie piekły, spuchły jak poparzone. Oczy osłepiło, dech zapierało.

Mocowałem się póki mogłem. Półżywy położyłem się pod serdak, nakryłem się mantą<sup>10)</sup> szczelnie. Leżałem tak spokojnie, a wciąż hulała burza nade mną, zakopywała mnie wałami piasku. Modliłem się, cichutko śpiewałem do wtóru muzyk wichrowych. — Co będzie, to będzie! — Czasem strzepywałem piasek, by mnie nie całkiem nakryło.

Dzień i noc tak przebyłem, nie śpiąc ani nie jedząc. A gdy znów rano nadszedł uciszło się całkiem, wyjaśniło się powietrze. Podjąłem i od razu wina tyknąłem. Orzeźwiło mnie.

Zmiarkowałem, że burza zarzuciła mnie w straszny świat: żółto bez końca, piaszczyście, glucho. Wody na pewno nie liznęła jeszcze ta ziemia. Nie tylko trawki tam nie było, ani nawet bodiaka<sup>11)</sup> najniebezpieczniejszego, nie tylko ptaszka nie było słychać, a i najmniejsza muszynka nie zabrzęczała. Potężnie grało słońce nad pustynią, a życia nie było.

Tymczasem dławiła mnie duszność, parność coraz większa, tak jakbym się położył do rozognionego pieca. Ale było jeszcze nade mną zmiłowanie. Lunęła ulewa i przemieniła świat. Nie deszcz to spływał, lecz potop wód grzmiących. Jak przed pierwotnym wiekiem, rzekami chuchał duch Boży na ziemię trupio-gołą, Łaska Jego święta! I cud-cudenny się stał. Piaskowe morze zakwitło czerwono i szkarłatnie kwiatami naokoło, bezkresnie. Zieleń paskami pokryła ziemię. Wszędzie stała woda. Burza wygrzebała jakieś ocembrowania kamienne, kto wie przez kogo zrobione, woda je wypełniła.

Według przepisu obmyłem ciało wyjęte z grobu piaskowego, a upieczone w piecu piekielnym. Służby i modlitwy wszystkie odsłużyłem przed wodą. Potem wciąż piłem wodę.

A to wszystko razem obróciło mi i wykręciło świat. Zaciągnęło jeszcze dalej w pustynię.

Szedłem dwa dni i jeszcze trzeci, wschód słońca mając na prawo. Znów rozogniło się słońce. Coraz tużej<sup>12)</sup> ścisnęło ziemię, wyżyłowało z niej wilgoć. Bez śladu znikły kwiaty i zielone ramy i wszelki ślad wody. Wina już nie miałem, a chleba nie za dużo.

Czwartego dnia, — dwudziestego szóstego dnia od wyjścia z Rusałyma — wiatr powiał od wschodu, duszący, ciężki, śmierdzący, — trzeba rzec straszną wonią.

Gdy ustawał wiatr widziałem daleko dymy wstające z ziemi. Daleko się snuły.

Może z domów, może z kuźni czy z kominów miastowych? — myślałem — bo woń dusząca wciąż dolatywała.

Coraz duszniejsze było powietrze, bardziej żółte niebo, coraz więcej dymów. Wznosiły się cienkimi krajkami do góry, rozsnuwały się osnową, kółeczkami, pełzały po ziemi, tkwały się w gęstą, żółtą mrakę. Żadnego domu, żadnego osiedla wypatrzeć nie mogłem za tymi mrakami lepkiemi, za nygurami<sup>13)</sup> klajstrowatymi.

A może tam jakie namioty, szałas i duże stada chudoby? — I pewnie watry dymią, nawozem suszonym podłożone, jak to tam robią w tych stepach?

Ostro szedłem ku dymom. A gdy doszedłem jakie dwa gony<sup>14)</sup> od pierwszego dymu — powiedziec to trzeba, dość głodny, a najbardziej spragniony, z wichrem w głowie, — ujrzałem jeszcze bliżej jeziorka zielone, jedno przy drugim.

Zacząłem biec ku nim. Wtem usłyszałem pod ziemią naokoło naprzód chlupanie, bulgotanie, purkanie. Poczulem zapach siarki. I potem, jak na komendę, jeden po drugim zaczęły wybuchać ognie. I z rykiem grube wały wrzątku wynurzały się z ziemi, jeden po drugim.

Stałem, czekałem czy w mig się nie zapadnę. A tu zagrzmięło naokoło spod ziemi. Wysokie chlupawki wrzątku wyżej, coraz wyżej i jeszcze wyżej wystrzelały. Zasłoniły świat. Aż piana gorących białych plwocin i gnoju kipiącego z wysoka spadając oblała mnie i oparzyła.

Wtedy krzyknąłem, wtedy zbezosośliło mnie ten raz jeden. Zatrzęsło mną od strachu i męki, każdy członek dygotał i wykręcał się w inną stronę, — gorzej niż u człowieka padaczką nawiedzonego. Padłem na gorący piach.

Domyśliłem się od razu — dlatego to krzyknąłem aż strażą mnie przeszło — że zaszedł od huczycznej strony ziemi, gdzie wejście do piekiel. Wciąż naokoło chlupawały, grzmiąły, dusiły smrodem kuchnie piekielne.

To piekielna okolica!

Leżałem długo na piachu gorącym. Już mi nie tkwały członki ciała, nie wykręcały się. Szukałem oczyma słońca na niebie. Nie było go. Niebo całkiem żółte, zatłakane wyziewami. Dźwignąłem się, by uciec w kierunku przeciwnym od dymów. Bezkrzesny step słony z małuśkimi kosmykami trawy rudej skręconej, zakędzierzawionej — przede mną. Ciężko się wlokłem zatruty dymami. A tu już i z przeciwnej strony dymiło. Coraz częściej nogi me

10) Huculska peleryna.

11) Oset.

12) Ścisłej.

13) Nygura — mgła.

14) Około kilometra.



zapadały w gorące kałuże. Zmiarkowałem, że wpadł w pułapkę piekielną.

Nie widziałem już życia przed sobą. Zgotowany w parach, zatruty wyziewami położyłem się na ziemi. Ani nie spałem, ani nie czuwałem. Różne rzeczy — straszne, to znów miłe — widziałem. Nawet Kremenysty widziałem. I Skupową i Synyci!<sup>15)</sup> Tak wyraźnie, że chciałem wstać i lecieć tamtędy. Ocknąłem się, a to ten żółty, kleisty świat. Potem spałem, nie wiem jak długo.

W końcu tętent kopyt słyhać było. I wkrótce obok mnie wchrem przecwałował oślak. Zacząłem go wołać jak się woła konia. Myślałem, że doprowadzi mnie do ludzi. Raz tylko przybliżył się, przystanął. Załypał oczyma, spojrzął na mnie tak uważnie, że jeszcze goręcej mi się zrobiło. Potem wciąż cwałował, krążył wokół mnie. Wciąż rżał przeciągle. Wołał kogoś.

I wtedy to — na zew oślaka czortowskiego — od zachodu słońca, od stepów słonych wstała burza nowa. Wicher miół żółto-gniłą kurzawę. Wał żółtych liści toczył się ku mnie. A ileż głosów wyjących, ileż wichrów biesowych zawodziło w tej wichurze.

Przykucnąłem do ziemi. Skądże tu lasy? Skąd liście?

Usłyszałem groźne kłapanie setek czy tysięcy kłód, jakby sam Archijuda<sup>16)</sup> zębami kłapał. I w końcu duszącym, gorącym obłokiem smrodu na mnie wionęło. Zerwałem się, całkiem już nie wiedząc co robić. Zacząłem uciekać w stronę wielkich chlupawek i dymów. Oślak wyprzedzał mnie, krzyżując drogę, wciąż okrążając mnie.

Jak burza dopędziły mnie rzesze żółto-gniłych listoludów. Karłotwory jednookie, jeden jak drugi, jednakowusieńkie — *Syrojidy*. Powalili mnie na gorącą ziemię, tam koło grzmiących chlupawek piekielnych. Przydławili śmierdzącymi, chropawymi ciałami. Założyli prędko na nogi ciężkie kłody.

Czarno i pusto w głowie mi się stało. Huczały wszystkie gromy podziemne. Czułem, że umieram.

Nie wiem i nigdy już nie dowiem się po jakim czasie się ocknąłem. Teraz powiadam: ocknąłem się. Bo pamiętam wszystko. Ale przecież w zatrutym tym świecie nigdy na dobre się nie ocknąłem.

Leżałem tedy na mierzwie z drobnutkich trawek, w żółto-mrocznej kuczcy. Zmiarkowałem od razu, że nie sam leżę, lecz pośród jakiejś chudoby. Tak, to były bezrogi tuczone. I znów zmąciło mi się w głowie. Potem lęk mi ściał wszelką myśl mrozem. Bo w chrukanie świń wplątywały się, tkwały wyraźnie, głosne ludzkie słowa. «Chru—chru—chru—dob—rze—tu» — trwożliwie, cienko i żałośnie brzmiało. Trochę jak nudna pieśń, trochę jak marsz — a ze wszystkim jak świńskie chrukanie. Znów inny głos odpowiadał po świno-ludzku. Sennie, grubo a smut-

15) Nazwy gór huculskich.

16) Lucyfer.

nie: «chru—chru—chru—do—brze—tu». Tak co chwila odbijało się to z gęb tych ludotworów, skąd mi wiedzieć jakich.

Przez chwilę nadśluchiwały. Potem wstawało szeptanie. Krążyło. Rozkołysywało się, rosło, grało. Zawisało falą nad moją głową. Wiało mi do uszu, natrętnie wciskało się do ust. Szeptano wciąż o mnie. Nie miałem gdzie uciec przed tym.

Coraz bardziej żółkniała ciemność. Mogłem już rozróżnić postacie. Były to naprawdę postacie ludzkie. Lecz w świńskiej postawie. Leżały albo chodziły na czworakach. Staniały się, przelewały z nogi na nogę. Opasłe, niezgrabne, z trudem ale umyślnie przybierały ruchy i postawy świńskie. Jednak żadne oblicze nie było po świńsku zadowolone, ani nawet spokojne. Z przerażenia półotwarte usta zastygły. Wytrzeszczone oczy trwały nieruchomo. Czasem łyskały i toczyły się na wszystkie strony, jak dotąd nigdy nie widziałem u człowieka. Czasem niektórzy z tych stworów najechał na drugiego. Wtedy długo stały wyszczerzając zęby. Warczały, wściekle łypały wypulonymi<sup>17)</sup> oczyma. Po długich groźbach powoli, leniwie a zawzięcie wyszarpywały sobie zębami kaski lic i uszu. Ale rąk nie podnosiły.

Gdy zakrzył szept o mnie — powoli dźwigając się i kiwając, wszystkie stworzenia zaczęły się gromadzić wokół mnie, — z jakich dwadzieścia cielsk. Były tam prawie same niby-kobiety, a tylko kilku niby-mężczyzn. Wszystko pół nagie a wysmarowane. Kobiety z poodkrywanymi tyłami, ze zwisającymi, zatłuszczonymi wymionami. Mężczyźni z odkrytymi członkami tłustymi jak u knurów.

Czterdzieści nieruchomych oczu wlepiąło się we mnie strasznie. Dwadzieścia gęb półotwartych sterczało nade mną. Z oczu tych nie swiała nawet ciekawość, tylko tępota durna. Tępa uciecha ich utkwiała we mnie jak kolek tępy a przegniły. Zamurzyłem oczy, bo bardzo grzesznie mnie pchało coś, by powybić to wszystko.

Postarzałem się od razu tego dnia od kiedym się przebudził. Bo od kiedy wyszedłem z Ziemi Świętej w coraz to gorsze mnie rzucała dola. Jakbym ze skały w berdo<sup>18)</sup> spadał, bez udziękku<sup>19)</sup> po schodach skalnych. A potem już po błotno-śliskich stromych ułohach.<sup>20)</sup>

Ale to, to już najgorsza męka! Lepiej mi było do końca życia nie widzieć ludzi, nie słyszeć głosu człowieczego. Hospody! Jakież to miłe i niewinne przecie — bezrogi prawdziwe. Nawet zapach ich miły. Zatręskniłem by zobaczyć trzodę świnek swawolnych na połoninie wysokiej.

Wtem zarżał oślak niedaleko. Wszystko wróciło na swoje barłogi. Potem ktoś odwalił płytę od kuczcy. Żółtość wpłynęła ze dworu. Cisz zaległa kuczę.

Oślak wypędził wszystkich nas na paszę. I zewsząd przycho-

17) Wytrzeszczone.

18) Przepaść.

19) Bezustannie.

20) Uplazy na Podhalu.



dzily podobne gromadki, nieco mniej utuczzone, a pędzone przez oślaki. Były tam i takie żywotwory ludzkie, co do innej chudoby się upodobniły. Jak gdyby kozy, capy, jak gdyby owce, barany. Świnoludy jak widać byli w największym poszanowaniu. Inni ustępowali im z drogi.

Gdy szedłem zwyczajnie po ludzku, oślak doganiał mnie, rżał, skakał na mnie i uderzał kopytami. Chciał mnie zwalić bym chodził na czworakach. Z dziesięć razy wstawałem tak i padałem, znów bity kopytami przez oślaka, aż doszliśmy do pastwiska. Nie miałem lęku, ale i siły wtedy nie miałem, by się z nim mocować.

Zamieszalem się w trzody, położyłem się na trawie. Trawa była drobniutka, ruda, zakędzierzawiona. Taka jaką zobaczyłem, gdy po raz pierwszy wyszedłem od chlapawek na stony step. Stada pasły się spokojnie. Niby to — pasły się. A ciągle spoglądały na oślaka. Wciąż chrukały, mniej szeptały niż w kuczcy. Oślak pilnował. Położył się na trawce. Mrużył oczy lecz wciąż zaglądał. Szpiegował przez szpary oczu. Potem jednak drzemał. Zasypiał powoli. Wtedy stada przestawały się paść. I wtedy szept wstawał z gromad. Rósł, falował nad pastwiskami jak tęgi wiatr. Słyszałem w nim różne westchnienia, liczne wieści.

Po jakimś czasie doleciał z daleka świst przeraźliwy. Potem hałasy i piski nieznośne, dziurawiące uszy, a potem głośnie kłapanie. Przywiało zgnią woń siarkową. Oślak zerwał się, rżąc zaczął okrążać trzodę. Podobnie inne oślaki.

Jeszcze jeden ciężki, gęsty szept wionął porywem przez pole: Idą Mocarze-Karmiciele — oglądać trzody.

Ustały szepty. Znów wyglądało, że pasie się trzoda chętnie, gorliwie.

A gdy zbliżyły się potwory gniłolistne, kłapiąc nogami obutymi w ciężkie kamienne kłody, na ich powitanie jak na komendę ożywiła się trzoda w przerażeniu. Równo stapały pasące się rzesze, co jakiś czas równym odmierzoną głosem chrukały: chru—chru—chru—do—brze—tu!

Na czele najładniej utuczzone, zgrabnie już uczworaczone i jakby nieco śmielsze — swinoludy. Za nimi już trochę pośledniejsze sztuki. A chudzięta i niedokarmki, marnie się prawiące, albo takie, co nie umiały się ruszać czworonożnie, gdzieś daleko na samym koniuszku. Wszystkich oczy były jednakowo bez ruchu wypulone, gęby nieruchome, otwarte w przerażeniu.

Po raz pierwszy ujrzałem bliżej Syrojidów. Z daleka każdy błyskał gałą ocną w trójkątnej ramie. Nie szli słobodnie, tylko jeden z nich napuchnięty jak potworny liść zgnity — watażko ich widocznie — wciąż typiąc galiskiem trzymał szponami bułatnymi<sup>21)</sup> na smyczach całą sforę Syrojidów, może ze dwadzieścia sztuk. Tak jak na dworach pańskich psiarzyk sfory psów trzyma. Watażko jednak nie trzymał ich na pętłach ani na lejcach rzemiennych, lecz za długie warkocze, jakieś plecionki w głowie,

21) Stalowy.

w rzemieniasto twarde włosy powplątane. Mocno ich dzierżył, ścigał czasami do kupy, jakby miał trzody od nich ochraniać. Aby — co tam można wiedzieć — nie spałaszowali od razu, czy nie pokaleczyli tej chudoby własnej straszными, zakręconymi zębami, nie zatruli stalowymi szponami. Tymczasem Syrojidy prowadzeni na smyczach twardłosiennych byli spokojni. Cieszyli się trzodami. Z radości wydawali świdrzące piski. Z radości ciągle obwąchiwali się wzajemnie.

Nie miałem jeszcze czasu obejrzeć dokładnie Syrojidów, bo tu nagle tocząc i typiąc okiem łyskawicznie, chrapliwie wrzasnął watażko tak, jakby buk wielki nagle się rozłupał. A większa jeszcze trwoga padła, jak mraka żółta na trzody, na rzesze ludzkie. Trzęsły się ciała, dygotały odnóża, kłapały zęby. Syrojidy posłusznie usuwali się na bok. Wśród ciszy stukwały ich kłody.

Ujrzałem wtedy jeszcze ohydniejszy pokaz niż rano w kuczcy. Shańbienie piekielne.

Oto swinoludki, niby-kobiety, a tak samo niektóre inne bydło — podobne-samice — zaczęły wypinać zasmarowane tyły, pchać je pod nos samcom, niby-mężczyznom. Wielu z nich, w których była jeszcze swoboda i człowieczeństwo, nie dbając o Syrojidów, z wraskiem, szlochając — uciekali. Ale inni, chociaż nieliczni, przybliżali się, oblizywali tyły zabrudzone, po zwierzęcemu parowali się na oczach Syrojidów. Byli nawet tacy, co szarpali się i wykąsywali sobie ciała, bijąc się o samice.

Następnie oślaki rozłączały obie gromady. Tę garstkę, co posłuchała rozkazu watażka, — od rzesz, co uciekły z obrzydzenia. Garstkę zbydlęconą zostawili w spokoju.

Zabrali się do ludzkiej rzeszy. Oślaki krążyły pośród tłumu. Na znak watażka karbowwały wskazanych przezeń ludzi. Uderzały kopytami tak, że zostawały krwawe i sine karby na ciele. W śmiertelnej ciszy czekał każdy losu. Potem oślaki oddzieliły część z tych pokarbowanych i popędziły przez sobą ku zagrodom syrojidskim.

A za nimi na smyczy u watażka, kłapiąc kłodami, piszcząc, podwrzaskując a wciąż obwąchując się wzajemnie z radości, pognali Syrojidy.

Cieszyli się na uczy święteczne. Cieszyli się, że mają chudobę prawdziwą. Cieszyli się, że będzie przyplódek w chudobie.

A gdy się oddalili Syrojidy, rozszepały się pastwiska i stopy. Powoli tężały szepty. Szły szeroko. I już jęk cichy niósł się, jęk całych rzesz. Dawał hasło do czegoś. Wzywał kogoś. Docierał wszędzie, przenikał. I ja jęczałem razem z innymi, wbrew woli.

Sam zrozumiałem, że pognali tych nieszczęsnych na zabicie, a z szeptów usłyszałem i domyśleć się mogłem, że naprzód dadzą ich do karmników, by ich podtuczyć mlekiem oślic czy mlekiem syrojidskim, bo tak przygotowują się do uczt świętecznych.

Ale nie było czasu na zawrozenie. Rżeniem znów dały hasło oślaki do jada. Bo że tu nibyto pasły się rzesze, to tylko uda-



wały tak ze strachu, że są już chudobą syrojdzką a nie ludźmi. Inaczej by im potem jeść nie dali. A naprawdę to żaden chyba nie uszczęknął tej skąpej strawy. I z tego by żaden nie mógł żyć, a co dopiero utuczyć się, jak chcieli Syrojidy.

Dawali im tedy jeść przy kuczach w wielkich korytach kamiennych strawę obrzydliwą ponad wszelkie obrzydliwości: jakby same jaja zgniłe. Wygłodnieli ludzie pchali się do koryt.

Taki był trzeci pokaz piekielny tego dnia, to karmienie trzód. Ale już byłem nieczuły z obrzydzenia, z męki. Dotknąłem fłojery przed nocą na lęk, na ukojenie. Jednak nie ochoczo mi było do gry — pod bramą piekieł, w Rabskim kraju niewoli.

Dowiedziałem się później, że pokarm ten brali Syrojidy z gorącego błota, które wyrzucały podziemne ognie z huzyci piekielnej. Ludzie sami tam nie mogliby zbliżyć się ani nawet podejść do tych płomieni piekielnych. A Syrojidom to nic. Dlatego bez Syrojidów — tak szeptano — ludzie w pustyniach i stepach słonych, blisko piekieł, poginęliby śmiercią głodową. Tego się bali. Stąd o ucieczce bali się myśleć. Tu był rdzeń niewoli. Dlatego zwali Syrojidów Karmicielami, Mocarzami.

Także tamtejsze źródła mętne i pohane, a wodopoje śmierdzące. Szeptano jednak, i to właśnie ze strachem największym, że jedno tylko było źródło, hen daleko, gdzieś na krańcach podpiekielnej krainy, słodkie i czyste ale czarodziejskie, groźne. I jego mocy używali Syrojidy dla niewoli najgorszej.

Mocą jego czarów spowiadali ludzi. Wymiatali dusze z myśli, dowiadawali się wszystkiego. Jakby miotłami drucianymi i grabiami grabili wszelką myśl. Zostawiali jamę czarną, pustką. Zaś za myśli niewierne, od razu karali, porywali na rzeź — chcieli je wytepić. Toteż zniaczeni ludzie nie tylko nie chcieli poznać tego źródła. Nie tylko bali się pić z niego, bali się nawet o nim myśleć. Woleli inne źródła, ukochali je prawie, byle być z dala od tamtego. A właśnie wszystkie te inne źródła to także było obrzydlistwo, że zwyczajna i to najmarniejsza chudoba wołałaby zginąć niż pić z tego, niż dać się zniżyć. Ale wtedy dobrze poznałem jak ludzie trzymają się życia.

Poznałem wszystko, gdyż zamykali mnie wciąż do innych kucz, wciąż przylączali do innych trzodek. Nie wiem ilu osłaków pokarbowało mnie na sino kopytami, poraniło mnie i obśikało, starając się zniżyć mnie, nastraszyć. Potem dawałem sobie z nimi radę. I chociaż byłem i wśród takich ludzi, co nie schudobieni byli jeszcze, albo mniej schudobieni, albo trochę na jakąś inną modłę się chudobili, nie na słońską, wszędzie znalazłem tę samą obawę. Ba, nawet jak gdyby obawę o Karmicieli, aby im się coś nie stało, bo z czego będziemy żyć!

Czasem znów szeptano, — sypały się strachy — że nas wyrzucą Syrojidy het, na stępy, w pustynie i wygłodzą. A wydawało mi się tam przecie z początku, że człowieka wyziewu huczyczne ziemi i niewola ciężka tak zatrują, że nic mu się nie chce. Ani uciekać ani mocować się z osłakami. A żyć to najmniej ze wszystkiego.

Tymczasem ludzie, którzy pobyli u Syrojidów drżą o życie. Słuchają każdego kwiknięcia osłaka, każdego skrzyphu, pisku Syrojida. Szeptano także, że nawet gdy ich Syrojidy biorą na upieczenie, ci skazańcy nieraz szwinowiernie okazują radość z tego, że mogą teraz nakarmić swych karmicieli. A i to nawet szeptano, jak gdyby sławiąc wdzicznie wielkoduszność karmicieli, choć któż to mógł wiedzieć — że gdy widzieli taką wierność, to już zdarzało się, że samym sobie — czy swemu Nibybogowi Bożuchowi — pożałowali pieczeni. Podarowali życie, woleli mieć tak wierną chudobę niż najeść się. Jednak także słychać było — i to z wielkim strachem wyszeptane, — że był raz jeden taki, — nikt nie wiedział który, — co prowadzony do pieca nad wałką buchającą z ziemi, także cieszył się tym wielce. Ale prosił Syrojida, by mu pokazał dokładnie jak ma położyć się na ruszcie, aby była dobrze przyprawiona pieczeń. A gdy ten położył się, zatrzasnął kamienne drzwi od pieca. Upiekł się Syrojid, a ten ciekł zuchwały wymknął się z chaty, zamieształ w trzody i uciekł stąd. Kto wie co się z nim stało...

Zewsząd płynęły szeptania. Falowały tędy i owędy. To skarga trwożnie dławiona jak źródło zapadłe, to wyrzeczeniem nieludzkim, odrzeczeniem się bezbożnym, bełkotem studni zamurowanej. Lecz już stał i zowąd sierocym szeptem sączyła się tęsknota jak strumyk pustynny. Tuliły się do siebie nikle strugi, łączyły się. Szumiały jak wiatr, wzmagały się. Nad całym krajem tęsknota grała rzeką i ten był tam jedyny głos niepiekielny. — Tak przekazywał Kudil o kraju niewoli.

(*Koniec pierwszej części opowiadania Drondieka*)

Stanisław VINCENZ.

\*\* Syrojidy. Urywek z III t. "Na Wysokiej Połoninie", z księgi pt.: "Agon", napisanej w 1936 r. W zawodach muzykantów i opowiadaczy, podczas godów weselnych w Krzyworówni nad Czeremoszem w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, opowiadania, przeważnie mity fantastyczne, zaczynają się u bram piekła i w wstępującym porządku idą przez całe życie aż do wrót niebios. Każde opowiadanie poprzedza odpowiadający mu instrument muzyczny. Opowiadanie Drondieka o Syrojidach poprzedziła gra na starej fłojerze.

Mit o Syrojidach jest widocznie stary, po ukraińsku to słowo oznacza takich nibyludzi, (można by przetłumaczyć "surowojadów"), którzy zjadają potrawy surowe, niegotowane, także mięso i to ludzkie w szczególności. W starożytnej Grecji nazywano jakiś nieokreślony bliżej mityczny szczep rzekomo scytyjski "Omofagoi" co znaczy "surowojady", a także "kynokefaloi" — "psiołowy", (choć później tej ostatniej nazwy używano dla określenia także pewnego gatunku małp). Odpowiada to w każdym razie innej ukraińskiej nazwie dla syrojidów: "pesiholowy" (w narzeczu huculskim). Ta nazwa i ten mit były rozpowszechnione nie tylko na Ukrainie lecz także na Rusi moskiewskiej. Jeszcze w roku 1917-tym żołnierze rosyjscy z powodu narzekania chłopów na Pokuciu na rekwizycje odwzajemniali się im w swoisty sposób, straszając, że spuszcza z łańcucha sprowadzonych z Azji "surowojedów", a ci od razu spałaszują wszystko na pniu i na surowo. Ważne jest, że używający tego słowa żołnierze i chłopci rozumieli się wzajemnie. W roku 1945-tym spotkałem młodego żołnierza sowieckiego, byłego studenta, który brał udział w ekspedycji naukowej na północy. Opowiadał o Tunguzach i dodał żartobliwie, że do niedawna jeszcze nazywano ich, mitycznie czy zabobnie, "surowojedami". Pytał mnie czy spotkałem się kiedy z tym wyrażeniem.



## Archiwum polityczne

### List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

#### NAZAJUTRZ PO ZWYCIĘSTWIE

Znany już powszechnie artykuł George F. Kennan'a o przyszłości Rosji, który ukazał się w "Foreign Affairs", Nr 3. Vol. 29 — przedrukował w tłumaczeniu niemieckim, doskonale redagowany amerykański miesięcznik "Der Monat", wydawany w Berlinie. Równocześnie, redakcja "Der Monat" rozpisała zamkniętą ankietę, zwracając się do wybitnych osobistości świata zachodniego z zapytaniem, co sądzą o artykule Kennan'a i o przyszłości Rosji. Ostatni numer (37) "Der Monat" przyniósł pierwszą serię tych wypowiedzi. W dyskusji biorą udział: Raymond Aron, Fedor Stepun, Ernst Reuter, David J. Dallin, Max Beloff i Wilhelm Röpke.

Oczywiście, najważniejszy z nich wszystkich jest sam Kennan, ponieważ reprezentuje amerykański punkt widzenia i mentalność swojej rasy. Artykuł Kennana i wypowiedzi ankietowe można by streścić w sposób następujący:

Amerykanie pragną, by w Rosji powstał rząd przynajmniej w pewnej mierze demokratyczny. Gdy rząd ten uwierzy, że reszty świata nie ma powodu identyfikować z antyrosyjskim sprzyśnięciem — przyjaźń jaką odczuwa Ameryka dla wielkiego narodu rosyjskiego będzie mogła być w pełni urzeczywistniona.

Kennan jest zdania, że życie w jarzmie totalitarnego reżimu jest nieszczęściem za które nie można winić całego narodu. Wskutek tego, po zwycięstwie nie będzie nowy o procesach, karach, sądach i trybunałach na wzór norymberski. To wszystko należy do przeszłości. Kennan wykpiwa tych, którzy sądzą, że po upadku reżimu sowieckiego, ludność Rosji podzielić będzie można na dwie kategorie: kolaborantów i męczenników.

Wychodząc z takich przesłanek Amerykanie sądzą, że wojnę — jeżeli nie będzie można jej uniknąć — należy podjąć i wygrać — wprawdzie jednak należy uczynić wszystko możliwe, by jej uniknąć. Kennan wierzy, że zmiany w kierunku upragnionym przez Amerykę — nastąpić mogą w Rosji bez wojny. Zastrzega się jednak, że tego rodzaju punkt widzenia jest

sprawą subiektywnego, osobistego przekonania i aktem wiary. Amerykanie — podobnie jak Rosjanie — myślą globalnie i dlatego Kennanowi tak łatwo przychodzi zauważyć, że gospodarczo Ukraina w równej mierze należy do Rosji co Pensylwania do Stanów Zjednoczonych. Łatwo mu jest już dziś nawoływać Bałtów, Polaków, Litwinów — by nie kierowali się nieważnością do przyszłej Rosji. Świat wygląda niewątpliwie inaczej oglądany amerykańskimi oczyma, a inaczej gdy spojrzeć na niego oczyma Polaka, Litwina czy Ukraińca.

Dla nas, przede wszystkim, ważne jest jak sobie Amerykanie wyobrażają owo zwycięstwo? Właściwie czytając Kennana i cytowane wypowiedzi ankietowe dojdź się musi do wniosku, że nikt w Ameryce i na Zachodzie nie marzy o zwycięstwie, lecz o powrocie marnotrawnego syna. Nie tylko mowy nie ma o "bezwarunkowej kapitulacji", ale Amerykanie już dziś zgadzają się z tym, że w Rosji nie będzie można realizować liberalnej amerykańskiej demokracji, a pewne sowieckie urządzenia pozostaną jako pożyteczne i odpowiadające duchowi rosyjskiemu. Kennan uważa bowiem, że Rosjanom należy pozwolić być Rosjanami.

Wydaje się, że pewni Amerykanie sądzą, iż wystarczy, by w Moskwie zmienił się reżim, by Rosjanie wyrzekli się raz na zawsze wszelkiego imperializmu. Polscy historycy i pisarze polityczni nie podzielają tych poglądów, wskazując na całkowitą zbieżność imperializmów carskiego i sowieckiego. — Mimo to, bardzo wielu wybitnych zachodnich historyków reprezentuje opinię, że Rosja była zawsze w defensywie w stosunkach z "agresywnym" Zachodem. Pomijam notorycznych rusofilów, których nigdzie nie brak i ograniczę się do zacytowania prof. Arnolda J. Toynbee'go, jednego z najwybitniejszych historyków anglosaskich, którego w żadnym wypadku nie można posądzić o sympatyzowanie z Sowietami, czy nawet z carską Rosją. Prof. Toynbee pisze, że "w wielowiekowym rejestrze wojen, jakie toczyły się między dwoma odłamami Chrześcijaństwa (tj. między Rosją a Zachodem — przyp. mój), wydaje się faktem, że Rosja była częściej ofiarą agresji Zachodu niż odwrotnie" (w tomie "Civilization on Trial", Oxford University Press). Prof. Toynbee jest zdania, że owe akty agresji Zachodu w stosunku do Rosji zaważyły decydująco na rozwoju psychologii narodu rosyjskiego, który uważa się za wieczną ofiarą zaborczego Zachodu. "Ów rosyjski punkt widzenia — cytuję dosłownie — zawiera prawdopodobnie więcej słuszności niżby można było przypuszczać" (ibidem).

Przytoczyłem powyższe opinie — bynajmniej nie odosobnione — w dwóch celach. Po pierwsze, by wyjaśnić skąd biorą się u polityków amerykańskich i zachodnich podobne sądy o Rosji. Polityków wychowują historycy. Takich się ma polityków jakich się ma historyków. Po drugie — by wykazać, że obiektywizm zarówno w polityce jak i w historii (która jest zatrzy-



maną w biegu polityką) jest wartością względną i zawsze niedoskonałą.

Stany Zjednoczone są nie krajem, lecz kontynentem, dlatego używając określenia "opinia amerykańska" czy "Amerykanie sądzą" — łatwo popaść w błąd nieopatrznie uogólnienia. Można jednak powiedzieć z dużą dozą obiektywizmu, że Amerykanie tego typu i miary co Kennan, są architektami tzw. opinii publicznej. Prasa światowa określiła wypowiedź Kennan'a mianem "Manifestu Zachodniego Świata", a wielu wybitnych publicystów amerykańskich wyraziło pogląd, że jest to jeden z najważniejszych dokumentów politycznych powojennej epoki.

Jakkolwiek ocenialibyśmy ów "manifest" i zawarte w nim tezy — sądzą, że możemy przyjąć — jeżeli nie za pewne, to za wysoce prawdopodobne iż:

1) Rosja nie będzie kapitulowała na warunkach "unconditional surrender" jak hitlerowskie Niemcy.

2) Likwidacja reżimu sowieckiego i automatycznie z tym związane wycofanie się Sowietów z krajów satelickich — jest zasadniczym, ale i jedynym, jasno określonym warunkiem, wyśwanym pod adresem narodu rosyjskiego.

3) Dla Rosji istnieją możliwości powrotu do społeczności narodów świata z nienaruszonym potencjałem przemysłowym, wojskowym i terytorialnym — (nie licząc zaborów dokonanych po r. 1939).

W uzupełnieniu punktu 2-go należy dodać, że również rosyjska polityka emigracyjna reprezentuje pogląd, iż Rosja powinna się wycofać tylko z krajów satelickich. Natomiast problem Ukrainy, Białorusi, państw bałtyckich i Litwy, polityka ta traktuje jako zagadnienie całkowicie wewnętrznie rosyjskie (Gdyby kiedyś pod wpływem rosnącej groźby militarnej potęgi St. Zjednoczonych dojść miało do "appeasementu" — na warunkach dyktowanych przez Zachód — nie sądzą, by rząd sowiecki cofnął się dalej niż proponują to obecnie rosyjscy emigranci).

Ostatnio można na szczęście zanotować coraz więcej głosów amerykańskich, które kategorycznie potępiają tego rodzaju pan-rosyjskie koncepcje.

Wydaje się, że minimum czego musimy się domagać, to by te narody miały w przyszłości zagwarantowane prawo swobodnego wyboru — utrzymania względnie zerwania więzów łączących je z Rosją. Narody te — włącznie z narodem ukraińskim — winny mieć możliwość przyłączenia się do federacji europejskiej — jeżeli taka byłaby ich wola.

Być może, że w przyszłości wszystko to będzie wyglądało inaczej. Ale nawet gdyby doszło do wojny, pobita Rosja traktowana będzie całkowicie odmiennie niż hitlerowskie Niemcy. Wojna byłaby prowadzona w sojuszu z narodem rosyjskim przeciw wspólnemu wrogowi, tj. reżimowi sowieckiemu.

Jeżeli istotnie dojdzie do wojny — zwycięzcami będą Amerykanie, a nie my, przeto z punktu widzenia realnej polityki polskiej, nasze plany winniśmy kształtować w harmonii z amerykańską koncepcją zwycięstwa. Wszelkie inne planowanie jest planowaniem w próżni.

Przed wszystkim, już dziś musimy liczyć się z faktem, że na drugi dzień po upadku reżimu sowieckiego nastąpi zasadniczy zwrot w stosunkach rosyjsko-amerykańskich. Nowy rząd w Moskwie proklamując przyjaźń ze Stanami Zjednoczonymi będzie mógł liczyć na aktywną pomoc ze strony Ameryki. O poparciu dla "interesów narodu rosyjskiego" Kennan mówi zupełnie wyraźnie.

Amerykanie nawykli do trans-kontynentalnej, wielko-prze-strzennej gospodarki nie mają ani sympatii, ani zrozumienia (podobnie jak Rosjanie) — do drobnych "spraw granicznych", które utrudniają racjonalne planowanie. O problemie ukraińskim Kennan zauważa: "Któż może powiedzieć jaki będzie ostateczny statut Ukrainy, dopóki nie znamy charakteru Rosji w stosunku do której owo "przystosowanie" miało być zrobione".

Innymi słowy, wiele będzie zależało od owego charakteru Rosji. Jeżeli Rosjanie okażą się dobrymi politykami — a nie ma powodu sądzić, że będzie inaczej — grać będą umiejętnie kartę amerykańską. Nie brak im wybitnych ludzi, którzy znają na wskroś psychologię i politykę amerykańską i ci emigracyjni politycy, którzy już dziś są b. aktywni — oddadzą z całą pewnością wielkie usługi Rosji w jej nowym wcieleniu.

Nie ma powodu przewidywać jakiejś fraternizacji, ale albrzymiemu odprężeniu w Ameryce i na Zachodzie towarzyszyć będzie żywe zainteresowanie dla narodu rosyjskiego, który istotnie jest materiałem na partnera w wymiarze światowym.

Wszystko to, przetłumaczone na język realnej polskiej polityki oznacza, że na drugi dzień po zwycięstwie możemy być jeszcze bardziej osamotnieni niż jesteśmy dziś.

W stosunku do nie-sowieckiej Rosji, Amerykanie doradzać będą wszystkim zainteresowanym przyjaźń i jak najściślejszą współpracę. Jeżeli Europa nie wyjdzie z obecnego letargu, należy przewidywać, że w rok po zwycięstwie wpływy rosyjskie na kontynencie będą potężniejsze niż są obecnie.

Amerykanie chcą organizować świat z udziałem Rosji. Jest to słuszny punkt widzenia, gdyż bez udziału Rosji trwałe zorganizowanie świata jest nie do pomyślenia. Polityka amerykańska popiera koncepcję organizacji wielko-prze-strzennych — federacji i związków państw. Nowa Rosja z całą pewnością nie będzie zwalczać tych koncepcji i wykaże wielkie zrozumienie w tym zakresie.

Innymi słowy, realna wydaje się obawa, że jeżeli kraje Europy środkowo-wschodniej nie sfederalizują się z własnej in-



cjatywy w pierwszym okresie po uwolnieniu — zostaną sfederalizowane nieco później z inicjatywy nowo-rosyjskiej.

Polski czytelnik, rozważając ten cykl zagadnień musi ustawnie mieć w pamięci, że Amerykanie są wrogami Sowietów, a nie Rosji czy Rosjan i przyjaznej, nie-sowieckiej Rosji gotowi są przyznać poważny udział w organizowaniu świata.

W poprzednim n-rze "Kultury" podaliśmy za "Foreign Affairs" streszczenie interesującego artykułu Jana Wszelakiego. Artykuł ten ilustruje proces zrastania się gospodarczego krajów satelickich — dziś pod hegemonią Sowietów. To dokonywane obecnie zespolenie gospodarcze, nowa Rosja będzie się starała z całą pewnością wykorzystać politycznie dla swoich celów.

Sumując nasze dotychczasowe rozważania — sądzę, że można zaryzykować na pozór paradoksalne stwierdzenie, że pod pewnymi względami, na drugi dzień po zwycięstwie możemy mieć gorszą koniunkturę polityczną niż obecnie.

Jeżeli powyższe rozumowanie jest słuszne — przejdźmy do wniosków:

Przed wszystkim, musimy jasno zdawać sobie sprawę z celu do którego zmierzamy. Nie widzę sprzeczności między amerykańskim a polskim punktem widzenia w odniesieniu do nowej Rosji. Polacy pragną również, by w Moskwie był rząd demokratyczny, wyznający zasady międzynarodowej współpracy, a nie hołdujący polityce zaborów i ucisku. Jednak sytuacja nasza jest nieco inna niż Stanów Zjednoczonych stąd i poglądy nasze wymagają bardziej szczegółowego sformułowania.

Jan Wszelaki, w cytowanym powyżej artykule, pisze, że państwa satelickie, choć dziś gospodarczo zorientowane na Rosję — oderwą się od niej natychmiast, gdy będzie to możliwe, bez względu na ekonomiczne trudności związane z taką decyzją. Państwa te zechcą zapewne zachować więzy, które łączą je wzajemnie — zerwą jednak wszelkie więzy łączące je z Rosją.

Cel naszej polityki wydaje się całkowicie jasny i oczywisty. Winniśmy uprzedzić ewentualną inicjatywę nowo-rosyjską i przygotowywać federację narodów Europy środkowo-wschodniej już dziś. Ma być blok wielko-przestrzenny — stworzymy go, ale nie pod hegemonią rosyjską.

Polacy na emigracji powinni sobie codziennie uzmysławiać, że proces scalenia (owo programowe amerykańskie "integration") — odbywa się w krajach za "żelazną kurtyną" z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Proces ten odbywa się bez nas i nasze operetkowe dyskusje na temat "umowy paryskiej" nie wiele mają z tym wspólnego.

Krótko, musimy sobie jasno zdać sprawę, że nowej Rosji będzie się mógł oprzeć i przeciwstawić politycznie tylko potężny blok federacyjny państw Europy środkowo-wschodniej, a nie

opra się jej suwerenne państwa wykrojone ze scalonego już uprzednio obszaru gospodarczego.

Federacja byłaby jednostką wielko-przestrzenną w dużej mierze gospodarczo niezależną i posiadałaby wszelkie możliwości współpracy ekonomicznej z Rosją na zasadach całkowitej równości i niezależności.

Jeżeli kraje Europy środkowo-wschodniej po uwolnieniu powrócą do koncepcji suwerenności, zatargów granicznych i historyczno-mocarstwowego tromtadactwa — to w okresie najbliższych dziesięciu lat znajdą się w orbicie wyjączych wpływów rosyjskich. Rosji nie tylko nikt nie wyprze z Europy — ale nie waham się twierdzić, że jej głos w sprawach starego kontynentu będzie rósł w przyszłości co jest nieuchronną konsekwencją utraty przez Europę prymatu w polityce światowej.

Jeżeli urzeczywistni się ideał amerykański w postaci OZN jako praktycznego instrumentu rządzenia światem — decydujący głos przypadnie reprezentantom wielko-przestrzennych organizacji politycznych jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania czy nowa Rosja. Należy uważać za wykluczone, by powrócono do koncepcji całkowitej równości w tym sensie, by reprezentant suwerennego Luksemburgu decydować miał w tym samym stopniu o losach świata, co reprezentant Chin czy Wielkiej Brytanii. Pod tym względem nie należy mieć żadnych złudzeń. Rytm historycznego rozwoju idzie w kierunku scalania, a nie rozdrabniania.

Powinniśmy przeto już dziś myśleć o trudnym okresie, który nas czeka nazajutrz po uwolnieniu Polski.

Skoro kraje Europy środkowo-wschodniej już obecnie są ze sobą gospodarczo związane i znajdują się "w jednej łodzi" — dlaczego my, na wolności, którzy reprezentujemy te kraje nie jednoczymy naszych akcji, nie tworzymy wspólnej reprezentacji politycznej i zamiast płynąć również w jednej łodzi, bawimy się "niezależną" polityką?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Rządy emigracyjne, reprezentacje emigracyjne itp. narodów zsa "żelaznej kurtyny" tkwią korzeniami w przeszłości, wpatrzone są w przeszłość, wplątane są w spory i intrygi związane z przeszłością. Ci ludzie nigdy się nie pogodzą, niczego już się nie nauczą — do śmierci pozostaną obcy duchowi nowych czasów.

Osobiście widzę tylko jedno wyjście z tej jałowej matni. Powinniśmy ruch federalny całkowicie oderwać od reprezentacji emigracyjnych. Należy powołać organizację federacyjną Europy środkowo-wschodniej, niezależną i samodzielną, która by szerzyła ideę federacyjną. Osobiście jestem przekonany, że znakomita większość emigrantów zsa "żelaznej kurtyny" jest za federacją. Jeżeli do tej pory wola tej większości nie znalazła wyrazu politycznego, to tylko dlatego, że poszczególne narodowe reprezentacje opanowane są w całości przez ludzi "ancien ré-



gime'u". Organizacja federacyjna winna działać na własną rękę, a gdyby powiodło się jej skupić w swych szeregach poważny odłam emigrantów zza "żelaznej kurtyny", nabyłaby tym samym prawa przemawiania w ich imieniu i reprezentowania wobec obcych ruchu federacyjnego.

Na obczyźnie nie możemy zrealizować federacji. Nie mogą zrealizować związku federacyjnego ani rządy czy reprezentacje in exile — ani organizacja, która działałaby niezależnie. Możemy natomiast przygotować powstanie federacji, a przede wszystkim możemy zjednoczyć nasze działanie i wyłonić wspólną reprezentację polityczną. Możemy wspólnie zorganizować międzynarodową brygadę środkowo-wschodnio-europejską.

Działając w ten sposób wyciągnęlibyśmy konsekwencje z przemian gospodarczo-strukturalnych, jakie zachodzą w krajach Europy środkowo-wschodniej i moglibyśmy liczyć na twardy grunt pod nogami w okresie brzasku "nowej ery" — na drugi dzień po zwycięstwie.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

## EASTERN QUARTERLY

NIEZALEŻNE PISMO W JĘZYKU ANGIELSKIM  
POŚWIĘCONE SPRAWOM EUROPY ŚRODKOWEJ  
I WSCHODNIEJ, ROSJI ORAZ BLISKIEGO WSCHODU.

Numer październikowy 1951 r.  
zawiera między innymi artykuły:

R. Wragi — *America and the Soviet Union*, D. N. Ciotori — *Treuga Stalini*, Z. Sławińskiego — *Poland's Western Frontier on the Odra-Western Nysa Line and the Interests of the Central European Federation*, A. Gugushvili — *The Struggle of the Caucasian Peoples for Independence*, oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd ostatnich wydawnictw.

CENA: w Anglii — 3/- za poj. egz.; we Francji — 120 franków za poj. egz.; w Niemczech — 2 DM (poczta lotn. opł. dodatkowa).

Wydawca: **The Morven Press Limited**  
32, Bolton Gardens, London S.W. 5, England.

## Sprawy i troski

### Symbioza

Powszechne narzekanie i biadolenie nowoprzybywających z Europy jest mało uzasadnione i nieprzemyślane, często wręcz społeczne i szkodliwe. Wiele mówiącym faktem jest iż 90% nowych imigrantów korzysta z affidavitów czy tzw. assuransów (zapewnienie pracy i mieszkania), wystawianych przez Polonię z niemałym nakładem kosztów i straty czasu. Po dziś dzień płyną do kraju szeroką rzeką miliony paczek odzieżowych i żywnościowych. Przeważnie pomoc ta udzielana jest nie tylko najbliższemu członkowi rodziny. Jest to bezinteresowny odruch serca i poczucia szczepowego obowiązku. Czyż nie jest wreszcie niezwykłym dowodem szlachetnej ofiarności fakt iż już osiem numerów "Kultury" fundowała Polonia w wyniku kwestarskiej podróży Józefa Czapskiego? Uważam, że St. Zjednoczone ze względu na tę wielomilionową masę przyjaciół i sojuszników powinny być od początku naszej emigracji rozpatrywane w pierwszym rzędzie jako główny kraj czasowego osiedlenia. Kiedy zabrakło pokrycia niedojrzałym planom domorosłych sztabowców, rojących cny o tzw. "małej Polsce na emigracji" — wówczas stoczyliśmy się najniepotrzebniej w drugą ostateczność, rozsypując w kompletnej diasporze doskonały element żołnierski pokolenia Polski Niepodległej (starsi słusznie pozostali w większości na angielskich billetingach), po wszystkich kontynentach i szerokościach geograficznych. Rezultatem tego bezhołwia jest bezsensowne rozproszenie po całym globie i chroniczne, maniackalne pętanie się z jednego niezagrzanego kąta w drugi. Z perspektywy czasu ocenić można, iż należało już wówczas czynić wszelkie wysiłki, by znakomita większość emigracji znalazła się możliwie jak najszybciej w kraju, z którego polityką związana jest przyszłość naszej sprawy i gdzie znajdujemy oparcia w rzeszach amerykańskich rodaków. Sześć lat temu przeciwdziałano wyjazdowi za ocean, argumentując niebezpieczeństwem wynarodowienia. Usiłowano



trzymać pełne obozy w Anglii i zachodniej Europie (byli tacy, byli), by móc "za trzy miesiące" skrzyknąć pod swą komendę to starzające się mocno wojsko. Dziś już jest powszechnie wiadome, że emigracja polityczna nie potrafi wg. nowoczesnych wymagań wieku wystawić więcej jak jednej pełnej dywizji, chociażby zbiegała się do polskiego wojska z krańców świata. Natomiast gros materiału ludzkiego i tak na własną rękę opuściło już Europę i tuła się po kilkudziesięciu krajach, skazane przeważnie na twardy los początkującego, niewykwalifikowanego robotnika, bez oparcia w obcych warunkach i bez poważnych możliwości wyzwoleniczej akcji politycznej. Teraz, kiedy kwota polska całkowicie już niemal się zwolniła kiedy udało się nam, dzięki presji Polonii w Waszyngtonie przeprowadzić ustawę kongresu o DP i rozszerzyć ją na 18 tysięcy byłych żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii, wyczuwa się na każdym kroku, iż Stany Zjednoczone gotowe są wpuścić większą ilość Polaków niż dotychczas. Jestem zdania iż trzeba z tego skorzystać. Jako przedstawiciel SPK w stolicy Stanów zabiegałem w senackiej komisji senatora Mc Carrana o przepchanie tej poprawki o 18 tysiącach kolegów z Wysp Brytyjskich. Do dziś zgłosiło się tylko 8 tysięcy. Kongresowi Polonii udało się uzyskać przedłużenie terminu do 31 grudnia br. Jest to wynikiem świadomej akcji kierowniczych czynników polonijnych, które od kilku lat starają się jak najszerzej otworzyć drzwi do Ameryki masie emigrantów politycznych. Czynią to zapewne w wyniku obserwacji, iż ewolucyjnie przebiegający proces wzajemnej osmozy dwu fal ludzkich przynosi niezmiernie pożyteczne wyniki także dla życia organizacyjnego Polonii. Ci z nas, którzy potrafili się jako tako zaaklimatyzować i nawiązać szczerą, rozumną współpracę z dawną emigracją, oddziałują powszechnie jako katalizator repolonizacyjny i upolityczniający stare zarobkowe uchodźstwo na rzecz naszej sprawy. W trakcie ostatniej wojny Polonia wytraciła już w poważnym stopniu swą młodzież, która dzięki szkole i służbie w siłach zbrojnych uległa zrozumiałemu procesowi daleko idącej amerykańskiej. Wychodząc coraz bardziej z ghebowych środowisk polonijnych usuwa się ona też niestety z życia organizacyjnego, zachowując jedynie poczucie swoistego sentymentu do ziemi ojców — oraz owych uczących po polsku babek. Nie jest jednak to młode pokolenie doszczętnie stracone dla sprawy polskiej — może być nawet doskonale zużytkowane. Trzeba się jednak pogodzić, że są to już stu procentowi Amerykanie i proces ten jest nieodwracalny.

Tak więc starszemu pokoleniu, które stoi u steru stowarzyszeń i związków wydawało się jeszcze parę lat temu, że życie polonijne zaczyna bezpowrotnie zamierać, a wszystko co dziać się będzie w przyszłości to najwyżej łabędzi śpiew wykańczającej się gwardii. I oto po Warszawie, po kłęsce jałtańskiej zaczęli zjeżdżać jeden za drugim krewniacy-żołnierze Polskich

Sił Zbrojnych — nowa emigracja polityczna. Proces ożywienia trwa i potęguje się na skutek obiegu nowej krwi.

Centrum Polonii — to Chicago. W ciągu ostatnich dwu lat byłem tam trzykrotnie z rocznymi przerwami, obserwując za każdym razem niebываłe zmiany. Na 600 tysięcy starej Polonii, w tej drugiej co do wielkości metropolii Ameryki, jest już z górą 10.000 nowej emigracji. Pracują b. ciężko w obcych sobie zawodach — to prawda, klną nieraz po cichu na czym świat stoi i bczą się na amerykańskie i polonijne porządki. A jednak... ulicami polonijnych dzielnic Chicago chodzi się dziś jakby po największym wolnym polskim mieście. Płyńie nimi nieskażona mowa polska. Na wszystkich sklepach pojawiły się polskie ogłoszenia. Organizowane są wieczory artystyczne i dyskusyjne, imprezy literackie, chóry itp. Życie kipi, a stare zamierające już niemal organizacje polonijne nabrały nowych rumieńców — odnalazły powtórnie swój sens istnienia. Tłoczno jest na zabawach i w barach, ale tłoczno też na Uniwersytecie Ludowym i koncertach. Podobnie dzieje się i w innych wielkich ośrodkach polonijnych: Detroit, Buffalo, Milwaukee itd.

Główny prąd emigracji z Europy kieruje się dziś przede wszystkim do Kanady. Ten ogromny, pusty jeszcze, kraj o wielkiej przyszłości ma jednak tylko dwustutysięczną Polonię na 14 milionów ludności. Jest on niejako dopełnieniem gospodarczym Stanów Zjednoczonych, politycznie zaś stanowi pomost pomiędzy Stanami i Zjednoczonym Królestwem. Znaczenie Kanady w polityce światowej jeszcze długo będzie prowincjonalne. Praca fizyczna o którą co prawda nie trudno, jest na ogół cięższa i gorzej chroniona, szczególnie tak zwane kontrakty na wyrąb drzewa zatracają kolonialnym wyzyskiem. Nowoprzybyli nie potrafili jeszcze wypracować w Kanadzie takich form pomocy w wynalezieniu pracy i mieszkania jakie już istnieją w głównych centrach polonijnych Stanów. Również z punktu widzenia użyteczności politycznej emigracja do Stanów posiada bez porównania więcej sensu.

Wbrew temu czego nasłuchiwałem się od różnych "dygnitarzy" w Londynie, a także w Waszyngtonie na temat nieprzydatności, "chamskości" Polonii i niemożliwości zgrania z nią nowej fali uchodźstwa, stwierdzić muszę, że stosunki między nową a starą emigracją układają się coraz lepiej. Polonia zaczyna się już nawet krzywić na podkreślanie owego podziału na nowych i starych, na emigrację polityczną i zarobkową, która to różnica zaczyna się do pewnego stopnia zacierać wobec upolitycznienia Polonii oraz degradacji socjalnej nowoprzybyłych.

Polonii zależy, słusznie, byśmy podtrzymywali ich zasobne finansowo organizacje ubezpieczeniowe, będące właściwą materialną bazą wszelkiego narodowego działania. W zarysowanych powyżej warunkach, jestem zdecydowanym zwolenni-



kiem jak najściślejszej faktycznej współpracy obu grup ludzkich. Wstąpienie do organizacji polonijnej, winno być obowiązkiem każdego nowoprzybywającego emigranta wobec tego środowiska, którego dotychczasowe osiągnięcia mogą być jedynie przez nasz współdziałanie podtrzymane i wzmożone. Odgraniczenie się od Polonii i przerost liczbowy organizacji ekskluzywnych dla nowoprzybyłych wydaje mi się błędnym marnowaniem energii. Oczywiście, iż wiele spraw razi każdego przybysza swą obcością, innością czy też poziomem. Jestem jednak zwolennikiem raczej taktownego przemilczania tych różnic aniżeli wyolbrzymiania ich i wielkopańskiego wybredzania. Drażni nas na przykład i śmieszy twardy język polsko-amerykański owo "badrowanie", "muffowanie", owe "shopy" i "cary", trudniejszy jednak do pojęcia jest zastraszający wzrost amerykanizmów w języku nowoprzybyłych, a czyż nasi działacze polityczni w Anglii nie rozprawiają na przykład o "cornerowaniu" swych prawdziwych czy urojonych przeciwników, czyż nie marzą o wyjazdach na "holidaye" i "weekendy". Każde zetknięcie się dwu różnych fal ludzkich wymaga obustronnej cierpliwości i dobrej woli. Nowoprzybyłych razi zwykle fakt, iż dla uzyskania biernego prawa wyborczego stawiane są wymagania minimum pięcioletniej przynależności do Związku.

Aby zrozumieć rygorystyczne przestrzeganie tych przepisów trzeba wniknąć w historię polonijnych organizacji i majątku ciułanego przez długie lata — grosz do grosza. Np. SWAP (Stow. Weteranów Polskich w Ameryce), rozporządzający dziś kilkudziesięcioma domami weterańskimi, schroniskami dla inwalidów, wygodnymi lokalami organizacyjnymi, prowadzony był niemal od początku przez podoficerów i szeregowców Błękitnej Armii. Napatrzyli się oni nieraz trwonieniu pieniędzy przez naszą inteligencję, jakiejś tragicznej nieodpowiedzialności, bałaganiarstwu i brakowi organizacyjnych talentów u tych, którzy uważają, że mają patent na przewodzenie. Za łatwowierność trzeba było nieraz słono płacić. Ilekroć przyjeżdżało i nadal zwala się blagierów, hochsztaplerów pozujących na hrabiów, rotmistrzów itp. Sam byłem świadkiem przykrych procesów nieuniknionej "detronizacji". Czyż można się w takich warunkach dziwić, że teraz na chłodne się dmucha, że zachować należy chłopską ostrożność i "obwąchać" przybysza zanim mu się całkowicie zawierzy i odda w ręce ciężko zdobyty majątek i organizacyjną władzę. A proces ten i tak nieuchronnie się zbliża. W SWAP'ie, podobnie jak i w innych organizacjach polonijnych starzy działacze doskonale zdają sobie sprawę z tego, a co mądrzejsi cieszą się nawet, iż znalazło się następne ogniwo ich pracy, iż nabiera ona nowej treści. Boją się tylko, by przedwcześnie majątku, bez którego nie można marzyć w Ameryce o poważnej robocie organizacyjnej, nie przetrwonili. Chcą dobrze poznać ludzi, których należy w życie organizacyjne wprowadzić. Nie przedwojenne lub

wojenne nawet tytuły i zaszczyty mają tu znaczenie. Liczy się aktualna przydatność człowieka, jego uczciwość, umiejętność podejścia i współzycie. Zaufania zdobyć nie łatwo, ale winy tej nieufności doszukiwać się należy także w przykrych doświadczeniach.

Obok wielu blasków życie polonijne ma też swe cienie, które z punktu rzucają się nam w oczy. Wiele pozostawia np. jeszcze do życzenia, stopniowo — pod wpływem nowoprzybyłych poprawiająca się polszczyzna i poziom prasy polonijnej, która do niedawna opierała się zatrudnieniu dziennikarzy i korektorów spośród emigracji politycznej. Jednakże i na tym odcinku wyraźny już jest proces kulturowego dźwignia. Szereg znanych polskich dziennikarzy pracuje już w redakcjach pism, których nakład ponownie zaczął wzrastać wobec pojawienia się nowych czytelników. Tak więc Białasiewicz znalazł zatrudnienie w "Dzienniku Chicagowskim", Janta-Pończyński w "Dzienniku dla Wszystkich", Hrabyk w "Dzienniku Polskim", Dr Szumski redaguje "Robotnika" a red. Jaskólski "Kuriera" w Bostonie. Marek Gordon, Pankiewicz i Przyłuski pracują w "Dzienniku Związkowym" a Strzetelski i Borzęcki w "Nowym Świecie". Największą bodaj bolączką jest z naszego punktu widzenia skandalicznie niski poziom audycji radiowych, gdzie wszechwładna polka, wulgarny styl amerykańskiej reklamy i przeraźliwa polszczyzna świecą do dziś w większości wypadków triumfy. Warto jednak podkreślić, że i tu zaznacza się ostatnio pewna poprawa. Słuchałem kiedyś przyzwoitej i politycznie mocnej audycji polskiej rozgłośni E. H. Konstantynowicza i J. M. Kreutza w Detroit. W Chicago wyróżnia się doskonały program niedzielny dwóch młodych pisarzy, Marka Gordona i Jerzego Szczepańczyka, oraz kulturalny program p. Plucińskiej. W Nowym Jorku przodują pomysłowe audycje Dwu Edwardów, w Chester pionierską robotę radiową prowadzi p. Koziarska, dużą wagę polityczną posiadają znakomite audycje w języku angielskim pod hasłem: "Justice for Poland" prowadzone przez dr Smulczyńskiego z Chicopee - Massachusetts. Oby te śmiałe próby dokonały stopniowej emancypacji wszystkich programów polonijnych w kierunku wychowania radiosłuchaczy oraz rozszerzenie ich zainteresowań.

Należy ubolewać, że duża część Polonii, podobnie jak i murzyni, marnuje cenne chwile wypoczynku na wpatrywanie się, jak przysłowiowe sroki w kość, w beznadziejnie jak dotąd płaskie programy telewizyjne. Wydaje mi się, że stosowanie się w tej dziedzinie do nieznosnej amerykańskiej, snobistycznej zasady "keep up with Jones' ses" (Dotrzymać kroku sąsiadom), jest jedną z poważnych przyczyn malejącego w kołach polonijnych czytelnictwa i odbija się fatalnie na polskim rynku wydawniczym, podtrzymanie i ożywienie którego powinno być jedną z naszych cywilizacyjnych ambicji.



Do innych bolączek organizacyjnego życia polonijnego należy wreszcie plaga alkoholu. Niektóre lokale stowarzyszeń o pięknie brzmiących nazwach są właściwie w pierwszym rzędzie wyszynkami, gdzie nierzadko z nadmiaru serdeczności spija się na umór nowoprzybyłych kamratów.

Wymieniłem tych kilka ujemnych spraw, by nie stwarzać pozorów, że wszystko jest bez ale, a także i dlatego by zwrócić uwagę nowej emigracji na wielką misję stopniowego dźwigania kulturowego środowiska, z którym winni się jak najbardziej związać — oraz koniecznego oddziaływania w kierunku pewnej duchowej europeizacji tego kraju, z którego gościny postanowili korzystać. Aby zadaniu temu sprostać trzeba umieć uczyć się i chłonać to wszystko co w Ameryce jest ciekawe i wartościowe, a bronić się przed ujemnymi stronami taniej, zewnętrznej tzw. "cywilizacji". Szczególną uwagę skierować należy na młodą generację polonijnego pochodzenia, z którą nieraz łatwiej się nam porozumieć niż staremu pokoleniu polonijnemu. Wcale nie jest trudno i w tym pozornie dla Polski straconym środowisku wskrzesić aktywne zainteresowanie i mocne pro-polskie uczucia. Wprzęgnięciem ich w orbit polskich spraw i wpływów oddać możemy także wielką przysługę Polonii.

Niezależnie od niezbędnych kontaktów osobistych cenne są w tej materii takie imprezy jak współpraca nowoprzybyłych fachowych wykładowców z rozwijającą się ostatnio imprezą Uniwersytetów Ludowych. Instytucję taką prowadzi żywo w Chicago p. Miczko; rok temu powołano do życia podobny Uniwersytet Ludowy w Filadelfii, a w Nowym Jorku redakcja "Robotnika" od kilku lat kontynuuje rodzaj seminarium politycznego pod firmą "Żywego Dziennika". Tego rodzaju działalność powinna być zorganizowana przez wszystkie środowiska polonijne, gdzie tylko pojawia się odpowiedni zespół nowoprzybyłych, ciekawych ludzi. Mamy sobie przecież tyle do powiedzenia, a kontakty tego rodzaju obok prasy, radia i książek są najlepszą drogą wzajemnego wzbogacenia intelektualnego i cennym laboratorium doświadczalnym.

Podobną platformą współpracy stają się polonijne Kluby Artystyczne, z których wartościową działalnością zapoznałem się w roku ubiegłym, bawiąc jako prelegent na temat "Elementów oporu społeczeństwa polskiego przeciw komunizmowi" na dorocznej kilkudniowej konferencji. Ciekawą imprezą młodej inteligencji polonijnej jest aktywny Klub Studentów Polskich w Baltimore, urządzający miesięczne zebrania dyskusyjne przy udziale prelegentów z nowej emigracji, oraz wydający niezły miesięcznik w jęz. angielskim pt. "Postęp".

Największą instytucją oświatową Polonii jest Kolegium Zw. Nar. Pols. w Cambridge Springs w stanie Pennsylvania, gdzie kilkuset studentów i studentek obok zasadniczych przedmiotów ogólno-kształcących uczy się systematycznie historii, geografii, literatury i kultury polskiej. Obok dzieci polonijnych w Kole-

gium ze stypendiów korzysta młodzież nawoprzybywająca. Należy mieć nadzieję, że wbrew pewnym małoduszynom tendencjom części grona nauczycielskiego stypendia te zostaną utrzymane i umożliwią uchodźcom ukończenie studiów. Kolegium Związkowe to największa dziś i najpoważniejsza polska szkoła średnia w wolnym świecie. Jest sprawą dużej wagi, by zarówno w zakresie poziomu jak i ilości wychowanej młodzieży ulegało ono nieustannemu rozwojowi.

Ważną placówką kultury polskiej powinna być Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku. Dalszy rozwój możliwości stypendialnych tej instytucji mógłby się przyczynić do koniecznego wzrostu naszych pozycji w amerykańskim świecie uniwersyteckim i wzmożenia polskiego ruchu wydawniczego. Po spalaniu bogatych archiwów i muzeum Zw. Nar. Polskiego jedyną tego typu placówką to Muzeum i Archiwa Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Chicago, zorganizowane benedyktyńską pracą pioniera historii Polaków w Ameryce, Mieczysława Haimana. Tenże sam Haiman był inspiratorem innej ogromnie ważnej dla samowiedzy polonijnej organizacji — mianowicie Polskiego Towarzystwa Historycznego, prowadzonego dziś przez zespół duchownych z seminarium w Orchard Lake. Towarzystwo wydaje niezmiernie cenny półroczny zeszyt "Polish American Studies". Wszystko to jednak dopiero kropla w morzu wobec ogromnych polskich potrzeb naukowych. Istniejący od lat wojennych zasłużony i poważny Instytut Naukowy nie przejawia, niestety ostatnio — być może ze względu na brak funduszy — zbyt wielkiej działalności, chociaż skupia czołowych polskich uczonych w Stanach Zjednoczonych.

Blizsza współpraca coraz liczniejszych w Ameryce naukowców polskich, w rodzaju tej jaka istnieje w W. Brytanii, byłaby bardzo wskazana, a większa uczynność różnych, dobrze już ulokowanych profesorów i wykładowców w stosunku do kolegów i młodzieży aż nadto pożądana, tym bardziej, że w kilku wypadkach daje ona doskonałe rezultaty (Harvard University, Georgetown University). I na tym polu należało by jak najbardziej zacieśnić współpracę z Polonią, radując się wraz z nią każdym poważnym dyplomem, każdym nowym uniwersyteckim stanowiskiem Amerykanów polskiego pochodzenia, sumując wspólne osiągnięcia do jednej puli — żywej polskiej kultury i nauki. Obszerne zestawienie obecnych pozycji naukowo uniwersyteckich zarówno "starej" jak i "nowej" Polonii podał niedawno do wiadomości kraju w audycji Radia Free Europe dr M. K. Dzięwanowski. Dorobek jest już pokaźny, ale w zestawieniu z pozycją Niemców czy białych Rosjan wygląda jeszcze bardzo mizernie. *To dźwiganie się w hierarchii naukowej posiada dla sprawy polskiej w Ameryce zupełnie kluczowe i obok działania politycznego Polonii — najbardziej ważne znaczenie.*

Dziś, w związku ze wzmagającymi się zadaniami i uniwersalną odpowiedzialnością Stanów Zjednoczonych w dziedzinie







cerzy lwowskich, chłopów pińskich czy gajowych wileńskich, ich żon, matek, dzieci, wujków i stryjków.

Dzieci od kilku do kilkunastu lat, mało lub wcale w ciągu wygnańczych lat nieuczone, nie znały języka angielskiego. Szkoły angielskie nie byłyby w stanie ogarnąć tej wielotyśięcznej gromady i włączyć jej w swoje tryby. Wtedy to, jednocześnie z Korpusem Przysposobienia, w początkach 47 r. został stworzony Komitet Oświatowy w W. Brytanii, podlegający Angielskiemu Ministerstwu Oświaty i Szkockiemu Sekretarzowi Stanu. Wszystko co dotyczyło opieki nad dzieckiem polskim w Wielkiej Brytanii, jego nauki, wychowania, przysposobienia zawodowego przejął komitet, którego pełny tytuł angielski brzmi: *Committee for the Education of Poles in Great Britain*. Szczytowym punktem działalności Komitetu był rok 48/49. Od jesieni 49 r. zakres jego prac stopniowo się kurczy, niektóre szkoły są zamykane, a dzieci włączane do pozostałych. Najmłodsze szkolne dzieci, w bieżącym roku 12-letnie, to te co wyszły z Polski niemowlętami, potem następuje kilkoletnia przerwa lat rosyjskich, wędrówek po krajach zamorskich albo wysiedleń i obozów niemieckich. Nowe zaś pokolenie urodzone w Italii lub w Anglii pójdzie już do szkół angielskich.

Zakładów i uczelni różnych typów, od żłobków, czy ogródków dziecięcych (nursery), do przedszkoli (primary), szkół powszechnych (second modern), średnich (sec. grammar), technicznych, handlowych i rolniczych było w okresie szczytowym 57, obecnie jest ich 35. Są one rozmieszczone przeważnie w pomarykańskich budynkach szpitalnych na terenie rozległych parków pańskich rezydencji i zaopatrzone we wszystkie potrzebne instalacje jak elektryczność, sieć zimnej i ciepłej wody, łazienki, pralnie, suszarnie, kuchnie i piekarnie. Zabudowania składają się z baraków beczkowych, rzadziej bloków murowanych i są połączone cementowymi, krytymi chodnikami, które zapewniają osłonę w dni deszczowe i łączą "beczki" w jedną całość szkolnego osiedla.

Pierwszą tego rodzaju szkołą, którą zwiedziłam, była męska szkoła techniczna w Lilford, koło Thrapston, licząca około 500 uczniów i około 40 sił nauczycielskich. W Thrapston czekał na mnie samochód szkolny i jedna z pań wychowawczyń, a przy kierownicy były szofer biskupa Szelażka z Łucka, późniejszy żołnierz 2-go Korpusu. Minęliśmy przydrożną karcznię „Pod Lisem”: szary kamień ścian, stromy dach, wysokie kominy oplecione bluszczem, jak ze starych sztychów angielskich i Christmasowych kartek; brakło jedynie jeźdźców w czerwonych fraszkach i sfory gończych.

W życiu swoim nie widziałam takiej wspaniałości i takiego rozrostu drzew, jak drzewa angielskie, takiej bujności traw i krzewów! Minęliśmy monumentalną bramę i dom byłego odźwiernego, za bramą był już teren szkolny; w odległości pół

kilometra, za zasłoną stuletnich dębów, przeświecały szare mury zamku lordów Lilford, oplecione glicynią. Przyjął nas olbrzymi, popielaty i nakrapiany dog, szofer objaśnił mnie, że jest rodem z Egiptu. Udało się go jakoś do Anglii przeszwarować! Dołączył czarny, podpalany wilczur, własność Księdza Kapelana, ten pochodził chyba z obozu w Dachau, może ksiądz przywiózł go jeszcze szczeniakiem? Akurat takich używała policja niemiecka do szczenia ludzi.

Wszystkie baraki szkolne, wewnątrz białe malowane i wylóżone grubym ciemno-zielonym linoleum, są jasne i dobrze utrzymane. Przedzielone zazwyczaj korytarzem, tworzą dwa rzędy pokoi, zakończone obszerną salą lub klasą obustronnie oświetloną; niektóre z nich są w całości poświęcone na jadalnię, sypialnię, czytelnię, sale gimnastyczne. W środku osiedla Lilford, grupa wspaniałe wybudowanych wellingtonii, przy barakach kwietniki: żółte i niebieskie łubiny, purpurowe maki, niebieskie ostróżki, strzeliste białolila irysy; jaśmin jeszcze w pąkach, mimo, że to już koniec czerwca, ale tzw. "czarny bez" gęsto osypany białymi tarczami kwiatostanów na tle ciemnej zieleni. Wkoło baraków, pomiędzy olbrzymimi drzewami o konarach sięgających ziemi, boiska sportowe dla siatkówek, koszykówek, piłki nożnej, korty tenisowe. W Lilford odbywają się niekiedy rozgrywki pomiędzy drużynami polskimi i drużynami szkół brytyjskich.

Jest pora przedwieczorna, powietrze łagodne i mgliste. Na boiskach pełno młodzieży.

Zwiedzamy czytelnię, obszerną salę o kilku stołach otoczonych krzesłami, na półkach podręczna biblioteka, książki do powszechnego użytku: książki do nauki języka angielskiego i francuskiego, w dziale polskim "Literatura Polska" Chrzanowskiego, Wojeńskiego, "Dzieje Polski" Bobrzyńskiego i inne, wszystko w kilku egzemplarzach; na stole encyklopedie angielskie, encyklopedia obrazkowa dla dzieci, zoologiczne dzieło Brehma po polsku, czasopisma angielskie i polskie. Z czytelnią sąsiaduje wypożyczalnia książek, dalej świetlica, która służy młodzieży w dnie dządzyste, ze stołami do ping-pongu, z szachami i warcabami. Jedna z sal poświęcona jest radiu, posiada angielski linguafon i szereg prześlicznie ilustrowanych periodyków-programów angielskich dla słuchaczy interesujących się poszczególnymi działami wiedzy: zoologią czy botaniką, geografiami, astronomią, budownictwem lub teatrem. Każde z tych pisemek służy objaśnieniami dotyczącymi audycji poświęconych tej lub innej specjalności. Personel ma swoją osobną czytelnię, a także klub sąsiadujący z jadalnią, z radiem, stolikami do kart i wygodnymi fotelami.

Na mój odczyt o znaczeniu Sienkiewicza i Żeromskiego zebrano się w baraku kinowym około trzystu chłopców z wyższych klas.

Kiedy spojrzałam po amfiteatralnie wznoszących się ławach,



poczułam się niewyraźnie. Wszystkie te twarze, to przecież te same dzieci, o których pisała Irena Wasilewska i Weronika Hort, o których się tyle nasłuchiwałam od tych co przeszli drogę sowieckiego wygnania; te same, cudem przypadku lub poświęcenia wydarte śmierci głodowej, wszom tyfusowym, szkorbutowi, garść wygrzebana z posiołków, nędzy, z zatraconych kołchozów, obozów, dietdomów. "Tułacze dzieci", które nawet w Persji, mimo surowych zakazów usiłowały dostać po dwie porcje chleba, zabezpieczając go "na czarną godzinę", te same co żądały butów na wyrost z przezorności, nabytej doświadczeniem i które nawet piły wodę na zapas, kiedy je uprzedzono, że w drodze do Indii mają przebyć pustynię. "A bo pani mówiła, że wielbłądy tak robią, to my też chcieli..."

Pamiętam 8-mioletniego Michasia i jego piastkę, którą pogroził na granicy "raju" portretowi Wszechwładcy Sowietkiemu i Basię Dymnicką, która w dostatkach amerykańskiego szpitala w Meszhedzie tęskniła za laskiem suchym i drugim mokrym, za maliniakiem i słonecznikami swego rodzinnego domu pod Brzeszczem — i za mamusią, która się jej gdzieś zagubiła...

O szarej już godzinie poszliśmy z dwiema paniami na spacer. W konarach olbrzymiego dębu bawili się chłopcy huśtając się na gałęziach.

— To zwyczaj przywieziony z Afryki, objaśniły mnie panie, włożą na najwyższe drzewa — jak małpy...

Była to ni to jeszcze parkowa aleja, ni to już leśna droga, wiedząca do starego kościołka w gęstwinie drzew przy cmentarzu zarosłym wybujałymi na ludzki wzrost trawami.

Na pionowo ustawionych, u góry zaokrąglonych płytach grobowych z omszałego granitu trudno czytelne, zatarte napisy sprzed wieku i starsze. Tu znajdują się też groby Lilfordów; starszy syn ostatniego lorda zginął w pierwszej wojnie światowej, młodszy, jak głosi kamień grobowy, był rodzicom "wypożyczony na lat dwanaście".

Stary lord, zmarły niedawno, zdążył jeszcze mile przywitać tułacze dzieci polskie, jako lokatorów swego parku; odwiedzał też niekiedy nabożeństwa w kaplicy szkolnej, był bowiem katolikiem. Po jego śmierci meble, obrazy i cenna biblioteka zostały sprzedane z licytacji londyńskim antykwariuszom i okolicznym fermerom. Odtąd zamek stoi pusty. Z dawnych wspinałości pozostało jedynie rosarium i ptaszarnia z ostatnimi złotymi bażantami.

Obszerny barak-kaplica, obliczona na pomieszczenie około 600 osób, "świeci" w głównym ołtarzu obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, a po obu jej bokach wykuci z blachy skrzydlaci husarze przykłąkli na jedno kolano, wsparci o główne mieczów; ci rycerze z ołtarza to dar jednego z pułków po jego demobilizacji, motyw husarskich skrzydeł zdobi lampkę wie-

czystą, wykutą w szkolnych warsztatach, lichtarze na ołtarzu to również robota dzieci.

Oprawadzana nazajutrz przez inżyniera, kierownika technicznego szkoły, który kiedyś miał własny duży zakład mechaniczny na Kresach Wschodnich, zwiedzam warsztaty: blacharnię, ślusarnię, spawalnię, obróbkę mechaniczną i stolarnię; każdy instruktor ma pod swoją opieką od 15-tu do 20-tu, a nawet 30-tu chłopców; surowiec obrabiany pochodzi z łomu żelaznego i odpadków blaszanych. W kuźni sporządza się pierwsze odkówki na szczypce, obcegi, młoty, dłuta, dziadki do orzechów, przyciski, siekierki do ciupag itp. W blacharni przerabia się puszki po konserwach na lejki, kubki, kwarty, rynienki. Mnóstwo skomplikowanych warsztatów o napędzie elektrycznym wypełnia hale obróbki mechanicznej: tokarki, szlifiarki, piły, warsztaty tnące, gnące, borujące. Widzę skupione twarze chłopców walących ciężkimi młotami i oczy wpatrzone w tryby warsztatów, każdy ma swoje zadanie do spełnienia, deseń wedle którego wykańcza daną sztukę z precyzją do ułamka milimetra i swoją kartę pracy na której znaczy robotę wykonaną.

— Anglik, powiada mi kierownik, jak wybiję godziną *cup of tea* to wszystko rzuci i idzie sobie, naszego chłopca trzeba odrywać, tak się zapala!

Przy każdym dziale umywalnie z gorącą i zimną wodą. Wszyscy pracują w roboczych kombinezonach, które zdejmują po pracy. Cztery godziny praktyki, cztery teorii i innych przedmiotów; wieczorem sporty albo świetlica, czytelnia lub radio, jeden raz w tygodniu kino.

Po ukończeniu średniej szkoły technicznej mają chłopcy chleb zapewniony jako podmajstrzy w zakładach metalurgicznych i mechanicznych warsztatach a zarazem otwartą drogę do awansu.

Wizytator angielski zwrócił uwagę chłopców polskich na to, że nie ma szkół brytyjskich na takim poziomie, co szkoła w Lilford, ani o takim wyposażeniu, że powinni to sobie cenić...

Pod wrażeniem rozmachu uczelni i jej pięknych instalacji, zauważyłem, że Anglicy istotnie nie poskapili tu niczego dla stworzenia tak wzorowej szkoły.

— Ale niech nie myślą, że nam tymi szkołami zapłacili za Jahtë — odparł mi kierownik. — Prawda, kosztuje ich to tysiące funtów, ale gdyby nas nie sprzedali mielibyśmy swoje własne szkoły w kraju...

— Jaki stosunek dzieci do Anglików?

— Zdecydowanie niechętny. W zawodach sportowych np. stają zawsze po stronie przeciwnej. To samo było w wojsku, ilekroć wynikała jakaś bijatyka, Polacy dołączali do Irlandczyków lub Indusów, wspierając każdego, który bił Anglików. Dzieci też pamiętają swoją krzywdę...

Czyżby ta Jahtë, dla nas tak pamiętna i straszna data, dla



nich, którzy kraju nie znają — fakt historyczny, może leżeć u źródeł niechętnych wobec Anglii nastrojów?

Czy to nie raczej zawiść bezojczyźnianego przybysza do obywateli wielkiego mocarstwa? W pierwszym zaś rządzie czy to nie wpływ starszego pokolenia i odpowiedzialność wychowawców?

Zastanawiające jest, że sporo dzieci personelu nauczycielskiego, korzystając z pomocy Komitetu, kształcą się w szkołach angielskich. Całkowite opanowanie języka, szkolne przyjaźnie i koleżeństwa zapewniają im w Anglii lepszy start życiowy, ale narażają jednocześnie na szybsze wynarodowienie, pomimo kursów korespondencyjnych wiedzy o Polsce. Język szkolny staje się językiem codziennego użytku, językiem nauki, koleżeństwa, sportu; dom rodzinny nie jest w stanie zrównoważyć tych wpływów. Istnieją jeszcze kursy wakacyjne, organizowane prywatnie, na które uczęszcza w okresie ferii świątecznych do stu chłopców i dziewcząt ze szkół angielskich w celu pogłębienia swojej wiedzy o Polsce, znajomości języka, historii, literatury. Reszta wsiąka w społeczeństwo angielskie i oducza się nawet mówić po polsku.

Instruktor kuźni warsztatowej to potężnej postawy marynarz; w warsztatach mechanicznych poznałem młodego inżyniera, rodem z Warszawy: żołnierz A.K., następnie 2go Korpusu, potem słuchacz i absolwent politechniki w Turynie; inni przeszli już to przez obozy niemieckie, już to przez więzienia sowieckie i stanowią ciekawe zestawienie różnych dzielnic Polski, rozmaitych orientacji politycznych; nie zawsze są może zgodni, ale wszyscy wprężeni do pracy najistotniejszej dla sprawy polskiej — kształcenie młodego pokolenia.

— Skąd jesteś? — pytam pierwszego z brzegu chłopczyka.

— Z Afryki! — odpowiada mi bez wahania.

— Nie! Powiedz mi skąd jesteś rodem, chyba pamiętasz?

— Z Nowogródzkiego.

— Z Rzeszowa!

— Z Białegostoku! — odzywają się kolejno inni.

— Z Warszawy, byliśmy na wakacjach u wujka pod Równym...

— A potem?

Zaczynają wymieniać, jak dobrze znają litanię: Archan-gielsk, Kotłas, Kazachstan, Uzbekistan...

Lata rosyjskie, których urywkową pamięć zachowali tylko najstarsi, wspominają niechętnie, tyle się o nich nasłuchali; dziś sprawy te zepchnęli w podświadomość.

Pytałem bibliotekarkę co też chłopcy czytają?

— Oczywiście Sienkiewicza. Żadne ataki krytyki nie zdołały zachwiać jego pozycji, zwłaszcza w świecie młodzieży. Jest czytany i będzie chyba zawsze czytany, póki istnieje książka polska, czytany jak legendy o bohaterach. Po Sienkiewiczu idzie Kraszewski, rzadziej Żeromski; dzieci chętnie

biorą wybór "Noweli pozytywistycznej" (Orzeszkowa, Prus, Konopnicka, Dygasiński i in.). Z powieści wydanych w Polsce lubią Dobraczyńskiego i Grabskiego, wspomnienia o Warszawie, o walce podziemnej w kraju, chętnie też biorą zbiorki poezji, chociaż się tego wstydzą i nie przyznają przed kolegami. Książki o Rosji, wspomnienia i relacje z więzień i wygnania nie mają żadnego wzięcia. O całym tym okresie nie chcą pamiętać.

Dostają na pamiątkę dłużko ślicznie wyrobione i stalowy przycisk z motywem splecionych krzyżyków na kwadratowym bloku.

Jest sobota, po wczesnym *lunchu* zajęły ciężarówki na które ładują się wesoło gromady chłopców w granatowych ubrankach. Okoliczni farmerzy wykorzystują ich jako dodatkową siłę roboczą do lżejszych prac sezonowych; w czerwcu było przerywanie buraków. Lilfordzcy uczniowie chętnie zgłaszają się na te wyjazdy, bo to i odmiana i okazja zarobienia kilku shillingów.

Czekam na powrotny autobus przy karczmie "pod Lisem". Podochoceni farmerzy spijają ogromne szklanice czarnego piernistego piwa angielskiego i podśpiewują.



W okresie mego pobytu w jednej ze szkół komitetowych, odwiedziła szkolne osiedle żona angielskiego dyplomaty. Zbierała materiały do cyklu odczytów, które miała wygłosić w kraju placówki swego męża. Ministerstwo Oświaty zachęciło ją do zwiedzenia chociaż jednej ze szkół polsko-angielskich i do przyjrzenia się jej programom i organizacji. Pani ta obejrzała wszystko szczegółowo, skrytykowała pracownie fizyczno-chemiczne, jej zdaniem gorzej wyposażone od szkół w Stanach Zjednoczonych, podziwiała popis taneczny uczeń. Na odjeździe prosiła jeszcze dyrektorkę o wyjaśnienie rzeczy dla niej niepojętej: skąd wzięła się tak wielka ilość dzieci polskich na terenie Wielkiej Brytanii?...

Wtedy dyrektorka wyznaczyła kilka dziewczynek, umiędzących już nieźle wysłowić się po angielsku, a dziewczęta opowiedziały w krótkich słowach żonie dyplomaty swoje dzieje. Nic o tym nie wiedziała!

Zdyscyplinowanym obywatelom brytyjskim nie wolno było w ciągu lat źle sądzić o Rosji, sowieckim sprzymierzeńcu, stąd nieufność wobec Polaków, zatulanie uszu na ich niedole, bronienie się nawet przed uczuciem litości wobec nich. Jeszcze dzisiaj, kiedy te zakazy od lat nie istnieją, nie wszyscy Angli-cy chcą Polakom wierzyć.

— Czy dzieci te wracają na wakacje do kraju? — pytał życzliwy sąsiad innej szkoły przy zwiedzaniu zakładu.

— Nie? A to dlaczego?



Wędrując autobusem po tej środkowo-południowej części wy-



spy miałam wrażenie wycieczki poprzez niekończący się ogród o mnóstwie pastwisk. Lasów nie widać, jedynie kępy zieleni, albo pojedyncze drzewa, przeważnie dęby, wiązy, jesiony, ku południowi platany, włoskie topole i szlachetne kasztany. Szosy biegną zwykle też alejami, obrzeżone pasem bujnej roślinności, wysoką trawą i krzewami dzikiej marchwi o niespotykanej na kontynencie wielkości baldaszków.

W cieniu drzew, w czasie pogody, pod ich osłoną w dniu deszczowe gromadzi się bydło, najwięcej widać owiec białowłnistych o czarnych łebkach.

W szkole w Diddington mogłam obejrzeć prace malarskie dzieci. Inteligentne podejście nauczycielki do zagadnień plastycznych, kultura malarska i odpowiedni wybór wzorów dały w połączeniu z wyobraźnią dziecięcą i niewypaczonym pseudo-ludowymi malowanekami stosunkiem do koloru, ciekawe rezultaty. Kompozycje malarskie śmiałe kolorystycznie i szczerze w wyrazie, projekty na dekoracje pomysłowe i różnorodne zyskały zainteresowanie i zachętę ze strony szkolnych władz angielskich. W rysunkach dziecięcych wszelkich czasów występuje zawsze dom, w Diddington widziałam — bezkłę. Być może, że mali rysownicy uważają ten właśnie kształt mieszkalny za swoje domy-gniazda, a nie żadne inne prostokątne budowle, w których nigdy może nie żyli i których nie pamiętają jako swoje domy.

W projektach dekoracyjnych na abażury zauważyłam palmy i mewy, krokodyle, ibisy — nie fantazja a wspomnienie, lub wspomnienie opowiadań tych co widzieli.

Na lekcji geografii nauczycielka mówi o szczycie Kilimanżaro w Środkowej Afryce.

Jedna z dziewczynek podnosi dwa palce: — Ja tę górę widziałam!

— Na obrazku? Nie, naprawdę, jak my byliśmy w Keni...

W drodze do Northleach mignęły mi tylko zębate mury, ostrołukowe bramy i kwadratowe wieże Collegów Oxfordzkich wśród zieleni parków, strzyżonych trawników, sportowych placów i boisk. W Stowell Park w pobliżu Cheltenham miałam się zatrzymać tydzień i dzięki gościnności przyjaciół poczułam się tam zaraz jak w domu.

Na pochyłości wzgórza, z widokiem na rozległą dolinę i falisty horyzont, przypominający Podkarpacie, rozsiadły się zabudowania szkół powszechnej i średniej dla dziewcząt im. Ign. Paderewskiego. W obu szkołach jest około 600 uczenic. Przyjechałam w przeddzień obchodu 10-tej rocznicy śmierci Paderewskiego, którą przypadała na święto Ap. Piotra i Pawła. Obchód zaczął się od uroczystego nabożeństwa. W oltarzu Matka Boska Ostrobramska.

*Upadaliśmy pod krzyżem, Chrystusie! —*

śpiewały dzieci w ciągu Mszy

*Ale Tobie się uniżym, Chrystusie!...  
Zmień na jasną drogę krwawą,  
Daj zmartwychwstać nam ze sławą,  
Chrystusie!*

Potem szły pieśni jedna za drugą, wreszcie i ta, którą tylekrotnie słyszałam w kraju w czasie okupacji i którą tam śpiewają do dziś dnia w przepięknych kościołach, pieśń zakończona natarczywym, naiwnym zaklęciem:

*Słuchaj Jezu jak Cię błaga lud,  
Słuchaj, słuchaj, uczyn z nami cud!  
Przemień, o Jezu, smutny ten czas,  
O Jezu! Pociesz nas!...*

O kilkadziesiąt kroków dalej, za szeregiem buków-olbrzymów, biegła szosa. Może niejeden mijający to osiedle Anglik, słysząc chór dziecięcy i niezrozumiały polski hymn rozpytywał towarzyszących podróżnych: "Skąd to się wzięło tyle polskich dzieci w Anglii!..."

Po długiej, przepisowej Akademii ku czci Paderewskiego jedna z dziewczynek zadeklamowała inteligentnie "Fortepian Szopena". To wywołało wśród nauczycielstwa dysputę na temat interpretacji ostatnich wierszy: "Ciesz się późny wnuku..." Jedni uważali, że deklamatorka słusznie nadała tym słowom akcent ironii, inni sądzili, że roztrzaskanie fortepianu o bruk przyjął poeta za symbol zstąpienia poezji na ziemię.

Może Norwid istotnie tu "powrócił", myślałam, do tej wędrowniej gromady, w "ruchomych domach", bo właśnie do nich odnoszą się słowa z "Pielgrzymą":

*Przecież i ja ziemi tyle mam  
Ile jej stopa ma pokrywa,  
Dopokąd idę!...*

I kiedy następnie mówiłam dzieciom o poecie, o jego głuchej samotności i uporczywej, do ostatniego tchu, pracy twórczej, przypominałam im jego słowa, z prelekcji o Słowackim:

"Z karafki napić się można, uściśnawszy ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto u źródła pije musi ukłęknać i pochylić czoła".

Wyjeżdżając zdawało mi się, że może, naprawdę, kilka z tych dziewczynek zechce ukłęknać aby się napić tej poezji, toteż z wielką radością przeczytałam w "Wiadomościach", że uczennice ze Stowell Parku zgłosiły swój udział na fundusz nagrobka dla Norwida, że więc o nim pamiętają.

Pewnego wieczoru starsze dziewczęta wyjechały całą gromadką pod opieką nauczycielstwa do Stratford-on-Avon na przed-



stawienie "Burzy" w tamtejszym Szekspirowskim teatrze, młodsze po wyjątkowo upalnym jak na Anglię dniu, podlawszy rozkwitłe żółtymi i szafirowymi kępami skalne ogródki, zeszedł się na "prywatną" ze mną rozmowę do sypialni. Opowiadały mi o krajach swego bezstroskiego dzieciństwa, a ja pytałam znów o kraj rodzinny, żadna go nie pamiętała, w chustkach wyniesione, ale każda wiedziała, nawet okrągła sierota, że tym krajem było Tarnopolskie lub Wileńskie, Drohiczyn albo wieś pod Grodnem Kołomyja czy Lwów; a potem wiedziały również dokładnie, że to był Krasnowodzk, Buchara lub osada nad Peczorą, Dżalałabad czy Nowosybirsk nad Obiłą, albo Semipałytnsk nad Irtyszem... Niektóre coś sobie jeszcze przypominały z Jangi-Julu lub z bezwodnej Kermine, ale wtedy to już były pod polską opieką. A potem była Persja i rozjechanie się na wszystkie strony świata. Najchętniej i najserdeczniej wspominają Indie i Indusów, twierdzą, że wszyscy Indusi, którzy się stykali z obozem polskim nauczyli się po polsku. Były w Indiach tak przyjmowane jak goście najmiłsi i tak obdarowywane jak na wielkie święto... Niektóre mają oboje rodziców, inne tylko matkę lub tylko ojca, są takie, których rodzice zostali po kolchozach i tam zaginęli, albo niektórzy, nieliczni, po 1945 r. byli repatriowani do Polski, oczywiście jest też duży procent pełnych sierot.

Padają odpowiedzi: ojciec w Rosji zaginął, matka umarła na tyfus, albo zgubiła się na stacji, albo nie puścili jej, nie wie czy żyje, ani gdzie; ojciec umarł w niewoli, albo w obozie, albo pod Monte Cassino, Ankoną... a matka z wyczerpania już w Persji, albo w Afryce na suchoty. Padają egzotyczne nazwy: Karachi, Valivade, Dżemnagar — to Indie; Tanganyika, Uganda, Rodezja, Kenya — to Afryka. Twarzyczki znów się rozjaśniają, mówią o murzynach, którzy do polskiego nie byli tak pojętni jak Indusi, ale chwyтали rytm piosenek i byli tacy zabawni... Mówią o lasach pustyni, zwierzętach.

— Nigdy nam nie było tam za gorąco, a tu wciłą deszcze i deszcze, słońca to prawie nie widać, a ci Anglicy to tacy ślamazarni, pewno też od tej pogody!

Obserwuję wyrazy figlarne i zamyślane, nieśmiałe i przedsięwzięte, patrzę na główki strzyżone lub kędzierzawe, w kordkach albo warkoczach i widzę za każdą z nich tę straszną noc, łomot kołb, krzyk matek, gorączkowe wiązanie tłumków... "Sobirajties!" i dźwignięcie drżącymi rękoma z kołyski, przytulenie do piersi... a potem: zagubienie w obcym świecie, głód, trwoga każdej godziny, śmierć, to wszystko, czego na szczęście nie pamiętają.

Garść cudem zachowanych dzieci, rzuconych w świat.

Dziś pod ruchomymi dachami beczek amerykańskich w hrabstwie Northampton czy Buckingham — a jutro?

Niektóre muszą przerywać nauki, były zapisane przed laty na listę rodzinną, przyszła kolej, rodzina emigruje do Stanów, Kanady, Australii... Żegnajcie koledzy, książki, beczki!

Czasem ten wyjeżdżający to tylko wujek, lub starszy brat, jezdyny co pozostał dziecku z całej "familii", nie chce się rozstawać z tym ostatnim. Zdolniejsze pójdą na wyższe studia: architekturę, medycynę, fizykę, jedna nawet marzy o astronomii! Inne za mąż lub na posady; czy która kiedy wróci do kraju, którego nie pamięta?

Jedna ze starszych wybrała się z wycieczką do Francji.

"Wiem już, proszę pani, jak wygląda Polska! — oświadczyła po powrocie nauczycielce... Widziałam Paryż, a zawsze słyszałam, że Warszawa to mały Paryż!

Późnym wieczorem, wracając ze spaceru przestraszyły nas refleksy płomieni pomiędzy barakami. Niebawem spostrzegliśmy ruchome cienie wkoło ogniska — to maturzystki owinięte w koce, jak Indianie, obsiadły w kucki płonący stos szkolnych kajetów. Zmienne światło grało na ich młodych twarzach. O czym też marzyły patrząc w to całopalenie lat szkolnych?

Zgromione przez wychowawczynię za niesubordynację, zagaśnięte ognisko i musiały niezwłocznie wracać do łóżek. Ale surowa wymówka nie miała, już żadnego znaczenia — stały u progu nowego życia, twarzą do jego przejmującej obietnicy.

Rozpytywałam wychowawców o wypadki wyjątkowo trudne pod względem pedagogicznym i o sposoby zaradzenia złu. W jednej ze średnich szkół męskich zdarzyła się np. kradzież części samolotów z pobliskiego lotniska. Chłopcy tłumaczyli, że aparaty nie były strzeżone, z czego wnosili, że sprzęt był wybrakowany i bezużyteczny. Stanęli jednak przed sądem dla nieletnich i zostali skazani z zawieszeniem, za kradzież. Polskie nauczycielstwo było przy tym zbudowane poziomem tego trybunału, powagą z jaką sędzia odniósł się do młodocianych winowajców i ojcowskim tonem jego upomnień.

Drugi wypadek dotyczył trzynastoletniej dziewczynki, uczennicy innej szkoły. Dziecko to przeszło przez obozy niemieckie i było tak do gruntu zdemoralizowane, że nie sposób było narażać innych dzieci na jej zły wpływ.

Angielskie władze szkolne wzbraniały się jednak przez dłuższy czas przed oddaniem jej do domu poprawczego, prosząc dyrekcję szkoły o zastosowanie wszystkich możliwych sposobów, rygorów i perswazji dla ratowania dziewczyny. Nic nie pomogło. Z domu poprawczego wyszła za mąż, a w rok po ślubie mąż został skazany na karę śmierci za napad rabunkowy, jej zaś odebrano dziecko. Po tym wszystkim zjawiała się niespodzianie w szkole, chciała odwiedzić koleżanki... Reakcja dziewcząt rozagitowanych tym "kryminalnym romansiem" koleżanki i jej ostatnim bolesnym przejściem była: "Podli ci Anglicy!"

I tym razem byli winni Anglicy.

W Grendon Hall, koło Aylesbury, w neogotyckim pałacu, na



wzniesieniu z rozległym widokiem na okoliczne pastwiska i ogrody, trafiłam na przygotowania do zamknięcia szkoły w dziesięciolecie jej istnienia. Była to bowiem pierwsza żeńska szkoła średnia otwarta w Szkocji w 1941 roku, a następnie przeniesiona do Grendon Hall.

Dziewczynki ćwiczyły tego dnia tańce, którymi miały się popisować nazajutrz przed angielskimi gośćmi. W dużej sali gimnastycznej, w codziennych sukienkach wytańcowywały krakowiaki, mazury i oberki, potem tańce śląskie, jak biskup, gąsior, króliczek i in.

W kujawiaku i mazurze chwyciłam ze wzruszeniem motywy szopenowskie, w polonezie — echa "Pana Tadeusza". Z taką godnością i dumą poruszali się "chłopcy", tak wdzięcznie i po kobiecemu przyjmowały konkury "panny". Żywa, rytmiczna pantomima, bez strojów, dekoracji pozwalała domyślać się wszystkiego:

◆

*Nad murawą czerwoną potyskują buty,  
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty...*

W niedzielę, na strzyżonej murawie przed wiktoriańskim zamkiem, w narodowych strojach odtańczą dziewczynki mazura i poloneza, gąsiora i króliczka po raz ostatni w Grendon Hall.

("Ale skąd tyle dzieci polskich wzięło się na terenie Wielkiej Brytanii?").

W chustkach z Polski wyniesione...

◆

Oto kilka cyfr i wylczeń obrazujących różnorodność i rozległość prac Komitetu Oświatowego w W. Brytanii.

Sumy, które obecny rząd angielski łoży na wykształcenie dzieci są imponujące. Budżet lat ubiegłych wahał się od miliona stu tysięcy do miliona dziewięciuset tysięcy funtów. W roku bieżącym wynosi on 1.400 tys. W okresie szczytowym (rok szkolny 48/49) ilość młodzieży kształcącej się w angielsko-polskich internatowych szkołach wszystkich typów wynosiła 4087, dzieci, dzieci korzystających z pomocy Komitetu a uczęszczających do szkół angielskich było 1134. Dodajmy ponad tysiąc słuchaczy P.U.C. (Polish University College) i ok. 1500 stypendystów na wyższych uczelniach angielskich (sumy wykładane na stypendia wynoszą ok. 800 tys. funtów) — a będziemy mieli, w tym szczytowym roku 7.700 dzieci i młodzieży która się kształciła na koszt rządu angielskiego. W roku bieżącym cyfra ta wynosi jeszcze ok. 6.750. (P.U.C. liczy obecnie 719 studentów i 486 dyplomantów. Na wyższych uczelniach angielskich studiuje również w roku bieżącym ok. 1.500 Polaków).

Internatowe szkoły angielsko-polskie zatrudniają ponadto ok. 700 osób personelu, w tej liczbie ok. 200 sił nauczających. W P.U.C. jest 133 wykładowców Polaków.

1) Poza szkołami internatowymi i P.U. College'em istnieje je-

szcze oświata pozaszkolna, prowadzona staraniem Komitetu w 24 hostelach, obejmująca język angielski i kursa praktyczne o życiu i obyczajach angielskich. Z kursów tych korzysta ok. 20 tysięcy osób od 18 do 70 lat.

2) Kursa korespondencyjne, przeznaczone dla młodzieży w szkołach angielskich, na dwóch poziomach: ang. szkoły powszechnej i średniej; kursa obejmujące przedmioty polskie (język i wiedzę o Polsce).

3) Biblioteka P.U.C. (księgozbiór jej liczy obecnie ok. 53.500 tomów, w tym ok. 12 tys. książek w języku polskim), abonuje 33 czasopisma w języku polskim i ponad 200 w językach angielskim, francuskim, niemieckim i in. Biblioteka służy wszystkim Polakom, nie tylko słuchaczom P.U.C.

Wzrost czytelnictwa wykazują następujące cyfry stałych czytelników:

w kwietniu 1947	—	1744
" "	1948	— 2930
" "	1949	— 4528
" "	1950	— 5272

W ostatnim roku szkolnym korzystało z niej ok. 4500 czytelników, a obrót zamyka się cyfrą ok. 60 tys. tomów, wypożyczonych w ciągu roku.

4) Biblioteczki ruchome obejmujące od 80 do 400 tomów, rozsyłane po hostelach i do grup rozproszonych Polaków. Komitet rozporządza obecnie 80-ciu tego rodzaju biblioteczkami.

5) Subwencje dla polskich organizacji harcerskich, dla Instytutu Nauki o Polsce (Polish Research Centre) i dla Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Polskich (Ass. of Friends of Polish Children).

◆

Koszta wyłożone na szkolnictwo polsko-angielskie i pokrewne mu instytucje od 1. IV. 47 r. do 1. IV. 52 r. wyniosą siedem i pół miliona funtów, czyli ok. 7 i pół miliardów franków francuskich.

Ustanowienie Komitetu Oświatowego na terenie Wielkiej Brytanii i jego już czteroletnia działalność świadczy o poszanowaniu rządu angielskiego dla odrębności językowej, wyznaniowej i kulturalnej z górą stu tysięcznej rzeszy Polaków, przyjętej na Wyspy Brytyjskie, przy jednoczesnym dążeniu do możliwie szybkiej asymilacji tej mniejszości narodowej, włączenia jej do angielskiego życia ekonomicznego i kulturalnego oraz umożliwienia jej porozumienia i zbliżenia z resztą społeczeństwa.

Rezultaty prac Komitetu pod względem postępu w naukach okazały się nadspodziewanie dobre; wyniki końcowych egzaminów są procentowo znacznie lepsze aniżeli wyniki szkół brytyjskich tego samego typu. Fakt ten zastanowił angielskie władze szkolne, toteż Gen. Sekr. Komitetu F. H. Harrod usiłował wyjaśnić anomalie tym, że większość dzieci polskich pochodzi ze



średnich i wyższych klas. Tak jednak nie jest. Wytlumaczenie fenomenu nie zdaje się leżeć w wyjątkowych zdolnościach ani wyższej inteligencji młodzieży polskiej, a raczej w jej ambicji i dumie narodowej, cechach właściwych obcoplemiennej mniejszości.

Szkoły polsko-angielskie dają tej młodzieży podwójną asekurację na życie.

a) Przygotowują do wyższych studiów w W. Brytanii przez opanowanie języka i znajomość kultury angielskiej, a zarazem przysposabiają do pracy we wszystkich krajach Zjednoczonego Królestwa.

b) Dają wykształcenie i fach, które mogą jej równie dobrze zapewnić chleb po powrocie do kraju, przy jednoczesnym pielegnowaniu języka ojczystego i znajomości rzeczy polskich.

Krytykom tego szkolnego systemu o języku wykładowym angielskim i nieukrywanym celu stopniowej asymilacji naszej młodzieży należy przypomnieć, że możliwość kształcenia kilkunastu tysięcy bezdomnych dzieci w środowisku i duchu rdzennie narodowym, w ciągu szeregu lat, a zarazem otwarcie im, obcokrajowcom, drogi do wszystkich wyższych uczelni brytyjskich i do wszystkich zawodów jest rzadkim w swojej wspańiałości darem, który uchodziłoby polskie zawdzięcza obecnemu rządowi angielskiemu.

Wolność Polski będzie uzależniona od wolności i zjednoczenia Europy, a w tej zjednoczonej i wolnej Europie, której się te dzieci być może doczekają, językiem międzynarodowym będzie, przypuszczalnie, język angielski.

Proces stopniowego wrastania młodzieży w kraj, w którym się wychowuje i któremu zawdzięcza wykształcenie jest *nieunikniony*, żądanie zaś od niej, by się odcinała od niego, sycąc niechęć swoją i żale, jak to czyni część starszego pokolenia, żądanie, aby trwała w społecznej próżni, albo pozostała w ghetcie (będąc pozbawiona nawet wspomnień utraconej ojczyzny) — jest żądaniem nierealnym i dla młodzieży krzywdzącym.

Propozycja p. Auberona Herberta o podwójnym obywatelstwie wydaje mi się, o ile jest w ogóle możliwa, pożądana i słuszna. Żadne zakazy starszych nie wstrzymają procesu częściowej asymilacji młodego pokolenia, co nie znaczy, by miało jednocześnie zaprzeczyć się polskości, przeciwnie! Polskość swoją, *wolną od urazów* może zachować, o ile będzie się czuło odpowiedzialną częścią społeczeństwa brytyjskiego.

Polakiem, obywatelem Zjednoczonego Królestwa, a niebawem, może, Zjednoczonej Europy.

Maria CZAPSKA.

## Kronika angielska

"POPUTCZIK"??

W związku z artykułem pt. "Były poputczyk Miłosz" — jaki ukazał się w londyńskich "Wiadomościach", Nr 292 — pragnę poruszyć dwie sprawy:

1) "Wiadomości" wierzą niezachwianie, że już wszyscy Polacy są dwu-języczni i władają zarówno językiem rosyjskim jak i polskim. Niemal każdy numer tego tygodnika przynosi cytaty, powiedzenia i "powiedzanka" rosyjskie przy czym ani autorzy ani redaktor nie uważają za potrzebne dodać choćby kilku słów objaśnienia na użytek tych czytelników, którzy po rosyjsku jeszcze nie umieją. Nie mam nic przeciwko językowi rosyjskiemu i znajomości tego języka, uważam za godną zazdrości cenną umiejętność. Nie zmienia to jednak faktu, iż istnieje jeszcze garść Polaków, którzy po rosyjsku nie mówią. W imieniu tych niedobitków, apeluję do redakcji "Wiadomości", by cytaty rosyjskie podawała w przyszłości również i w przekładzie polskim.

2) Cytowany powyżej artykuł o rosyjskim tytule jest przygnębiającym przykładem prozy prokuratorowskiej. Nie tylko tytuł, ale i "klimat" artykułu jest typowo rosyjski. Autor na czterech szpaltach — cennego skądinąd papieru "Wiadomości" — piętnuje góry oskarżeń, by dojść w finale do klasycznego rosyjskiego zakończenia. "Udawadnia" mianowicie, że prawda jest dokładną odwrotnością stanu faktycznego. Ach, jakże dobrze znamy tą technikę! Znamy ją nawet my, co nie mówimy po rosyjsku.

Prokurator ze szpalt "Wiadomości" stwierdza, że Miłosz nie tylko "nadal jest niebezpieczny dla sprawy polskiej i sprawy wolnego świata walczącego z bolszewizmem" — ale jest "może bardziej niebezpieczny teraz niżli na poprzednim stanowisku dyplomaty régime'u warszawskiego".

Nie czytuję po rosyjsku i muszę się zadowolić lekturą prasy drukowanej w językach zachodnich. Niechże autor artykułu w "Wiadomościach" pozostawi ocenę przydatności Miłosza "dla sprawy wolnego świata walczącego z bolszewizmem" — wolnej prasie zachodniej. Gdyby autor czytywał tę prasę, przekonałby się naocznie, że artykuły Miłosza w periodykach francuskich, amerykańskich, zachodnio-niemieckich oraz w wydawnictwach Kongresu Wolności Kultury ocenione zostały jako poważny wkład w walce "wolnego świata przeciwko bolszewizmowi". I to są fakty! A na Zachodzie — w przeciwieństwie do Rosji — fakty pozostają faktami.

I jeszcze jedna uwaga. Jeżeli w dzisiejszych czasach słowo "reakcyjny" odpowiada jeszcze jakiejś treści, to omawiany ar-



tykuł w "Wiadomościach" jest w pełni godny tego miana. I jeżeli autor słusznie zauważa, "że Miłosz nie mógłby napisać swego "Nie" w zasięgu stalinizmu" o tyle faktem jest, że świat Zachodu od świata "stalinizmu" odróżnia inny system myślowy niż ten, którego owocem jest omawiany artykuł w "Wiadomościach".

By wszystko pasowało do ustalonej tezy — jak w wyreżyserowanym procesie — autor z góry wyklucza dobrą wolę, szczerłość, uczciwość i wyrokuje "że (Miłosz) tak się załgał, że wszystko ma się pomieścić, albo uważa, że o niczym nie mamy pojęcia".

Jedno jest całkowicie pewne. Świat wolnych ludzi na Zachodzie nie reflektuje na takich obrońców jak autor omawianego artykułu w "Wiadomościach", a tego typu "proces" jaki na łamach tegoż tygodnika został zainscenizowany, nie mógłby się odbyć ani na Zachodzie, ani w wolnej demokratycznej Polsce.

#### AKADEMICKI SFINKS

Zasłużona uczelnia "Polish University College" — czyli tzw. PUC, przejdzie wkrótce do historii. Młodzi Polacy studiować będą w przyszłości wyłącznie na uczelniach angielskich. Już w chwili obecnej większość polskiej młodzieży akademickiej studiuje na uniwersytetach brytyjskich. W roku bieżącym Komitet Oświaty przyznał ogółem 2.000 stypendiów. Z tej cyfry 1595 stypendystów uczęszcza na wyższe uczelnie brytyjskie i irlandzkie. W PUC studiuje 395 stypendystów, a 100 w Szkole Handlu Zagranicznego. 550 stypendystów zdobyło w tym roku dyplomy. Dla polskich studentów otworzyła się również możliwość studiowania na uniwersytecie w Strasburgu, organizowanym przez Free Europe dla uchodźców zza żelaznej kurtyny. Polakom przyznano w tym roku ok. 20 stypendiów.

Tak wyglądają statystyki. Byłoby natomiast bardzo trudno odpowiedzieć na pytanie: jakie są poglądy tej młodzieży? Lewicowe — prawicowe, nacjonalistyczne — liberalne? W tej sferze operuje się tylko ogólnikami. Przyjąć można za pewne, że ogół nie interesuje się sporami politycznymi starszego pokolenia, a próby wskrzeszenia Legionu Młodych nie zostały uwieńczone rezultatem. Wydaje się również, że jeżeli chodzi o dawne stronnictwa polityczne — zwane obecnie stronnictwami historycznymi — stronnictwo narodowe dysponuje może największą ilością zwolenników wśród młodzieży akademickiej.

#### I TYM RAZEM — NIC

Gen. Kukiel rzekł się misji mediacyjnej. Jak i w poprzednich rozmowach tak i tym razem nieprzewidywalnym "martwym punktem" — okazało się stanowisko prezesa A. Ciołkosza.

Na marginesie tych szczęściowo-miesięcznych rozmów pragniemy poruszać dwie następujące sprawy:

1) Rozmowy mediacyjne, tak pierwsze jak i drugie — prowa-

dzone były w ścisłej tajemnicy. W czym interesie leży owa tajemniczość? Tajność obrad, jeżeli chodzi o sprawy konstytucjonalne i ustrojowe — nigdzie, dosłownie nigdzie na świecie nie jest praktykowana. Nikt nie wymaga, aby zainteresowani dyskutowali publicznie wydaje się jednak rzeczą konieczną, by w takich wypadkach PAT ogłaszał okresowo rzeczowe i wyczerpujące sprawozdania. Jest obowiązkiem rządu informować ogół obywateli na obczyźnie o wewnętrznych wydarzeniach politycznych. To wschodnie, totalistyczne lekceważenie opinii ogółu, w tym wypadku ogółu emigracji, dosadnie odmalowuje poziom naszej kultury politycznej.

2) Rząd zamierza powołać IV Radę Narodową. W czasie trwania uprzedniej Rady — zarówno gen. Odzieżyński jak i Prezydent, wielokrotnie zapewnili, że pragną stworzyć Radę Narodową, która składałaby się z przedstawicieli stronnictw politycznych oraz z radnych wyłonionych z uchodźstwa na zasadzie wyborów. Projekt dekretu Prezydenta o Ordynacji Wyborczej (10 maja 1950) przewiduje w Art. 1, że połowa ustawowego składu Rady Nar. obejmować będzie radnych pochodzących z wyborów.

IV-ta, tj. obecna Rada Narodowa, nie będzie Radą ani nawet częściowo wyłonioną z wyborów ani nie będzie szła po linii koncepcji wysuwanej przez opozycję. Innymi słowy nie będzie reprezentowała ani uchodźstwa ani stronnictw politycznych — gdyż partie tworzące Radę Polityczną nie wezmą w niej udziału. Nasuwa się pytanie kogo właściwie ta Rada reprezentuje?

Ponieważ koncepcja opozycji wyklucza wybory — rząd nie realizuje powziętych obietnic wyborczych w przekonaniu, że wybory utrudniałyby ewentualne porozumienie z opozycją. I tak oto doszliśmy do obecnej paradoksalnej sytuacji. Ani radni z wyborów, ani delegaci stronnictw historycznych — tylko nominaci.

W ten sposób rząd może latami — oczekując zgody narodowej — nie przeprowadzać wyborów, zalecając ogółowi uchodźstwa płacenie na Skarb Narodowy. Z własnej inicjatywy możemy jeszcze raz lub dwa razy w roku zamówić nabożeństwo na intencję zgody pomiędzy dożywotnimi prezesami stronnictw. Lecz na tym wyczerpują się nasze prawa obywatelskie.

"Kultura" od początku powstania instytucji Skarbu Nar. reprezentowała pogląd, że Skarb i wybory są związane ze sobą funkcjonalnie. Najelementarniej pojęte zasady demokracji wymagają, aby płatnicy na Skarb Nar. zapewniony mieli wpływ i kontrolę w odniesieniu do poczynań rządu finansowanych z pieniędzy pochodzących ze Skarbu Nar. Nie wolno latami domagać się od członków społecznej instytucji, by płacili pieniądze i równocześnie członkom tym uniemożliwiać przeprowadzania kontroli gospodarki tejże instytucji przez osoby wyłonione z wyborów.



## Sprawy krajowe

### Więści ze Lwowa

OD REDAKCJI: W polskiej prasie emigracyjnej niewiele pisze się o Ukraińcach, a w ukraińskiej też nie za wiele o Polakach. Niewiele jest prób zrozumienia, a zupełnie brak usiłowań porozumienia. Wszakże kto ma niezdrowe zamiłowania do spraw beznadziejnych i nieuleczalnych, mógłby sobie użyć czytając jak każda ze stron zainteresowanych nie tylko spowiada się z grzechów drugiej, lecz także jako swojego rodzaju Cassandra wygłasza ponure prorocтва o losie przeciwnika. Szczyt śmieszności osiągnął niedawno w jednym z pism emigracyjnych znany polityk, który trzymając się zresztą uparcie niehistorycznej nazwy Małopolska Wschodnia dla ziemi halickiej, powołuje się na nieokreślone bliżej prawo biologiczne a ponadto jeszcze socjologiczne, z którego wynika że „albo my albo oni”, jako że Małopolska Wschodnia jest krajem rolniczym itp. Jaka szkoda, że w Belgii nie znano przed wiekiem tego stawetnego prawa. Może by wtedy, zamiast stworzyć potężny przemysł i osiągnąć największą gęstość zaludnienia w Europie, Wallonowie i Flamandowie powiedzieliby sobie „albo my albo oni” i utatwiliby przez to penetrację jakimś przyszłym ze wschodu. Szczęściem, dla ważności tego prawa, po stronie ukraińskiej znaleźli się ludzie i grupy, pełne inicjatywy, jak banderowcy, którzy „oczyszczali” kraj z resztek Polaków i Żydów w okresie kiedy Niemcy nie pokazywali się już po mniejszych miasteczkach i wsiach. Pozostaje nierozstrzygnięte, czy dosłuchali się tego prawa od naszych polityków i „pacyfikatorów” (zaczynając od Potockiego w połowie 18 wieku), czy też inicjatywa była rzeczywście spontaniczna. Spróbujmy teraz zobaczyć, jak wygląda Lwów, gdy ten trzeci wstuchał się w gadanie przedstawicieli tego prawa, wyciągnął wnioski z tej praktyki i wyprzedził obu nierycerskich donkiszotów, bez półśrodków. Chcąc informować naszych czytelników, będziemy się starali możliwie często podawać kronikę poświęconą stosunkom polsko-ukraińskim.

Paryskie pismo „Ukrajniec” — „Czas” cytuje artykuł moskiewskiej „Literaturnej Gazety”: „Jeszcze tramwaje nie chodziły, jeszcze szkło z rozbitych okien obsypywało ulice, gdy armia sowiecka uwolniwszy Lwów 27 lipca 1944 roku przemianowała znowu ulicę „Październikową (?) na prawdziwą (!) jej nazwę — ulica Stalina”. Pod tym hasłem aż do najmniejszych szczegółów odbywa się przemianowywanie i so-wietyzacja Lwowa. Dzielnice nawet otrzymały nowe nazwy: Krakowskie Przedmieście nazwano rejonem Czerwonarmiej-skim, Łyczaków — rejonem Stalińskim itd.

A oto dla przykładu niektóre nazwy ulic: ul. Batorego nazwano Batutina, Bema — Jarosława Mądrego (książe kijowski), Boimów — Frunzego (generał sowiecki z okresu wojny domowej), plac Bernardynów — płoszcza Wozjednienija (Zjednoczenia... z Sowietami), Wały Hetmańskie — Radianskij Bulwar, Korniaktów — Iziumskaja, Zimorowicza — Lermontowa, Kazimierzowska — Czapajewa (rosyjski partyzant z wojny domowej) Sykstuska — Oktiabry (na pamiątkę rewolucji październikowej), Cenkiwna — Klary Cetkin (bolszewicka działaczka), Szeptyckich — Kirowa, Zyblikiewicza — Czernyszewskiego (pisarz rosyjski XIX wieku), Zamarstynowska — Kalinina, Kadecka — Gwardiejskaja, Orląt — Młodej Gwardii, Legionów — Pierwszego Maja, Lwa Sapiehy — Stalina, Łyczakowska — Lenina, Karmelicka — Darwina (walka z zaco-faniem), Łackiego — K. Briułowa, Marii Magdaleny — Lizy Czajkinoj, Pełczyńska — Dzierżyńskiego, św. Teresy — Aleksandra Newskiego (zwycięstwo prawosławia: książe rosyjski i święty prawosławnej cerkwi), Focha — Wokzalna.

32 rozdział planowania pięcioletniego nakazał przemienić Lwów w wielkie centrum przemysłowe Ukrainy. Ratusz jest siedzibą niezliczonych central urzędowych, i gospodarczych. Jednym z głównych centrów administracyjnych jest urząd zwany Obwykonkom (gubernialny komitet wykonawczy), któremu podlega także Kościół. I dalej urząd wojskowy, mający także za zadanie wychowanie młodzieży szkolnej, sprawy bezpieczeństwa wojennego i organizowanie świątecznych demonstracji. MGB — urząd bezpieczeństwa państwowego — mieści się przy ul. Pełczyńskiej, nazwanej zniemiennie ulicą Dzierżyńskiego, tam gdzie było Gestapo. Podziemie budynku ma swoje więzienia, o których chodzą groźne wieści po mieście. Urzędowi podlegają dawne więzienia przy ul. Łackiego, Jachowicza, na Zamarstynowie i Brygidki, uzupełnione ogromną siecią nowych więzień. Przystąpiono też do wykonania planu przemysłowego, między innymi obok Parku Stryjskiego oddano 20 hektarów pod budowę nowego warsztatu montażu samochodów, a obok tego fabryki rowerów. Wśród tych instytucji uderza jak złośliwy nowotwór nazwa Ukrğlawrazrymasło w dawnym Ma-słosojuzie. Centrala handlowa dostępna jedynie dla dostojników partii nazywa się jak w całej Rosji Uniwermag; zarówno



w Ratuszu jak i w sklepach s'yszy się tylko rosyjski język, a nawet, jak zapewnia pismo ukraińskie, wymowa "obca" razi i wzbudza podejrzenia. Także na ulicach słyszy się przeważnie mowę rosyjską, a dawny mieszkaniec Lwowa, jeśli tam znów przybędzie, błąka się jak po obcym mieście i nie spotka znajomej duszy. Na każdym kroku szyldy o skrótach podobnych do wymienionego, głoszą zwycięstwo okupanta.

Lwów jest także centrum organizacji nie tylko dla dawnych polskich województw, lecz także dla Bukowiny a nawet Zakarpacie znajduje się do pewnego stopnia pod jego wpływem. Spoza dawnego kordonu przyjeżdżają na zjazdy do Lwowa tacy działacze jak Manuilskij, Chruszczow (do niedawna wielkorządca Ukrainy) i poeta Mychajło Rylskij, a dla podpisywania "entuzjastycznych" deklaracji zjawia się także spośród miejscowych prof. Wozniak i krytyk literacki Mychajło Rudnykij. Co do prasy dowiadujemy się, o następujących organach: jeden ukraiński i dwa rosyjskie. Skądinąd wiadomo nam też, że istnieje periodyk "Radianskij Lwiw", który w swoim czasie zamieścił nawet w obszernych wyjątkach przekłady z książki Vincenza "Na Wysokiej Połoninie", a omawiając przy tym książkę wcale życzliwie, we wstępie do przekładu widział w niej zapowiedź ostatecznego wyzwolenia Ukrainy. Zresztą pismo to zostało następnie przywołane do porządku przez Żdanowa za nacjonalizm.

Wszystkie cerkwie Lwowa są przejęte przez prawosławne duchowieństwo. Ostatni kościół, który jeszcze ostał się, przy ul. Zyblikiewicza, zamknięto na wiosnę. Według informacji prywatnych wszakże, co niedzieli odbywają się nabożeństwa rzymsko-katolickie w Katedrze przy udziale chóru polskiego. Z wiadomości o ukraińskich biskupach grecko-katolickich dowiadujemy się, że biskupi Chomyszyn (stanisławowski), Kocyłowski (przemyski, wydany przez obecny rząd warszawski Sołwetom), Teodor Rómża, biskup Mukaczewa, biskup sufragan Łakota z Przemysła, b. rektor Akademii Duchownej i ostatni metropolita Józef Sliptyj, Nikita Budka, pierwszy biskup grecko-katolicki Kanady, zmarli wszyscy w więzieniach i w obozach koncentracyjnych, zaś Iwan Latyszewskij, sufragan stanisławowski, Mykoła Czarneckij, apostołski wizytator katolicki Wołynia, przebywają w więzieniach lub w obozach.

#### UNIwersytet Lwowski

Wychodzący w Monachium tygodnik ukraiński "Chrystyjański Hołos" podaje za wydawanym w Toronto sowietofilskim organem "Żyttia" wiadomości o uniwersytecie lwowskim pióra niejakiego Tyszczenki. Według niego przyjęto na uniwersytet Iwana Franki we Lwowie pięć tysięcy studentów, włączając eksternistów i studiujących "zaocznie". W tym liczba zwyczajnych studentów wynosi 2.753, a w tym Ukraińców 1.688,

(bez podania terytorium, z którego pochodzą), 707 Rosjan i 357 Polaków i innych. "Chrystyjański Hołos" sądzi, że wśród studentów ukraińskich jest niewielka ilość zachodnich Ukraińców, to jest Galicjan. Skład społeczny studentów przedstawia się następująco: dzieci robotników — 667 (25 proc.), chłopów — 701 czyli 26 proc., a inteligencji 1375 czyli równo połowa. Pismo wnioskuje z dużym prawdopodobieństwem, że są to dzieci z rodzin biurokracji sowieckiej.

Ciało profesorskie składa się z 300 osób, z tego tylko 64 pochodzi z miejscowego terenu. Wśród tych są Ukraińcy, Polacy i Żydzi. Widocznie — pisze "Chrystyjański Hołos" — resztę personelu profesorskiego nasłano dla rusyfikacji. Zresztą według jednego z wydawnictw uniwersyteckich rektor nazywa się Sawin, a wśród profesorów znajdujemy nazwiska Woroobjow i Wołkow. Z miejscowych profesorów sowietofilskie pismo wymienia tylko dwóch — Wozniaka i Stefanyka, o innych, o których wiadomo, że zostali we Lwowie i współpracą których Moskwa się w swoim czasie bardzo chwaliła, artykuł Tyszczenki milczy. Spośród polskich profesorów wymienia Tyszczenko "postępowych" uczonych sprzed r. 1939 jak profesora prawa Dąbkowskiego i znanego profesora prawa karnego, Makarewicza. Według oceny "Chrystyjańskiego Hołosu" z Polaków zostali tacy, którzy kiedyś sprzeciwiali się wszelkiej ukrainizacji uniwersytetu, lecz Tyszczenko innych nie wymienia. Rzekomo profesorowie ci wykładają po rosyjsku, i za tę cenę pozwolono im zostać na stare lata we Lwowie. "Chrystyjański Hołos" uwydatnia, że usunięto nawet nazwę *ukraiński uniwersytet*, o co w swoim czasie upominał się jakoby pierwszy sowiecki rektor w r. 1940, i za co zresztą nazwano go ukraińskim nacjonalistą i wysłano do Kijowa, gdzie po nim słuch zaginął.

S. V.

**POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY**  
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU  
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

**JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ**

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",  
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.



## Do Antoniego Słonimskiego

Opublikowałeś w «Trybunie Ludu» z 4 listopada atak na mnie, ukazując mój portret, w którym z trudnością mogłem siebie rozpoznać. Ten twój artykuł, w którym przedstawiasz mnie jako krwawego reakcjonistę czyhającego na życie polskich dzieci, jest napisany według wszelkich zasad przyjętych w okresie procesów moskiewskich. Był czas, kiedy oburzałeś się na słuźalstwo pisarzy rosyjskich, krzyczących z inicjatywy władz: «Zabić go, zabić!» Dzisiaj sam spełniasz tę funkcję i używasz tego samego stylu. Wybrałeś tę rolę i nie byłoby tu nic do powiedzenia, gdyby nie dzieło poetyckie jakie masz za sobą. Z szacunku dla ciebie jako poety zapomnę o twoim dobrowolnym poniżeniu i nie będą odpowiadał obelgami na obelgi. Odpowiem ci tak, jak zasługuje na to dawny poeta Pikadora, a nie autor felietonów w polskiej wersji «Prawdy».

W tym samym mniej więcej czasie kiedy ja zrywałem swoje związki z dzisiejszą Polską, ty wracałeś z Londynu do Warszawy, po dwunastoletnim niemal pobycie za granicą. Wróciłeś, bo w Warszawie wydajesz swoje dzieła poetyckie, masz pieniądze, apartament i kontrakt na przekład «Sonetów» Szekspira. Ja wyrzekłem się pieniędzy, kontraktów i publikowania wierszy. Wróciłeś również dlatego, że niebezpiecznie jest narazić się wielkiej potędze która ma czołgi, samoloty, władzę nad setkami milionów ludzi a także świadomych i nieświadomych pomocników we wszystkich krajach świata. Nazywasz to koniecznością historyczną. Ja koniecznością historyczną — skoro już o niej mowa — nazywam co innego. Nazywam pragnienia milionów mieszkańców kuli ziemskiej — a w tym i Polski i Rosji — którzy chcą czego innego niż tyrania, z jakiej na wiele pokoleń nie ma żadnego wyjścia. Jeżeli wierzysz w głębi serca że to co racjonalne musi kiedyś zwyciężyć, wiesz czym jest twój kult tego co uważasz za historyczną konieczność. Jest tylko i jedynie kultem siły.

Nie byłeś nigdy komunistą. Kiedy polscy komuniści gnili po więzieniach, ty zasiadałeś w kawiarni i pisałeś kroniki tygodniowe dla liberałów z małego miasteczka. Kiedy ci liberałowie umierali przed plutonami egzekucyjnymi i w komorach gazowych, byłeś w Londynie. I byłeś w Londynie, kiedy polscy komuniści gnili z kolei w sowieckich więzieniach i wybaczały te więzienia, kiedy brali na swoje sumienie masowe deportacje, organizowane przez Rosjan, zniszczenie Warszawy, planowe, pod pokrywką działań wojennych, palenie miast i grabież fabryk na ziemiach zachodnich; brali to na swoje sumienie w imię własnej idei. A teraz wybrałeś ortodoksję mocą faktów, których sam nie tworzyłeś i których nie chciałeś.

Ja też nie byłem komunistą i nie siedziałem w więzieniach; nie wierzyłem że to co się dzieje w Rosji jest zbawieniem ludzkości. W r. 1936 ogłosiłem w wileńskiej «Karcie» list otwarty,

w którym określiłem swoje anty-stalinowskie stanowisko. Ale po wojnie, kiedy każdy był dobry kto nie miał czarnego podniebienia, uważałem że powinienem być z moim krajem i temu krajowi w miarę sił pomagać. Kiedy jednak powiedziano: nie ma prawa przemawiać kto nie akceptuje ślepo i bez zastrzeżeń podstaw naszej filozofii, wybrałem to rozwiązanie\*). Nie jestem pierwszym ani ostatnim człowiekiem, który odrzuca doktrynę włączaną przemocą. Dla tych co sądzą że Krótki Kurs WKP(b) zawiera najczystsza prawdę, że prawdziwa jest leninowska «teoria odbicia» i stalinowska interpretacja dialektyki, jakiegokolwiek wyrażenie wątpliwości jest zdradzeniem się klasowego wroga. Ja natomiast uważam, że ci którzy zamykają strachem usta ludzkie i wyplenają w umysłach ludzkich zdolność poszukiwania prawdy — przynoszą ludzkości tylko nieszczęście.

Nie mam zamiaru siebie wybielać. Byłem w latach przedwojennych winien zaniechania. Lata, w których dojrzywałem, były to ponure lata, kryzysu i zbliżającej się wojny. Ulegałem ogólnej atmosferze. Ale to mnie nie usprawiedliwia.

Powinienem był pisać o tej Polsce jaka była, z jej nędzą, krzywdą, różnorodnością i bogactwem. Trzeba było lat cierpienia, aby nauczyły mnie obowiązków. A później, wrzucony w tragiczną sytuację niezależnego od nas wyboru, musiałem wreszcie dokonać tego ostatniego gorzkiego wyboru, broniąc się przed nim z całych sił. Musiałem położyć na jednej szali moją miłość i przywiązanie do kilku ludzi, którzy zostali w Polsce, a na drugiej szali wizję tego, czego ode mnie w Polsce żądano: żądano tego, co ty robisz teraz. Jedyny wybór jaki był dla mnie możliwy, to był wybór mniejszego zła. Ale z tego nie wychodzi się czystym. Z tego zostaje pamięć — i trzeba wielkiej determinacji aby wyznaczyć jej miejsce właściwe.

Nie, decyzje nigdy nie są procesem czysto intelektualnym. Aby je powziąć, trzeba przejść przez wysokie napięcie uczuciowe. Wiedzano że jestem raczej naiwny, że zamykam oczy na składane na mnie donosy szpiclów. A jednak uważano za stosowne wziąć mnie w magiel, po którym byłem w takim stanie, że dygotałem na każde stuknięcie drzwi, a każdy człowiek na ulicy

\*) Francuscy pisarze stalinowscy, jak się dowiedziałem, opowiadają że zrobiłem to dla pieniędzy, «przekupiony». Zastanów się chwilę nad tą szczególną metodą zniesławiania, która wyłącza możliwość decyzji z powodów wewnętrznych. Wiesz dostatecznie dobrze, że szale długo się we mnie ważyły i że pomimo wiedzy o tych sprawach, która nie jest moją tylko własnością, Lyłem zdecydowany z Polską nie zrywać. Gdyby było inaczej, nie wyjechałbym z Ameryki, gdzie mogłem przecie łatwo zostać. A gdybym kładł troskę o pieniądze na pierwszym miejscu, nie wyzywałbym się lekkomyślnie tych samych warunków jakie masz w Warszawie. Moja decyzja nastąpiła w okolicznościach najmniej dla mnie wygodnych, co oznacza że była nagła. Rzecz sprowadza się do zagadnienia jak wiele wolno jest dać Cezarowi. A co jeżeli jedna kropła dopełnia miary? Nie jestem żadnym «ex», bo nie należałem do «Kościoła». Ale oczywiście kto nie chce uznać tego cezaro-papizmu jest nie tylko heretykiem, jest zbrodniarzem i nie może mieć czystych motywów.



paryskiej budził we mnie strach paniczny. I kiedy dzisiaj to co piszę budzi wściekłość w Warszawie, podziękujcie sekretarzowi generalnemu Związku Literatów czy, jeżeli kto woli, ministrowi literatury, za obudzenie we mnie dostatecznego wstrętu do waszych metod.

Co do tła intelektualnego mojej decyzji, nie wiem czy warto o tym z tobą mówić. Byłeś zawsze człowiekiem retoryki i frazesu. Należałeś do tego pospolitego w Polsce przedwojennej gatunku, który szydzi z tego co nie jest «lekkie», «dowcipne», «zachodnie» i który gardzi umysłową pasją. Twoje anglofilstwo było snobizmem jegomościów ubierających się w «Old England», to co wiedziałeś o świecie przychodziło ci z towarzyskich rozmów, a «oświecenie», które zaszczybiało publiczności z «Ziemiańskiej» i «Ipsu», nie było oparte na żadnym przemyśleniu i na żadnej nauce. Ponośisz, narówni z innymi, tobie podobnymi, odpowiedzialność za klimat umysłowy w Polsce przedwojennej, za bezdomność i zaniechanie mego pokolenia. Należysz do gatunku, którego mózg kończy pracę w okolicach czterdziestki. Po wojnie widziałem się z tobą w r. 1945, 1948 i 1950; musiałem dojść do wniosku, że nie ma o czym z tobą rozmawiać, bo za każdym razem powtarzałeś jak pozytywka te same dykteryjki. I myślę, że nienajmniejszym powodem twego nawrócenia się na ortodoksję był strach przed własną sklerozą i własną pustką; znów masz teraz zapas gotowych, danych ci frazesów, które będziesz powtarzać.

Nie masz pojęcia o zagadnieniach współczesnych, nie rozumiesz o co skaczą sobie do gardła ludzie w paryskich studenckich kawiarniach i włoskich robotniczych tawernach, a literacko-partyjni wyjadacze w Warszawie są dla ciebie nieosiągalnymi szczytami intelektu. Ze swoich liberalnych i humanitarnych pozycji przepłynąłeś gładko na pozycje stalinowskie nie zastanawiając się ani chwili co odrzucasz i co przyjmujesz i jakie są stąd dla gatunku ludzkiego konsekwencje.

Więc nie będę ciebie nudzić nadmiernie. Możesz to opuścić, jako zbyt trudne i zawile. Powiem tylko że dzisiaj ludzie dzielą się na dwa rodzaje. Jedni przebywają w świecie rzeczy, niezmiennych i nieprzenikalnych, w świecie, który przedstawia się im jako zespół odgraniczonych i niezależnych od siebie całości. Drudzy przebywają w świecie zjawisk w ruchu, współzależnych, wzajemnie uwarunkowanych, zmiennych i wzajemnie przenikalnych. Pomiędzy sposobem myślenia jednych i drugich jest przepaść. Mój problem polegał na tym, że z pierwszymi nie mogę mieć żadnego sposobu porozumienia. Natomiast stalinizm zawdzięcza swoje sukcesy wśród intelektualistów właśnie temu, że spekuluje na tym drugim rodzaju mentalności. Mówię „spekuluje”, bo ta sama skłonność umysłu poprowadzona dalej jest bronią, która obraca się przeciwko niemu. Niszczy go to, co można nazwać faktem antropologicznym — który tylko wtedy ma znaczenie, jeżeli odczytuje się z niego natychmiast cały tań-

cuch uwarunkowań. Ścisły związek zachodzi pomiędzy np. problemem „typizacji” i terrorem, pomiędzy architekturą metra moskiewskiego i polityką wobec podbijanych narodów, pomiędzy sztuką, która ma być rodzajem optymistycznej hipnozy („wszyscy jesteśmy tak szczęśliwi”) i cierpieniem milionów istnień. Nowa, potężna cywilizacja, która powstaje, jest naznaczona tym, że przez ortodoksję zaprzecza samodzielnemu ruchowi zjawisk — a jeżeli odbiera poecie prawo do poznawania świata środkami jakie są mu właściwe, to w tym zakazie jest odbite jak w soczewce wszystko co w niej się zawiera. Dla ciebie to może nie jest ważne, bo twoja poezja — nawet w twoich najlepszych momentach — była zawsze retoryczna tj. opierała się na niedużej liczbie pojęć ubranych w słowa. Kiedy jednak mnie zapewniają, że wyobrażenia a nawet wrażenia są selekcjonowane in statu nascendi przez całe poprzednie doświadczenie danego człowieka, a to doświadczenie jest kształtowane przez pojęcia, te znowu przez świadomość klasową — wietrzę w tym nieczysty zamiar i widzę że nie taka czy inna teza psychologii jest ważna — (jak zwykle jest to karygodne uproszczenie) — ale właśnie zamiar z góry powzięty: chodzi o udowodnienie, że poeta (i w ogóle każdy artysta) powinien wychodzić nie od własnej percepcji świata, ale od poprawnych (tj. zgodnych z Krótkim Kursem WKP(b)) pojęć i że te pojęcia powinien ubierać w obrazy (czy kształty i dźwięki). Stąd prosta droga do rozdawanych do tydzień czy do miesiąc tematów.

Tylko ci, którzy tkwią w świecie oddzielnych i niepowiązanych ze sobą rzeczy i dzielą cywilizację na części, mogą uważać estetykę za „coś osobnego” (będą mówić o przymusie wobec artysty, kiedy tutaj chodzi o konsekwencję). Oczywiście każda cywilizacja wytwarza swoją odrębną sztukę, ale nawet ścisłe poddana rygorom magii sztuka murzyńskich plemion powstawała drogą obyczaju, a nie zabiegu który nasuwa podejrzenie, że mamy tu do czynienia z objawem psychopatologicznym (racjonalizacja absurda). Uzyskiwana jedność myśli i akcji jest pozorna, życie człowieka rozpada się znów na sferę zamkniętej myśli i publicznego działania; epitety które miotał w „Trybunie Ludu” czy wiersze, w których dajesz wyraz swemu entuzjazmowi, są dla ciebie i innych zajęciem takim, jak sumowanie cyfr przez urzędnika bankowego, który po pracy zdejmuje mankiety i zaczyna myśleć prywatnie. Ponieważ odrzucam stalinizm dlatego że nie myślę odgraniczonymi od siebie rzeczami, a ilość Polaków którzy by myśleli nie-rzeczami jest znikoma zagranicą, nie przeczę że moja sytuacja jest niewesoła.

Zejdźmy jednak z teorii do spraw bardziej dotykanych, tych, którymi się zajmujesz. Niestety, będę musiał dać próbki twego stylu. Oto co o mnie powiadasz:

“Judzisz przeciwko planowej pracy, która ogarnia coraz szersze masy ludu polskiego, godzisz w budowę fabryk, uniwersytetów i szpi-



tali, wrogiem jesteś robotników i chłopów, którzy po raz pierwszy w historii naszego kraju stanęli do walki o obalenie wyzysku i krzywdy ustroju kapitalistycznego. Jesteś wrogiem synów chłopskich czy robotniczych, którzy zapewnają wyższe uczelnie, garną się do nauki i do pracy, jesteś wrogiem architektów i murarzy, którzy odbudowują stolice, inżynierów, którzy opracowują plany nowych fabryk, pracowników partyjnych, którzy walczą z ciemnotą”.

“Wrogiem jesteś naszej teraźniejszości, ale co cię przeraża najwięcej to nasza przyszłość. Wiesz, że wykonanie sześćdziesięcioletniego planu uczyni z Polski wielki i silny kraj socjalistyczny. Nie chcesz, aby każdy człowiek miał w Polsce pracę, chleb i oświatę. Nie chcesz, aby powstały na tej ziemi setki nowych fabryk i szpitali, dziesiątki nowych uniwersytetów i laboratoriów, nie chcesz, aby dzieła wielkich pisarzy świata w setkach tysięcy egzemplarzy docierały do mas pracujących, nie chcesz wyzwolenia własnego narodu z jarzma kapitalistycznego”.

Obywatelu, chwali ci się że tak dbasz o lud polski. Ja co prawda wołałem cię kiedy nie włączyłeś na wiecowa trybunę. Głos twój brzmiał szczerzej, kiedy pisałeś :

*„Nasz lud!” wołają ze swadą.  
Nasz lud jest głupi jak pień.  
Ja wolę lód z lemoniadą  
I to w upalny dzień.*

Na próżno bijesz w wielki bęben narodowy. Ja, widzisz, nigdy nie byłem nacjonalistą i ten chwyt taktyki partyjnej zostawia mnie obojętnym. Zresztą zdecydujcie się wreszcie. Ten chwyt rodmuchiwnia nacjonalizmów może dawać dobre wyniki w Chinach (gdzie już jest łączony z odwoływaniem się do Rasy), albo w krajach położonych dalej od Związku Sowieckiego. W Polsce nie przyczynia się do obudzenia uczuć przyjaznych wobec «wielkiego brata», którego jarzmo nie należy do najbliższych w historii podbojów. Ponieważ nie jestem nacjonalistą, żadne flagi narodowe i żadna dumna z budowanych fabryk nie zmienią mego przekonania, że stosunki pomiędzy narodami powinny być oparte na wzajemnym poszanowaniu. Kiedy jeden naród każe innym narodom modlić się do siebie w dzień i w nocy, uwielbiać swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, kiedy tworząc u siebie ponurą cywilizację, którą łatwo odcyfrować choćby z jego malarstwa i rzeźby identycznych ze sztuką nazizmu, odbiera innym narodom nadzieję stworzenia cywilizacji lepszej — przekreśla wszystko o co walczyli najdzielniejsi synowie wszystkich narodów europejskich w ciągu wieków.

Co do fabryk, szpitali i laboratoriów, to nie masz podstawy do zapewniania swoich czytelników że ty ich chcesz a ja nie chcę. Ale te piękne rzeczy nie są celem samym w sobie, tylko służą człowiekowi. Jest zwyczajnym kłamstwem wmawiać człowiekowi, że kiedy zapracuje się na śmierć i nabuduje fabryk, jego wnuki osiągną tylko przez to szczęście. Nawet jeśli Rosja opanuje całą Europę i Azję i dzięki pracy zależnych od niej narodów zyska względny dobrobyt, to ani odrobinę nie zmniejszy się to, co odbiera ludziom możliwość cieszenia się słońcem i darami ziemi: strach. Ten strach jest zawarty w doktrynie wy-

nika z niej logicznie, idzie jak cień za ortodoksją. W «Nowej Kulturze» (z 16.IX.1951) musiałeś czytać wiersz Siemiona Kirsanowa (napisany w r. 1937, roku wielkich czystek). Przypominam ci go, jeżeli nie pamiętasz:

#### SYN JEST ZE MNA

*Papieros be,  
nie ruszaj!  
Zapałki be, nożyczki be,  
to nie są bardzo straszne be,  
ale nie ruszaj.  
Ja jeszcze żyję  
obok bardzo niebezpiecznych be  
(wywożą je w zakratowanych samochodach).  
Zanim wyrośniesz,  
najgroźniejsze be wyginą  
i, prócz zapalek i papierosów, zostanie  
bardzo mało be.*

Rzeczywiście miliony be aresztowanych w r. 1937 wyginęły w obozach, które francuski poeta Aragon nazywa wzorem instytucji wychowawczych (powiedz to tym którzy stracili tam swoich najbliższych). Syn Kirsanowa dorósł już, ale ilość be bynajmniej się nie zmniejszyła, sądząc po znakomicie rozrastającej się liczbie niewolników.

Nie zagłuszysz więc mnie biciem w bęben narodowy. Gra nie toczy się o Polskę, ale o świat i obchodzi mnie los wszystkich tych co drżą ze strachu albo giną powolną śmiercią, niezależnie od ich języka, narodowości, rasy i wyznania. Bo tu nie chodzi o chwilowy terror, tylko o instytucję na dwieście, trzysta, czterysta lat, nie chodzi o to czy w Polsce jest łagodniej, tylko (zważ, ile lat dzieli Polskę od osiągnięcia ideału) o typ cywilizacji. Jeżeli twierdzisz że żadna inna nie jest już możliwa, przyznajesz się do bankructwa swego całego życia i wszystkich swoich marzeń.

Pytasz mnie: «Czego ty chcesz? Jaki jest twój program?» Moim programem było danie tej młodzieży polskiej, o którą tak się troszczysz, i teatrom polskim kilku dobrych poetyckich przekładów. Moim programem była «praca organiczna» i to spotkanie Otella z Desdemoną które pamiętam:

*— Jeżeli zawsze po burzy nastaje  
Taka pogoda, niechaj wiatry wieją  
Aż śmierć obudzą, niech okręt się wspina  
Aż do Olimpu na spienionej fali  
I spada w dół, aż do piekielnych bram.  
Gdybym mógł umrzeć, umarłbym szczęśliwy.  
Boję się że już nigdy tak pełnego  
Szczęścia nie zaznam. Ze już odtąd nigdy  
Takiej radości nieznanym los nie da.*



— Nie mów tak, nie mów, niech z każdą godziną  
I z każdym dniem to szczęście większe będzie.

— Amen. Nie mogę mówić ukochana.  
Za dużo tej radości. Serce bije  
Szybciej niż twoje — to rozdźwięk jedyny.

Dzisiaj moim programem jest pozbyć się tego przedziału między myślą i akcją, który jest w was wszystkich w Warszawie. Piszecie i mówicie publicznie jedno, prywatnie drugie i śmiejecie się z tego co powiedzieliście publicznie. Moim programem nie jest działalność polityczna. Niech to co powinno być powiedziane będzie powiedziane — to mi wystarcza za program. Ponoście konsekwencje. Kiedy, według nakazu z góry, odbieracie prawo do mówienia w Polsce, zdarzać się wam muszą takie katastrofy jak ucieczka kogoś, kto zdolny jest mówić do siebie i za innych. Nie krzycz, że drukując w piśmie Zachodu czy pozwalając na czytanie moich utworów przez zachodnie radiostacje zasiadam, jak wołasz, «z wczorajszymi katami narodu polskiego» i że zrównała mnie historia z generałem Własowem. Tak krzycząc popełniasz fałszerstwo i robisz to świadomie, bo zbyt długo mieszkales za granicą aby nie wiedzieć że nie ma tam żadnej obowiązującej filozofii i że każdy odpowiada tam tylko za to co podpisał swoim nazwiskiem, a nie za to co może być na sąsiedniej stronie. Kto nie jest z Moskwą jest płazem i «jadowitą żmiją», którą trzeba zdeptać, zgoda. Ale w takim razie jadowitymi żmijami jest ponad 100 milionów Estończyków, Łotyszów, Litwinów, Polaków, Czechów, Ukraińców, Niemców, Węgrów, Rumunów i Bułgarów z dodatkiem pokaźnej liczby innych narodowości. A w partiach tych krajów przygniatająca większość stanowią te jadowite żmieje i nic nie pomoże poświęcanie Gomułki i Spychalskiego dla ratowania własnej skóry. Te 100 milionów Europejczyków to jest 100 milionów be.

Powiadasz mi: «Bądźmy szczerzy. Chcesz tylko jednej rzeczy Chcesz wojny. Wojny straszliwszej od wszystkich wojen przeszłości. Na trupach nowych milionów dzieci, kobiet i mężczyzn, na nowych gruzach miast dziś odbudowanych opierasz swoje nadzieje».

Hm. To ciekawe skąd masz takie informacje. Mógłbym ci odpowiedzieć co prawda cytata z Marksa, którego pewnie zacząłeś studiować. Jeżeli jesteś ciekaw, oto ona: «Panslawizm jest ruchem, który próbuje odrobić to czego dokonało tysiąc lat historii. Nie może osiągnąć swoich celów inaczej niż ścierając z mapy Europy Turcję, Węgry i połowę Niemiec. Jeżeli ten wynik ma być kiedyś osiągnięty, może być osiągnięty tylko przez niewolę Europy. Z artykułu wiary, panslawizm stał się programem politycznym. Dziś już nie tylko Rosja, ale cała państwońska konspiracja grozi ustanowieniem swego panowania na ruinach Europy. To pozostawia Europie tylko jedną alternatywę:

albo popaść w niewolnictwo, albo zniszczyć w sposób trwały siłę, która stanowi centrum ofensywy niewolnictwa, Rosję («Neue Oderzeitung», kwiecień 1855).

Nie jestem jednak bynajmniej tak krwiożerczy jak Marks. Obawiam się, że po wojnie atomowej nie byłoby nad czym dyskutować, a przede wszystkim nie byłoby komu dyskutować. Jednakże weszliśmy w okres wojny stuletniej i wojna «gorąca» już się toczy. Zaczęła się na Korei i zaczęła ją Rosja. Pewnie opowiadano ci w Warszawie o straszliwej gaffie jaka zdarzyła się pewnemu dygnitarzowi, który na zebraniu zwołanym po wybuchu wojny na Korei krzyknął: «Tak, uderzyliśmy pierwszy, bo jesteśmy silniejsi!» Zatuszowano, skreślono ze stenogramu — ale zawsze. Ty przez długi czas byłeś pacyfistą, dziś jesteś pacyfistą nieco bardziej realistycznym: «Jeżeli my zabijamy to dobrze, jeżeli nas zabijają to zbrodnia».

Nie, nie chcę wojny, ale mam w pamięci historię króla Żółcika z «Gargantua i Pantagruel». Król Żółcik był zdania, że skoro podbije swego sąsiada, następne państwo nie będzie stawiać prawie żadnego oporu, z dalszym pójdzie jeszcze łatwiej itd. Wyruszył i został pobity na głowę. Kiedy doktryna rewolucji została przekształcona w doktrynę narzucenia rewolucji przy pomocy armii jednego państwa, weszliśmy w okres, kiedy los króla Żółcika budzi liczne refleksje. Myślę, że armia rosyjska na linii Elby i trzymanie przez Rosję połowy Europy jest szaleństwem, to wszystko.

Cóż, jestem jadowitą żmiją — i, do licha, te koleiny historyczne, które niby są złudzeniem, mają jakąś trwałość, skoro zdarzało się już polskiemu poetom bywać takimi żmijami. Co nie jest szczególnie miłe, to to, że mam do ludzi w Polsce dużo sympatii i współczucia, również do ciebie, choć musisz sypać na mnie obelgi. Twój artykuł dołączyłem do kolekcji podobnych kwiatów zebranych w pismach warszawskich. Muszę ciebie uspokoić: macie zagranicą dzielnych sprzymierzeńców. Dziwnym zbiegiem okoliczności (a może to są fluidy działające poprzez granice państw i granice programów?) tego samego dnia co twój atak — 4 listopada — ukazał się w londyńskich «Wiadomościach» nieszczególnie wonny paszkwil na mnie. Autorem jego jest osobistość posiadająca niewątpliwie pełne kwalifikacje do występowania w roli sędziego moralności, tudzież znawcy poezji i filozofii — Sergiusz Piasecki. Zaiste tragiczny i straszny jest świat, w którym poeta taki jak ty musi być użyty — jak powiesz mocą nieubłaganych wyroków historii — do takich samych posług do jakich wynajmuje się ludzi od «mokrej roboty» — po to aby niszczyć każdego kto nie zechce poddać się szalowi naszej epoki.

Nienawiść jaką budzi moja osoba stanowi niejaki dowód, że jest w moim stanowisku coś ze słuszności. Gdybym ugiął się tak jak ty i pisał w «Trybunie Ludu», wszyscy — i jedna i druga strona — byłiby zadowoleni. Jesteś dzisiaj z tymi, którzy nie uznają ludzi niezależnych, w czym zgadzają się znakomicie



ze zwolennikami prawicowych totalizmów. A kiedy wołasz, że zdradziłem lud polski i że jestem podżegaczem wojennym — zastanów się kto dzisiaj grozi światu — czy ci, którzy chcą to co się dzieje zrozumieć i mówić prawdę, czy ci co miotają się w nienawiści do ludzi przemawiających spokojnym głosem.

Tę odpowiedź winienem tobie jako pocie. Mam nadzieję, że atak na mnie polepszył twoją sytuację w Warszawie, czego ci życzę. Ktoś, kogo dobrze znasz, powiedział jak pamiętasz: «Jak już być w piekle, to być diabłem, który dusze spycha w smołę, a nie duszyczką co w smołę skwierczy». Spychaj w smołę, Antoni. Spychaj w smołę i miej za tę cenę chwilę czystej rozkoszy estetycznej w ozdobionym książkami mieszkaniu. Ale gorzko ci musi być kiedy przypomnisz sobie swoją przeszłość humanitarysty.

Czesław MIŁOSZ.

## “ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI  
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11  
Tel. BAttersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,  
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii,  
Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:  
WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A:  
WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,  
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:  
WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IVe,  
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal  
Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

GRYF PUBLICATION LTD,

169/171, Battersea Church Road, LONDON S.W.11

## Najnowsza historia Polski ...i nieco starsza

### Pierwsi polscy łagiernicy

Jednego z pierwszych “łagierników” rosyjskich, Imci Pa-  
na Stanisława z Lubieńca Niemojewskiego H. Rola, Podstolego  
Koronnego, Anno Domini 1608 Diariusz nad Białoozierem po-  
bytu.

I.

KRÓTKI KOMENTARZ WSTĘPNY DO TEGOŻ DIARIUSZA,  
ANNO DOMINI 1951 UCZYNIONY

W opowieści poniższej nie ma ani jednego słowa zmyślonego.  
Dokument jest autentyczny, był w 1899 ogłoszony drukiem  
przez instytucję naukową, a mianowicie Zakład Naukowy im.  
Ossolińskich we Lwowie. W tym to wydaniu ma go przed so-  
bą i z niego wiernie poszczególne wyjątki przepisuję.

Autor Diariusza, Stanisław Niemojewski, urodzony około r.  
1560, rodem z powiatu włocławskiego (wtedy zwanego przede-  
ckim), pan — pisze o nim Niesiecki — “pięknych przymiotów,  
rozsądku wybornego, pomiarkowany w pasyach, daleki od py-  
chy...”, a wykształcony na uniwersytecie padewskim we Wło-  
szech, dostał się do Rosji szczególnym zbiegiem okoliczności.  
Oto w r. 1606 na prośbę królowej szwedzkiej Anny, siostry  
Zygmunta III Wazy, powiódł jej klejnoty na sprzedaż carowi  
Dymitrowi. Misja całkiem prywatna, handlowa, wywołana  
przy tym życzeniem cara.

Wybrał się tedy pan podstoli z początkiem marca 1606 wraz

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpo-  
wiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.



z 15 domownikami w drogę do Moskwy. W połowie kwietnia połączył się z orszakiem wiozącym Marynę Mniszchównę na "gody moskiewskie" i odtąd już razem z nimi dalszą drogę odbywał. Diariusz jego, rozpoczęty od przejazdu granicy moskiewskiej, tj. od dnia 18 kwietnia 1606 r. notuje prawie dzień za dniem ważniejsze spostrzeżenia i wiadomości o wypadkach moskiewskich. Zapiski te opracował — jak sam powiada — już "w miesiącu styczniu r. 1607", dodawszy potem do nich opis kraju jako też zwyczajów i urzędów ówczesnych w Moskwie. Pod tym względem do najważniejszych należą ustępy: o dochodach i wydatkach skarbu carskiego (str. 155-158 oryginału), o sposobie prowadzenia wojny, uzbrojeniu i organizacji wojska (158-163), o dworach bojarów znakomitszych i gospodarstwie wiejskim (171-172), o urządzeniu poczt (287), wreszcie opis zwyczajów patriarchalnych, panujących na dworze carskim (164-166) i obyczajów ówczesnych w ogóle (169-176).

Nas interesować będzie tylko to, co z osobistymi losami autora w czasie jego pobytu w Rosji się splotło. Doznawszy łaskawego na dworze carskim przyjęcia, brał on udział w uroczystościach związanych z przybyciem poselstwa polskiego z panami Mikołajem Oleśnickim z Oleśnicy, kasztelanem małopolskim i Aleksandrem Korwin Gosiewskim, starostą wieliskim na czele, w koronacji w dn. 18 maja, w festynach i przyjęciach, które trwały aż do katastrofy jaka nastąpiła niebawem gdyż 27 maja o świcie. Trzeba trafiać, że w wilię dnia tego, bo 26 maja wieczorem Niemojewski wręczył był carowi "do obejrzenia" klejnoty powierzone mu przez Annę: diamenty, perły i rubiny wartości 70.000 złotych, owinięte w "pstrą" materię jedwabną, w skrzyneczce żelaznej "zielono malowanej". "Ale szczęście — powiada pan podstoli — mało mu czasu do tego obejrzenia użyczyło, bo najdalej w ośm godzin potem gardło dał, czego się Boże pożał".

W rzezi owego ranka zginęło do 500 Polaków. Załącza nasz autor, imienny "Spisek co przedniejszych osób narodu naszego pomordowanych w Moskwie". Jest tam, pomiędzy ludźmi rycerskimi, ksiądz Pomaski, sekretarz Króla Jegomości i pani Chmielewska i jakiś Piechota z synem, "mieszczanin krosiński, który z winem był przyjechał" i "pacholików żołnierskich przeszło osób 100". Zabijani byli bezbronni, ze snu, "zwyczajem bestyalskim kijami albo obuchami w głowy".

W dwa dni po masakrze na tron Monomachów wstąpił car Wasilij Szujskij. Odesłał on do granicy część Polaków pozostałych w Moskwie, a mianowicie służbę i żołnierzy, ale wszystkich znakomitszych zatrzymał. W ten sposób dnia 8 sierpnia 1606 r. osadzono ks. Konstantego Wiśniowieckiego w Kostromie, w tydzień później wyprawiono Tarłów do Tweru, a z końcem sierpnia Marynę, ojca jej, brata i stryjów do Jarosławia nad Wołgą. Na skosie brzegu spadającego ku rzece stał tam do

naszych czasów stary murowany arsenał, w którym byli więzieni.

Dnia 14 sierpnia wywieziono także Niemojewskiego wraz z dwoma Stadnickimi, Marcinem i Andrzejem, i Stanisławem Słońskim. Cała ich partia składała się z 160 osób, przyłączono bowiem do nich także "IMPanów Adama Wolskiego, Korytka, Tyzenhauza i obydwuch świrskich" jakoteż "czeladź Panów Kazanowskich, Ratomskiego i Mniszcha starosty łukowskiego". Zesłano ich najpierw do Rostowa a następnie, w trzy miesiące później nad Białe Jezioro w gubernii Nowgorodzkiej. Tam przebyli pozostałą część roku 1606, cały 1607 i pierwszą połowę następnego 1608, łącznie lat dwa, okres dostateczny do obserwacji i refleksji.

Tymczasem toczyły się pertraktacje o zwolnienie zatrzymanych. Poselstwo królewskie: Stanisław Witowski i ks. Jan z Drucka Sokoliński przybyło w tym celu do Moskwy w lipcu 1607 roku. Posłowie mieli zażądać "aby wszystko wszystkim nagrodzono, popłacono albo nazad wrócono było". A że takie sprawy w Rosji szybko się nie załatwiają, więc dopiero po roku, w sierpniu 1608 nasz Niemojewski via Rostów-Moskwa-Orsza wrócił do kraju. Klejnoty oddane przezeń Dymitrowi wywindykowano również. W Dariuszu przytoczone jest autentyczne pokwitowanie z ich odbioru przez posłów polskich, w języku rosyjskim z datą 25 lipca 1608 roku.

Nie mam zamiaru wskazywać i podkreślać analogii pomiędzy "pobytnami" w Rosji pana Niemojewskiego i tow. 1606-1608, a tymiż naszego pokolenia w latach 40-ch tego wieku, ani też wysledzać różnic.

Parę słów tylko, charakteryzujących autora Diariusza i wartość jego świadectwa. Postawa Niemojewskiego wobec Rosji, od której przecie sporo zła doznał, nie ma w sobie nic z nienawiści. Jest to przede wszystkim — czysto ludzkie współczucie, współczucie urodzonego humanisty. Nie zaćmiewa mu ono jednak ostrożnego i rosyjskiego wejrzenia i sądu, nieraz przejmująco dokładnego, o rosyjskiej zbiorowości. Zacytuję jako przykład taką oto opinię:

"Pokazowaliśmy radość, że nas obiecali do Polski odpuścić, rozumiejąc, że to prawda była; na czemśmy się barzo omylili, jeszcze świadomi nie będąc, żeby to tak kłamliwy naród był, jakośmy z nieszcześciem naszym doznali, bo nie tylko żeby się kłamstwa, tak sprośnego grzechu i sromoty, wystrzegać mieli, ale owszem, sami się jakoby tem chełpią i kiedy któremu rzecze, "żeś płonną rzecz powiedział" — naprzód przysięgać się będzie na krzyż święty, żegnając się, twierdząc to co powiedział, a jako go dońdzie, że przecie inaczey jest, na ostatek przyzna się i bez wszelakiego zapłonienia rzecze: "zełgał ja". A ten zwyczaj zachowuje się między przedniejszymi, nie tylko między pospółstwem. Jeden też drugiemu zadać takie kłamliwe słowo, sromoty żadnej nie masz".

Czyż to nie zgadnięty w XVII wieku świat ludzi Dostojewskiego, świadomych swej nieprawdy i... namiętnie praw-



dy poszukujących. Rosja żalosna i okrutna, "czarna nieprawdą czorną", przepojona wiecznym cierpieniem...

## II.

### DIARIUSZ STANISŁAWA NIEMOJEWSKIEGO

(w wyjątkach)

#### W Moskwie, po zabójstwie Dymitra

"Gdy już się skłoniło ku wieczorowi, trupy wszystkie wywłóczyli na ulicę, nago odarte, z wielką swą uciechą. Chcieli niektórzy wszystkich pozwłóczyć na kupę przed zamek, do ciała hosudarskiego (Dymitra), ale iż już noc nadchodziła, odeszli ich na ulicy. Dwory nasze, którzyśmy w całości zostali, niemając gromadą nikczemnej hałastry osadzili.

Dumni bojarowie (członkowie Dumy bojarskiej), całą noc nie zjeżdżając z zamku, obwarowawszy się od pospólstwa, w radzie byli".

#### Dnia następnego

"Widząc bojarowie poniekąd żalosne pospólstwo z śmierci pana ich, spisali różne kalumnie na zabitego, które przed niemi na placu czytali. Naprzód powiedali go nie być Wielkiego Kniazia synem, ale niejakiemu syna bojarzkiego Ryszka Otrópieja. Rodzice ci jego acz pomarli, ale brat jego jeszcze jest i pokazowali go jako mu podobny. Więc jako żywot swój z młodości na łotrostwie trawli, karty i kostki prawał, do monasteru potem między czarńce wstąpiwszy, od nich uciekł i w Polszcze się po te czasy między łotrostwem tłuki, gdzie takich ze zbojców (a po ich "worów") nazbierawszy jako i sam, przez jakiego gwałt i rozlanie krwi naszej i braci naszej, ludzi niewinnych tak wiele pomordowawszy, gospodarstwo opanował. A nie dosyć na tem miawszy, wiarę i cerkwie nam odmienić chciał, o czem listy od papy (papieża) pokazane wam będą. Siewierską ziemię Polakom oddać i innych siła grodów do Litwy przyłączyć, bojary dumne i innych przedniejszych pobić, a Litwę dumę (to jest radę) i majątności ich osadzić".

"Po południu poczęto zwozić ciała naszych pobitych za płot przed miasto, po kilkunastu w jeden dół rzucając. Z nas drugich żadnego z dworów nie wypuszczano, aż ku obiadowi przysiali do nas, abyśmy sobie po żywność przysiali, którą dla nas nagotowano. Rozmysłiliśmy się wprzód, obawiając się, aby nas, których nie pobili, do ostatka nie poturli. Ale iż nam i kupić nie dopuścili i nigdzie ze dworu wypuścić nie chcieli, musieliśmy się w to periculum ochynąć, nie bez strachu".

#### W dzień potem

"Zjechali się dumni bojarowie na zamek skoro dzień, do rady. W kilka godzin potem przysiali do nas dwóch bojarów, opowiadając nam, że obrali między sobą Wasyla Iwanowicza Szujskiego Wielkim Kniaziem Hospodarem, Carem, wsleja Rusi samodzierzą etc., mądrego, pobożnego, prawowiernego, dobrego. — A tak wy nie frasujcie się, żadnego niebezpieczeństwa się już nie obawiajcie, wszystkich was wkrótce do Polski odpuści. To, co się stało, po grzechu się stało, a ten tego zmiennik przyczyną, który ubit".

"Przysiali bojarowie do nas abyśmy de nomine wszystkie czeladź naszą na spisku podali dla karmli, którą nam obiecywali dawać na wszystkich, póki byśmy z ziemie ich nie wyjchali. Rozumiejąc że prawda, uczyniliśmy dosyć żądaniu ich".

#### Rozbrojenie polskich żołnierzy

"Rozkazano, aby wszyscy żołnierze naszy na granicę wyjeżdżali, a broni aby od siebie oddali, które obiecowali z niemi wieść i na granicy każdemu oddać. Wzdrygali się naszy na to oddawanie broni, obawiając się, aby bezbronnym nie pobili, ale i za sromotę to sobie poczytując. Jednak iż każda rota osobnie stała, więc i po dworach hałastrą osadzeni i pozawierani byli, nie mogąc się porozumieć, a smąc i nie wiedząc, jeśli społem czy różne mieli być odesiani, musieli rozkazaniu dosyć uczynić".

Wojewoda Sandomierski Jerzy Mniszech, przywołany na radę bojarzską, na zarzuty mu postawione tak oto odpowiada:

"... "Zamordowaliście prawotnego dziedzica Wielkiego Kniaźstwa moskiewskiego, a niepohamowani w okrucieństwie swem, pomordowaliście też, mimo słusność i przyczyny danie, ludzi siła znacznych, tych którzy za listami, za prośbą, za posyaniem w tem Posła waszego wielkiego do Króla Jego Mości, za upewnieniem o całej przyjaźni przyjachali. Nie dotrzymaliście nam wiary i słowa, czego nie tylko chrześcijanie, ale i poganie dotrzymywają i przestrzegają.

"Przyjachanie nasze tu do was w takiej gromadzie umysłem tem było ku ozdobie narodu waszego, z uczciwością jaka się godziła, prowadząc małżonkę Panu waszemu, nie na wojnę, bośmy o niej nie myśleli, na którą (samiście doświadczyli), że inakże u nas przygotowanie bywa i nie z białymi głowami, ale z działami i aparatem wojennym jeżdża.

Ale puśćmy to na stronę. Pytam was, jeśliście już tak nieboszczyka rozumieli być nieprawem dziedzicem, czemuście mu przysięgali i za pana przyjmowali?..."

#### Dn. 11 czerwca

"Posłał Wielki Książ i bojarowie aby Pan Wojewoda posłał na piśmie tę mowę swoją, co zawczoraj do nich mówił. Odesłał im, na każdy artykuł mowy ich odpowiadając".

"(W dalszym ciągu swego opowiadania przytacza Niemojewski in extenso kilka swoich "suplikacji czyli czołobitni", które złożył do cara Wasilja. Powołuje się w nich, że przybył w sprawie prywatnej, handlowej, na słowo ówczesnie panującego cara, i prosi aby mu pozwolono wrócić do kraju. Również upomina się o zwrot klejnotów, które bezprawnie zabrano do "kazny" carskiej, a które stanowią jego własność. Autor tak reasumuje wynik swoich "suplikacji": "nie miałem czasu upominać się responsu, nie mogłem go mieć. Na ostatku powiedziano mi, że "żadnej odpowiedzi nie odniesiesz, czekaj czasu").

#### Wywóz z Moskwy.

##### Dn. 10 sierpnia

"Z taką nowiną, jako i do Pana Wiśniowieckiego, przysiali do nas przystawowie ("prystaw" — urzędnik wykonawczy w Rosji), opowiadając nam wolę hosudarską, abyśmy pogotowiu byli na przysiężenie poniedziałek: "że was Wielki Książ etc. etc. ma wysłać na mieszkanie przez ten czas póki się Poseł od Króla Polskiego nie wróci, do grodu Rostowa".

"Odpowiedzieliśmy: Nie jesteśmy żadni niewolnicy Hosudara, ani na wojnie pojmani, ani też na żadnym nieprzystojnym uczynku za-



stani. Nie ma na nas żadnej ani słuszności, ani przyczyny, a tak powiedzcie mu, że go proszę, aby się nam to bezprawie nie działo. Jeśli jest Panem chrześcijańskim, jako się zowie, niechaj się okrutnie i nad słuszność z ludźmi uczciwymi i chrześcijańskimi nie obchodzi, którzy tu za prośbami wszystkiej tej ziemi i obwarowani przysięgą poprzysiężonym przyjachali. Niech pomni na to Hosudara wasz co Bogu, przysiędze i uczciwemu powinien. Rozumiemy też to o was, że nie jesteście przynajmniej takimi, abyście wiedzieć nie mieli, jako Pan Bóg srodze łamanie i niedodzierzenie przysięgi i rozrywanie przymierza bez dania przyczyni karze i sposób też dawa nagrody tym, którym się krzywdą dzieje”.

“Odpowiedzieli nam to: — na dobre, abyście tam jechali, nie można inak.

Widząc, że racya żadna miejsca nie ma u barbarów, przyszło nam się gotować. Przed wyjazdem napisałem trzecią suplikacją do tego Prześwietnego Hosudara, próbując rozmaitego szczęścia, którego ani ja ani żaden nigdy cudzoziemiec w Moskwie nie miał i pewnie mieć nie będzie”.

#### 14 sierpnia

“Wysłano nas z miasta Moskwy, wszystkich człowieka 130 (uwaga: później przyłączono do partii Niemojewskiego pozostałe 30 osób). Przystawów dwu starszych dano i innych przystawów mniejszych pięć, setników dwu, starszych nad strzelcy, których tak wiele jak i nas było, aby każdy swego strzegł. W żadnej wsi ani miasteczku z nami nie stawali, tylko w polu, kołem nas oblegszy. Namioty nasze niebo, a czasem chróstem się trochę obstawiwszy od wiatru. Na szczęście, że się pogoda trafiała”.

#### 20 sierpnia

“Przyjachaliśmy do Rostowa na tęskliwą rezydencję alias więzienie. Skupiono nas we cztery dworce pod siebie. Konie nasze kazali nam na koniuchni hosudarskiej postawić, która jest szopą przestronną i “obroki zwyczajne, jako i na Moskwie, będą wam dawane”. Uwierzyli naszy, uprzedzając się do stanowiska. Ja, iż trochę było przestrzeństwa w mojem dworcu, nie chciałem koni swych odesłać od siebie i z Panem Wolskim. Przyjeżdżali kilkakroć przystawowie, perswadując, abyśmy je do drugich odesłali. Nie chcieliśmy. Gwałtem też ich brać nam nie śmieli, obawiając się jakiego rozruchu między nami uczynić, ale zażyli fortelu. Zakazali zaraz pod wielkim karaniem, aby nam owsa ani siana nie sprzedawano. Nie mogąc niczego dostać i nie wiedząc co rzec, odesłaliśmy konie do drugich na tę hosudarską koniuchnię. Skoro przyszedli, kazali zaraz wszystkie woźnice nasze odprowadzić strzelcom do dworów naszych, a konie pobrawszy, wysłali precz. Gdyśmy potem z nimi mówili: “czemu się nam ten gwałt od was dzieje i takiem się fałszem z nami obchodzicie”, odpowiedzieli, że “taki mamy ukaz od Hosudara, my musimy czynić co nam każą”. Obawiał się ten głupi i bojaźliwy naród, abyśmy mając konie nie uchodzili, chociaż do granicy więcej niż 100 mil było.

#### 21 sierpnia

“Nazajutrz po przyjeździe przyszli do nas przystawowie, wszystkich wezwawszy. Z katalogu czytają, jeśli który w drodze nie zginął; każdemu się kazali prezentować i ozywać, gdy go mianowano (pierekliczka-apel łagierny. Przyp. mój). Musieliśmy czynić co kazali bardziej strwożeni, niż kiedy nas dziećmi w szkole pronuncyowano, bo kto by się był nie odezwał, jeśby mu było nie dawano. Taką lustrację co dwie niedzieli i częściej odprawowali”.

#### 12 września

“Przysiali do nas przystawowie, abyśmy się zeszli na jeden dwór, powiedając, że nam mają opowiedzieć pożałowanie (łaskę, przyp. mój), Hosudara Wielkiego Kniazia. Zeszliśmy się, spodziewając się, że nam miano żywności przyczynić, której już większą połowę mniej dawano niż przedtem; słuchamy, co tam pociesznego będzie. Począnie dyak gramotę hosudarską czytać, wszystkie tytuły wprzód wylczywszy, zacnie: Z przemilosierdzia swego, jako Hosudar dobrotlivy i miłosierny, pozwala wam Panom Litwie, że możecie płacie swoje to jest szaty (ros. “płatje” znaczy wszelkie wierzchnie ubranie, przyp. mój) przedawać, a kto ma, tedy wolno i sobole. Pytamy ich, jeśli mają co więcej do nas zlecenia. Powiedzą, że więcej nic. Zdumiawszy się wprzód, zkąd tak wielka łaska przeciwko nam, odpowiedzieliśmy:

— A waszemu Hosudarowi co do naszego płacia? Odpiszcie mu, że od niego takiego pożałowania nie potrzebuję, tylko tego aby nas do Polski puścił, których nad słuszność dzierży. Szaty, jakośmy sobie sami za nasze pieniądze sprawowali, tak też bez dozwolenia waszego Kniazia wolno nam czynić z swem co chcemy, i w naszej to mocy.

Zdziwili się przystawowie takiej naszej bezpiecznej odpowiedzi i pogardzeniu tak znacznej łaski Wielkiego Kniazia, Cara, Hospodara wsieha Rusi”.

#### 15 września

“Ten gruby naród Litwa nas zowią, rozumiejąc że tylko trzy narody w chrześcijaństwie: Ruś naprzędniejsza, którą się oni zowią, potym Litwa, a tymże nazwiskiem i Polaki zowią; trzeci Niemczyzna, wszystkie narody inne w to przewisko inkludując, którzy w pludrach chodzą”.

#### 18 września

“W tych dniach umarło naszych dwaj, jeden z Pana Starosty łukowskiego czeladzi, a drugi z Pana Słońskiego. Pogrzebli ich naszy za dozwoleniem popów przy cerkwi, gdzie schizmatyki chowają; którzy potem w kilka dni się rozmyśliwszy, wygrzebli potajemnie one ciała bez wiadomości nas i w polu pochowali.

#### 21 września

“Spadł pierwszy śnieg w tem złem kraju i od tego czasu ujęła zima i mrozy się zaczęły...”

(Natępnie autor przytacza treść dwóch “czelobitni”, a to z dnia 1 października i 17 listopada, złożonych do cara przez więźniów polskich, znajdujących się w Rostowie: jego, Niemojewskiego, Marcina Stadnickiego, Adama Wolskiego, Stanisława Korytko, Stanisława Słońskiego i Szczęsnego Świrskiego “z ludźmi temi, którzy do nich są przyłączeni i na Rostów zesłani”. Z dokumentów tych dajemy wyjątki charakteryzujące warunki, w jakich Polaków tych w Rostowie trzymano).

#### “Czelobitnie”

“...Ludzie tacy, którzy równego narodu w wolnościach sobie nie mamy, cośmy tu przyjachawszy stracili wszystko to, nad co człowiek na świecie więcej stracić nie może. Pan Bóg, wszystkich królów i monarchów tworca, patrzy na niewinność i krzywdę naszą.



... Niemniej też i to oznajmujemy tobie Caru, że się na mieszkaniu źle mamy, izdeb mało mamy a i do tych dREW mało dają.

... Acz są między nami pograbienni i odarci ludzie, że i w czem chodzić nie mają, tak że od nędzy i utrapienia wielkiego, zimna i głodu, dwaj ich już umarło... iż nas nędza już dręczy, że nie tylko sami niedostatku wielkiego zażywamy, ale i czeladzi na te srogie zimna przydziać czem nie mamy, zostaje tylko nadzieja w tych łosadach (koniach) naszych, które nam są w Rostowie pograbione...

... Pisaliśmy twej carskiej mości bijąc czołem, abyś nam nie życzył straty dusz naszych... abym pozwolenie od ciebie mieli księdza od sandomierskiego (wojewody Mniszcha) z Jarosławia wziąć tu do Rostowa... Biliśmy i o to czołem, że nam karmiu i picia mało i niedobrego dają... na osób 60 i więcej izdeb trzy dano... już dwaj z czeladzi naszej pomarło, drudzy w choroby wpadają... I o to przynajmniej prosim, aby nam wolno było na czas gulać po polu, bądź z sobakami, bądź bez sobak" (eskorta z psami we współczesnym łagrze ros. jak widać dawny ma rodowód. Przyp. mój).

Podpisano: utrapieni więźniowie, na Rostów zasłani.

### Wyjazd z Rostowa nad Białe Jezioro

25 listopada

"Powiedzieli nam przystawowie naszy, że "przyszedł ukaz od Hodusara Cara, Wielkiego Kniazia, abyśmy z wami ztąd jachali na Białe Jezioro, a to dlatego, że się tu żywności nie przebiera, kraj wytrawiony, a tam wszystko tanie; co tu kupić za pięć groszy, tam dostanie za dwa, a tak bądźcie pogotowiu, w przyszły poniedziałek pojedziem..."

27 listopada

"Puściwszy się w drogę, różnemy stanowiska miewali u chłopów, po kilkunasu, po kilkudziesiąt, bo wieś rzadka po wszystkiej Moskwie, tylko tu i owdzie między zaroślą chałupa. Zawszy jednak strzelcy przy nas stawali i ci chłopci co nas wieźli, każdy swego strzegł. Ujeżdżali z nami po 6 do 7 mil, czasem mniej albo więcej".

### Parę spostrzeżeń pana Niemojewskiego na temat Rosjan

"...Wolności żadnych nie ambiunt, a nie wiedzą też co to jest. Gdyśmy im o naszych powiedzieli, że nie może nikt być pojman, ażeby był prawem przekonany, król nie może żadnej podaci (podatku) postanowić, ani wojny niskiem (z nikim, przyp. mój) podnieść, aż my pozwolimy, dziwując się, odpowiadali nam: "horoszo to tak u was, ale my zaś swoją powolnością tym większą zasługą mamy w niebie".

"...Nauk i ćwiczenia się w zakonie (wierze) nie mają, kazania im żadnego, słowa Bożego i woli Jego nie przepowiadają. (nie głoszą, przyp. mój)..."

"...Także konwersować z cudzoziemcem nikomu nie wolno, albo się pytać o czem, ale ani mówić, ażeby przy tem przystaw był, od Wielkiego Kniazia przydany..."

"...Nie sromota u nich do baraniego kozucha soboli, do barchanowego, albo bagazyowego kaftana złotogłowiowy albo aksamitny kołnier przyszyć..."

11 grudnia

"Czwartego dnia wyjchali z nami z Wołogdy, powiadając nam o dostatkach na Białem Jezierze i o grzeczności miasta. Jaka taka uciecha utrapionym więźniom. Wiozą nas wszystko zaroślami, a nigdzie lasu ani boru godziłego nie masz i drzewa prócz olszynki, osi-

ny, brzeziny, łoży. Im dalej tem niżej, do tego przez wielkie błota i trzęsawice".

15 grudnia

"Piątego dnia, 26 mil uszedszy od Wołogody, przywlekli nas na to Białe Jezioro... Alie miasta sławne nędzą, miejsce puste między lasy i błoty. Tylko kilka chałup w niem dla więźniów zbudowano, których pospolicie na długie więzienie albo wieczne na to miejsce odsyłają".

"Na tak ucielną rezydencją gdyśmy przejachali, w jednym miejscu po różnych dworach w izbiskach czarnych postawieniśmy byli, straż o nas zawždy w dzień i nocy mając, przydawszy do tych strzelców, co z nami przyjachali, ludzi posadzkich. Od granice ojczystej, albo raczej we wszystkie strony do 200 mil (1500 klm. przyp. mój). Rantunku i pociechy, zabawki a smac i nowiny żadnej niska. Pozwolenia posłać albo pisać do ojczyzny niepodobna rzecz uprosić, a na ostattek ani do drugich naszych, których różnie na insze miejsca od nas odesłano, ani co się z nimi dzieje, wiadomości zasiać. Bez kapłana, bez doktora i wszelakiego gatunku we złem zdrowiu. Od takiej żywności, a nabarziej napoju zbyt złego już 4 człowieka między nami umarło; chorych siła, zdrowszy strwożeni, słuchając rychło ich też co zaboli.

Przykazanie srogie, aby żaden posadzki człowiek z nami nie mówił, prócz przystawów a strzelców, którzy nas strzegli. W targ kupić żywności czeladnika żadnego z naszych nigdy bez przystawa nie puszczono, który pilnował i prędkiego zwrócenia się i tego, aby niskiem nie mówił.

Przy białej żywności, tak ciasnem chowaniu zimna nastąpiła, bez futer, bo lecie nas nieszcześnie w ten kraj zapędziło, a każdy też jadąc w tę drogę, tam się go zdobyć spodziewał. Czeladź odarta, której żeśmy płacić czem nie mieli, a na tak sroga i długą zimę kozuchów nie mając, obuwia i koszul się też już przebierało, musieli szaty swe ci, których na Moskwie nie odarto, za co za to do rybołówów pozbywać, część na żywność, siermięgi na się kładąc. Także i my starszy na żywność, sobie i czeladzi naszej".

12 stycznia 1607 r.

"Od ladajakich potraw a zbyt złego napoju im dalej tem więcej między nami chorych. Przychodzili jednak drudzy ku sobie. Pan Zalesski, sługa Pana Starosty łukowskiego, nie mógł się wyleżeć z niemają żalnością nas wszystkich, patrząc na umierającego, któremu się prze niedostatek żaden ratunek w chorobie dać nie mógł, schodzącego z świata bez sakramentów świętych, katolika między wielkimi nieprzyjaciół kościoła Bożego. Wszyscy potrwożeni myślemy sobie: co tobie dziś to mnie jutro".

### Odpowiedź cara na "suplikacye"

8 marca

"...Ku południowi posła przystawowie, abyśmy się zesłi do dworu z którego nam karmi dawano. Pytamy się tych, co po nas przysłi, co tam pociesznego usłyszem. Odpowiedzą: "Módl się Bogu, budżet wsio dobro". Przystawowie się uśmiechają, patrząc na chęć naszą, a naszy przy większej nadziei, rozumieją że coś radosnego. Jeden drugiego strofuje, czemu się tak nierychło schodzą.

Po przeczytaniu tytułu alie... "rozkazuję, abyście im trzecią część żywności ubawili, także i picia..."

Każdy z nas zwiesi głowę i na odpowiedź się nierychło mogło zdo- być".



12 kwietnia

"Wielki Piątek przyjechali do nas przystawowie, opowiadając nam, że wola jest Hosudarska, abyście muzykom z dworów ustąpili, a do jednego się sprowadzili, który jest nagotowany. Naznaczyli przystawowie każdemu stanowisko, do niektórych izdebek i po kilkunastu czeladzi naszej natykając".

(Dalej następują bodaj najbardziej przejmujące stronicie dziennika Pana Podstolego koronnego. Świadom on jest, że podobne warunki życia muszą spowodować głębokie zmiany w psychice uwięzionych. Nazwalibyśmy je dzisiaj "psychozą więzienną", znaną nam dobrze z pobytu w łagrach i więzieniach. Tym bardziej godne podziwu są środki zaradcze, które ludzie ci, Europejczycy przecie, usiują przeciw temu złu zastosować).

### Kwiecień-Czerwiec

"Skupiwszy nas w tak obwarowane, ciasne, a wysoko ostrożone miejsce, wrotami grubemi żelazami zacyknięte, przy których zawždy zapartych kilkadziesiąt ustawicznie strzelców siadało, strzegąc i nigdzie nas nie wypuszczając, prócz po jednemu z przystawem z rana dla kupienia żywności; na noc zaś kłódkami nas zamykano i około nocną strażą osadzono, którzy ozywając się sobie co godzinę, w deski kołatali przez całą noc, z wielkim niewczasem naszym.

Chcąc się w tej ciasnocie każdy jako najlepiej akomodować, w dzień wielkanocny pomógł się Pan Szczęsny świrski z Dobruckim, sługą Pana Kazanowskiego. A iż bez broni byli, uderzył świrski kijem w głowę tego Dobruckiego, od którego razu w kilka godzin umarł".

"...Iż jeszcze im dalej tym większe zbytki i srośne grzechy się wszczynają. (Byli tacy...), którzy chcieli się na imię terażniejszego Wielkiego Kniazia sprzedać, odstępując i Boga i odpryskując się powszechnej wiary katolickiej... Awo jedni sami się zabijają dla ciasnego mieszkania i chowania, drudzy z głodu zdychają, których już między nami czterech z nędze umarło..."

"Zaczym częste swary, niesnaski, zwady, kartelusami się obsyłańia i pozywaniem się na pojedynki, bicia się i poranienia, wszeteczeństwa srośne, cudzołóstwa, paricidia... Więc do tego kradzież między sobą i skrzyń sobie łupania..."

"Chcąc jako temu wszytkiemu zabezpieczyć, bojąc się, aby nas Pan Bóg tym znaczniej nie karał, zszedzy się, takieśmy artykuły spisali i na się postanowili:

"In nomine Sanctissime et Individuae Trinitatis. Amen.

Roku Pana i Zbawiciela naszego 1607, dnia 20 lipca.

My, których w niewolę i więzienie na Białe Jezioro zesłano od Wasyla Iwanowicza, Wielkiego Kniazia moskiewskiego, widząc takie nad sobą znaczne pokaranie Pańskie, że i tem udurzeniem i nędzą, którą cierpiem w tem zadzierzeniu naszym, niektórzy z nas ukarać się i pohamować od zbytków nie mogą — przetoż zabiegając tej rozpuście i swej woli, która się między nami tak wielka wszczęła, a im dalej tem większa roście, chcąc jej wdy jak wstręt uczynić, artykuły niżej napisane sami na się stanowim i onym jako prawu własnemu albo statutowi podlegać chcemy i dobrowolnie na się bierzem i przyjmujem, a rękami się naszymi na nie niżej podpisując, utwierdzamy i umacniamy".

(Dalej następuje 11 artykułów tego wewnętrznego prawa więźniów polskich, dokumentu naprawdę niezwykłego jako samoobronny człowieczeństwa. Znajdziemy tam szereg zakazów, opatrzonych sankcjami kar. Są wyznaczeni sędziowie (Stadni-

cki, Korytko i Słoński), którzy wszystkie spory i wykroczenia rozpoznawać mają. Wreszcie w celu podniesienia morale "prawo" zaleca modły codzienne "spólnie odprawywane" i podaje tekst tych modlitw).

"A jeśli by się taki nalazł między nami — brzmi treść ostatniego 11 artykułu — czego się nie spodziewamy, który takiej naszej ustawie podlegz nie chciał i z zuchwałstwa swego pokoju i rządu nieprzyjacielem się pokazawał... przeciwko takiemu obiecujem sobie słowy szlacheckimi powstać i jeden przy drugim stojąc, sprawiedliwości, a jeśli nie może być, pomsty dopomódz".

(Czas mijał. Warunki życia i współżycia stawały się coraz trudniejsze, a obficie wysyłane "suplikacye" do cara skutku żadnego nie odnosiły. W kwietniu 1608 roku nadeszła wiadomość, całkiem niepokojąca, że przystanych od Króla posłów w Moskwie "na jeden dwór skupiono i nie wypuszczają ich nigdzie". Aż w dn. 7 czerwca przybył na Białe Jezioro wysłannik carski, Iwan Iljcz Rostopczyn, który oznajmił, iż

"od Zygmunta Króla Polskiego posłowie przysli Stanisław Witowski i Iwan Sokoliński, którzy nam czołem bili aby was widzieć mogli i my ich w tem pożałowali, a tak ty, Martynie Stadnicki, wy zaś Stanisław Niemojewski i Adam Wolski, abyście niemieszkanie (niezwłocznie, przyp. mój) na podwodach przybieżeli, któreśmy kazali dać pod was".

Owóz wszyscy wymienieni rozpoczęli podróż do Moskwy, początkowo Białym Jeziorom, potem rzeką Szeksną, a stamtąd podwodami do Iwaczewa, gdzie znowu na dłużej, w ciężkich warunkach, zatrzymani zostali. Tam doszło ich pismo posła królewskiego, Mikołaja Oleśnickiego o pokoju z Rosją "na lat cztery bez miesiaca", o wypuszczeniu zatrzymanych ("amnestia"? Przyp. mój), o nagrodzenie im szkód i strat. Dnia 23 sierpnia 1608 r. Niemojewski i jego towarzysze stanęli w Moskwie).

Zapomnieć ci, Czytelniku, nie wolno, iż rzecz działa się na 2 lata przed wiktoria Kiuszyńską, gdzie Moskwa rozgromiona została, że w najgorszych nawet chwilach, za plecami tych kilkuset wynędzniałych więźniów polskich chmurą ciężką nawisła potęga Rzeczypospolitej, a obawa odwetu była całkiem realna. Cóż by się z nimi stało inaczej?

Ostatecznie jest to tylko epizod, fragmencik nieprzerwanego ciągu dziejów naszego z Rosją sąsiedztwa. Miały te dzieje swoje przyplwy na naszą korzyść i odpływy, gdyśmy ciężko płacili za brak decyzji czy konsekwencji w postępowaniu albo wręcz za okres słabości państwowej. Potem jednak znow się wszystko "wyrównywało" i zbyt przegięta polska sprężyna potrafiła boleśnie uderzyć. Tylko właśnie — uderzyć, bo do cna zniszczyć i z karty żywych wymazać ani Rosja nas, ani my jej nie potrafimy.

Jerzy DOŁĘGA-KOWALEWSKI.



## Ostatnie chwile marsz. Śmigłego

W zamęcie wojny zagubiły się dla nas ślady niejednego z wydarzeń o niemałej nawet doniosłości historycznej, zaginęła prawda o końcowych odcinkach drogi życiowej niejednej z postaci bezsprzecznie wybitnych. Nigdy już chyba nie dowiemy się o tragicznych okolicznościach, w jakich odszedł od nas na zawsze bohaterski prezydent Stefan Starzyński; nikt też nigdy już zapewne nie dotrze do prawdy o przebiegu ostatnich chwil gen. Grota-Roweckiego. W wielu innych wypadkach przedierać się ku prawdzie trzeba długo i cierpliwie przez gęste zwały najsprzeczniejszych wersji, skróconych świadectw, pokrzyżowanych legend i obficie spłodzonych kłamstw. Z przykładem w tym zakresie bardzo jaskrawym spotykamy się w wypadku marszałka Śmigłego-Rydza. Na temat jego powrotu z Rumunii do Kraju i zakonspirowanego krótkiego jego pobytu w Zakopanem, Krakowie i Warszawie krążą dotąd relacje, w których strzępki tylko prawdy toną w powodzi niesprawdzonych pogłosek i fantastycznych nieraz domysłów. Nawet data śmierci Marszałka nie została dotąd ustalona — błąka się i ona gdzieś w mglistej przestrzeni dwóch lat — od "wiosny 1942" do "zimy 1943"...

Istotnie — pogłoski o jego powrocie do Kraju powtarzać się zaczęły już w schyłku roku 1942 i to od razu w połączeniu z głuchą wieścią o jego śmierci. Do środowiska polskiego pod okupacją niemiecką we Francji, gdzie wówczas przebywałem, dotarły te echa z Kraju w okresie Bożego Narodzenia 1942. Pochodziły od przebywającego już w Warszawie płk. Wacława Lipińskiego, z którym — poprzez wspólnych przyjaciół w Szwajcarii — pozostawałem w kontakcie dość ścisłym. Pierwsze te wieści, wlecione w konspiracyjną wymianę informacji, wrażeń i trosk, były z natury rzeczy skąpe, ogólnikowe, mętne — i pozostawiały przez to szerokie jeszcze pole do różnych domysłów i niezgodnych interpretacji.

Jednym z ciekawszych niewątpliwie i bardzo wymownym przykładem reakcji na te pierwsze wieści była — gdzieś z początkiem r. 1943 — genewska rozmowa przybyłego tam ministra Jurkiewicza z Prezydentem Mościckim. Gdy Jurkiewicz w związku z wieścią o powrocie Marszałka do Kraju napomknął coś o jego "rehabilitacji" — Prezydent zachnął się niecierpliwie i — oburzony — uderzając ręką w stół, wykrzyknął: "Co też pan mówi!... Śmigły nie potrzebował żadnej rehabilitacji!... Bo nie uczynił nic takiego, co by nakazywało mu się rehabilitować!"...

Płk. Lipiński na skierowaną do niego prośbę o bardziej ściśle informacje i bliższe szczegóły odpowiedział dopiero 1 sierpnia 1943 r.: "Co do śmierci wuja Grzybowskiego — pisać — proszę nie mieć żadnych iluzji, i nie ulegać wpływom fałszy-

wych informacji. Julek (t. j. Piasecki) rozmyślnie ją tai, czyniąc tym wielką Grzybowskiemu krzywdę. Edward umarł w grudniu 1941 roku. Akt zgonu został sporządzony z całym ceremoniałem, należnym głowie rodziny. Na 17 marca (tj. w dniu imienin) sam byłem na grobie, obsypanym tego dnia wieńcami i kwiatami przez Julka i jego najbliższych przyjaciół"...

Znacznie później nadeszła do mnie ścisła data śmierci. Zmarł Marszałek w Warszawie 12 grudnia 1941 roku — i pochowany został w trzy dni później, 15 grudnia...

W dziesiątą tedy rocznicę zgonu Polaka i Żołnierza, któremu los być kazał Naczelnym Wodzem Polski w najtragiczniejszej dla niej dobie — sięgam do zgromadzonych przez siebie świadectw i dokumentów i wybieram z nich dwa bardzo mało, a może i zupełnie jeszcze nieznanne fragmenty z ostatniego etapu Jego życia...

Około północy z 17 na 18 września roku 1939 Marszałek Śmigły-Rydz opuścił terytorium Rzeczypospolitej, przechodząc — poprzez most graniczny nad Czeremoszem — z polskich Kut do rumuńskiej Wyżnicy. Wszędzie — najpierw w tłumie uchodźców, później także w całym Kraju — wiadomość o tym kroku Naczelnego Wodza wywoływała niedowierzanie, zdumienie, oburzenie, potępienie. W rozumieniu i przekonaniu wszystkich dyskwalifikowało to Marszałka, jako człowieka i wodza, bardziej, niż poniesiona klęska w wojnie z Niemcami. W gruncie rzeczy uważano to po prostu za dezercję. Jak w oszołomieniu powrzeńniowym nie widziano istotnych i głównych powodów tak szybkiej naszej klęski, tak i tu, w reakcji ślepej i głuchej na argumenty, nie myślano o sytuacji z 17 września, nie dostrzegano też i nie rozumiano różnic, jakie w ciągu wieków zaszyły w pozycji i zadaniach naczelnego wodza.

Mamy — połowiczne co prawda — świadectwo samego Marszałka. W relacji swej, datowanej 24 grudnia 1939 r., mówi on m. inn.: "Dnia 17 września znalazłem się w sytuacji, w której o jakimkolwiek dowodzeniu nie mogło być mowy. Postanowiłem, mając przy tym zapewnienie rumuńskie, przedostać się do Francji lub Anglii, a to wychodząc z założenia, że pozostaje mi do wykonania druga część moich zadań i obowiązków, a mianowicie — dopilnowanie, by zobowiązania wobec Polski zostały dopełnione i by doświadczenia kampanii polskiej nie zostały zmarnowane. Byłem i jestem przekonany, że dokonać tego skutecznie mógł przede wszystkim ten rząd, który otrzymał zobowiązania sojuszników i który tę wojnę rozpoczął — tak, jak właściwą ocenę wojny polsko-niemieckiej mogli dać tylko ci dowódcy, którzy tę wojnę prowadzili"..." "Na decyzję moją wpłynęło poza tym to, że otrzymałem informacje, iż pewna grupa weszła w pertraktacje z niektórymi politycznymi i



wojskowymi czynnikami francuskimi, by wykorzystać nieuniknioną porażkę Polski, dojść za cenę tak właściwego tym czynnikom oportunizmu politycznego i zrzeczenia się praw do całego szeregu zobowiązań — do opanowania władzy i przeprowadzenia porachunków politycznych... "Nie było dla mnie rzeczy łatwiejszej, jak znaleźć śmierć w drodze z Kosowa ku granicy. Nie było nic łatwiejszego, jak udać się do któregoś z najbliższych oddziałów czy też samolotem do obleżonej Warszawy lub grupy Kutno, lecz gdy odsunąłem na bok swoją osobę i gdy pomyślałem, kto będzie tę wojnę polską nadal prowadził i sprawy polski bronął, nie tylko wobec nieprzyjaciela, lecz i wobec sprzymierzonych, postanowiłem nie ulec sentymentom osobistym, łatwym do wykonania, i prowadzić walkę nadal"...<sup>1)</sup>.

Jak widzimy — Marszałek ogranicza się tu jedynie do podania motywów, nie mówi jednak nic o okolicznościach, w jakich tę — najcięższą niewątpliwie — decyzję powziął. Po linii tych motywów poszły późniejsze świadectwa i relacje osób, które — w uczuciowym związku z Marszałkiem — próbowały krok jego jeśli nie usprawiedliwić, to przynajmniej wytłumaczyć i uzasadnić. Julian Piasecki, człowiek chyba najgłębiej Marszałkowi oddany, stwierdzał: Śmigły nie opuszczał Kraju złamany wewnętrznie... Nie uciekał... Pojawszy, że Niemcy rzucili na nas wszystkie swoje siły, chciał wyprowadzić z Polski jak największą ilość sprzętu i wojsk. Liczyliśmy razem z nim, że tam — za granicami Polski — w krajach, nieobjętych jeszcze inwazją niemiecką, osadzimy się z żywą jeszcze i niezależną od nikogo armią polską. Że do szeregów sprzymierzonych wejdziemy ze swymi sztandarami, pułkami i formacjami"...<sup>2)</sup>.

Relacje inne precyzują, że postanowienie Marszałka co do przekroczenia granicy nie było jego decyzją "samowolną" czy "osobistą", że przeciwnie — na ostatniej odprawie u Prezydenta w Kutach 17 września w godzinach popołudniowych zapasła miała "jednomyślna uchwała, w myśl której P. Prezydent, rząd i Naczelne Dowództwo z marsz. Rydzem-Śmigłym mieli przekroczyć granicę "pod naporem zbliżających się wojsk sowieckich", a w oparciu o zawarte z Francuzami i Rumunami umowy o "droit de passage" i "droit de résidence". Marszałek po tej

1) Relacja Marszałka, ogłoszona została w wydawanym w Jerozolimie piśmie pt. "Na Straży", nr 32, luty 1947. Zacytowałem tu z niej wyjątki dłuższe, bo pismo to należy dziś do białych już kruków. Dodam, że w rozkazie do wojska, wydanym z terenu Rumunii 20. IX. 1939, Marszałek pisał: "zdecydowałem wykorzystać możliwości wycofania dość dużej ilości wojska na terytorium Węgier i Rumunii; postanowiłem to zrobić w tym celu, by móc was następnie przewieźć do Francji i tam zorganizować armię polską..." Niewątpliwie miał tu Marszałek na myśli te oddziały, które spłynąć miały dla obrony tzw. przedmościa rumuńskiego.

2) Relację J. Piaseckiego podał F. Goetel w cyklu swoich wspomnień "Lata okupacji", w rozdziale "Piłsudzczy" w londyńskich "Wiadomościach", nr 217, 1951.

naradzie w Kutach udać się miał do Kosowa i tam — na ostatniej odprawie dla najstarszych oficerów Sztabu — podać miał im "swą decyzję przejścia granicy celem przejazdu przez Rumunię do Francji"; wszyscy obecni tu oficerowie mieli być "głęboko przekonani, że jest to decyzja nie tylko samego Marszałka, ale także Prezydenta i rządu", i że "ewentualność przejścia do grupy gen. Sosnkowskiego nie była na odprawie dyskutowana, ponieważ w tym czasie dojdzie do tej grupy, walczącej pod Lwowem, było niewykonalne"... Po odprawie Marszałek czekał w Kosowie aż pozostający w Kołomyi Sztab rozeseł przez radio ostatnie rozkazy do walczących oddziałów; w późnych godzinach wieczornych, gdy Sztab po wykonaniu tych ostatnich swoich zadań przyjechał z Kołomyi do Kut — Marszałek również udał się w kierunku granicy. Relacje te podkreślają, że Naczelny Wódz — "gdy przegra bitwę w jednym miejscu, montuje wojnę dalej, w innym miejscu" i że nie jest bynajmniej jego zadaniem "wykazywania męstwa osobistego". Rumunia — według tychże relacjonistów — "w razie wkroczenia Sowieców do Polski" obowiązana była — na mocy dawniej zawartego sojuszu — "wejść do wojny i zmobilizować swoją armię", która — na zasadzie tajnej konwencji wojskowej — przejść miała "razem z wojskiem polskim pod dowództwo marszałka Śmigłego", celem "wspólnej walki z Sowiecami"<sup>3)</sup>.

Niestety — bliższa analiza tych wszystkich argumentów i motywów doprowadzić może tylko do wniosków, przekreślających je całkowicie. Bo przede wszystkim w układach z Rumunami i Francuzami o "droit de passage" i "droit de résidence" mowa była tylko i wyłącznie o Prezydencie i rządzie. Nie ma nigdzie żadnych śladów, by układy te obejmowały także Naczelnego Wodza, jego Sztab i oddziały wojska. Nawet nie mogło być inaczej, skoro podstawa tych umów — konwencja haska z r. 1907 — dopuszczająca przejazd Głowy Państwa i rządu przez terytorium kraju neutralnego — najwyraźniej zabrania tranzytu wszelkich elementów wojskowych, a nawet nakazuje najwyraźniej ich rozbrojenie i internowanie na ogólnych zasadach prawa międzynarodowego. Powtóre — związana z Polską sojuszem obronnym tylko przeciw Rosji Rumunia nie miała w stosunku do nas — poza pomocą w dostawach i w tranzyście środków wojennych — żadnych zobowiązań na wypadek agresji niemieckiej na Polskę. Skoro po wystąpieniu Rosji 17 września Rumunia uchylała się od wykonania aliansu przeciwsowieckiego, a rząd polski, zdając sobie sprawę z istniejącej sytuacji, nie inwokował "casus foederis" — odpaść musiało, i to już w godzinach przedpołudniowych 17 września, wszystko, co dać mógłby alians

3) Zob. "Na Straży", nr. 32/1947 list gen. Wiatra i F. Sławoj-Składkowskiego "17 września 1939 r."; poza tym także w "Kulturze", nr 5/1948, str. 122-125.



wykonany. W dodatku — wbrew tym relacjom — tajna polsko-rumuńska konwencja wojskowa, zawarta i podpisana jeszcze pod okiem Marszałka Piłsudskiego, przez wicemin. Becka i gen. Piskora, 30 czerwca 1931, mówiła wprawdzie o "łączności między dowódcami", ale najwyraźniej stwierdzała, że "wspólne naczelnego dowództwa" nie będzie.

Podobnie mijają się te relacje z prawdą historyczną i w najważniejszej tu kwestii — co do momentu decyzji i jej charakteru. Na postawie zgromadzonych świadectw i dowodów twierdzić mogę, że Marszałek do ostatniej chwili nie myślał o opuszczeniu Polski i że decyzję powziął samodzielnie, a nie wcześniej, jak o godzinie 19-ej lub nawet 20-ej w dniu 17 września.

Jak pisałem tu już kiedy indziej<sup>4)</sup>, sprawa przeniesienia naczelnych władz polskich do Francji wyrosła już z początkiem drugiego tygodnia wojny. Narzucająca się w warunkach walki tak nierównej konieczność opuszczenia terytorium Rzplitej była dla każdego Polaka bolesna i traktowana być mogła tylko jako krańcowa ostateczność. Toteż — na szlaku ewakuacji, od Krzemieńca do Kut, od 11 do 16 września, zarówno Prezydent Mościcki, jak i marszałek Śmigły-Rydz, nie powstrzymując min. Becka w jego ciężkim obowiązku "najdalejszego przewidywania" i odpowiednich przygotowań, nie okazali najmniejszej skłonności do rozwijania tego zagadnienia.

Kwestia wyjazdu z kraju Wodza Naczelnego nie istniała. Już po wystąpieniu Rosji — w niedzielę 17 września, przed południem, w Kołomyi, w rozmowie z min. Beckiem, Marszałek rozważał m. inn. możliwość przedarcia się na zachód, do oddziałów gen. Sosnkowskiego, poprzez Nadwornę i Stanisławów; wahał się jeszcze co do wyboru drogi, zapowiadał jednak, że decyzję ostateczną poweźmie przed wieczorem. Na popołudniowej odprawie w Kutach — z udziałem Prezydenta, premiera Składkowskiego i min. Becka, Marszałek scharakteryzował sytuację, ocenił ją jako "beznadziejną", wypowiedział się za opuszczeniem Polski przez Prezydenta i rząd, ale o swoich osobistych zamiarach nie mówił nic. Zebrani mieli tu nie tylko wrażenie, ale i pewność, że Marszałek pozostanie w Kraju. Przedyskutowano tu i odrzucono koncepcję pozostawienia części rządu w Kraju, przy Naczelnym Wodzu. Żegnając się po tej odprawie z Prezydentem, Marszałek oświadczył: "A więc, Państwo Prezydencie, jak umówiliśmy się, ja pozostaję z wojskami" ...<sup>5)</sup>.

4) Zob. w "Kulturze", nr 7/1948, moje "Rumuńskie Rozdroże", na str. 128-130.

5) Opieram się tu głównie na relacji min. Józefa Becka w jego "Komentarzu do dyplomatycznej historii wojny polsko-niemieckiej", którego maszynopis otrzymałem od min. Becka w Brasov w grudniu 1939. Zob. w wydaniu francuskim: Colonel Joseph Beck "Dernier Rapport. Politique polonaise 1926-1939", Editions de la Baconnière,

Jak wyglądała sytuacja w momencie tego pożegnania?

Wystąpienie Rosji, niszcząc resztkę naszych szans obronnych — przekreślało możliwość dalszego skutecznego oporu. Upaść musiała koncepcja obronnego przedmościa na Pokuciu, gdyż przewidywane na to siły nie zdążyły tu jeszcze spłynąć. Na północnym krańcu przedmościa jedyną — nikłą — zaporą dla sowieckich czołgów i kawalerii być mogły tylko słabe oddziały, pilnujące mostów i brodów na Dniestrze. Na krańcu zachodnim — nad rzeką Stryj, z głównym ośrodkiem w Bereźnicy, gen. Dębiński siłami nie o wiele większymi organizował linię obronną przeciw Niemcom, którzy na północy byli już pod Lwowem, a tu, na południu, patrolami rozpoznawczymi już od 15 września docierali do rogatki samborskiej w Drohobyczu. W związku z tym — w trójkącie Stryj—Drohobycz—Zydaczów, z głównym ogniskiem w Mikołajowie, Rozdole i Piasecznie, koło Medonic, już od 14 września rozpoczęła się, przy pomocy także i spadochroniarzy niemieckich, ukraińska akcja dywersyjna. Bandy ukraińskie, w sile do tysiąca ludzi, rozbrajały pojedynczych żołnierzy polskich lub mniejsze ich grupki, napadały na domy polskich ziemian, nauczycieli i urzędników, zamordowali nieznanego z nazwiska pułkownika, dwóch kapitanów i kilku podoficerów; w Drohobyczu, ściślej w podmiejskiej Grabówce, napadły i opanowały magazyny ewakuującej się intendencji wojskowej. Dywersję tę tłumiły słabe oddziały policji i plutony 1-go pułku strzelców podhalańskich; akcję pacyfikacyjną ograniczano w zasadzie do przeszukiwania osiedli i lasów bez użycia broni — w paru tylko wypadkach zastosoowano środki ostrzejsze: spalono jedną z ukraińskich wsi (Piaseczno) i kilka domów w Mikołajowie, rozstrzelano kilku Ukraińców, przyłapanych na jawnym akcie zdrady i dywersji. Na południu — od 16 września — ujawniały się próby wywołania ruchawki huculskiej na obszarze Tatarów—Worochta — Żabie<sup>6)</sup>. W takim stanie rzeczy na krańcach przedmościa — wewnątrz niego, w Kutach i w Kosowie, była tylko garstka policji i kilkunastu żandarmów, gdzieś dalej — ale nie wiadomo dokładnie gdzie — z pół setki żołnierzy z kompanii przybocznej Prezydenta, wreszcie — jakąś szczupłą ochronę z żandarmerii miał Naczelnny Wódz i jego Sztab w Kołomyi. Nawet skupione w jednym miejscu oddziały te nie stworzyłyby

Neuchatel, 1951, na str. 236, 240 i 242. Por. poza tym W. T. Drymmera "Z Kut do Bicz", w jerozolimskim miesięczniku "Na Straży" nr 28-30/1946.

6) O dywersji ukraińskiej na tych obszarach wspomina pokrótce F. Stawoj-Składkowski w "Pracach i czynnościach rządu polskiego we wrześniu 1939" — w "Kulturze" nr 5/1948, na str. 119 i 121. Tu jednak opieram się głównie, prawie wyłącznie, na dwóch tajnych meldunkach Samodzielnego Referatu Informacyjnego ze Stanisławowa z 16 i 17 września 1939. Meldunki te — wśród kilku innych dokumentów, znalazłem porzucone przez kogoś na drodze między Kutami i Załuczem w niedzielę 17 września 1939.



jeszcze batalionu. Samolotu, który mógłby przebyć szczęśliwie daleką drogę do Kutna czy do Warszawy, nie było. Cóż tedy pozostawało?... Czekać na czele drobnej garstki aż kawaleria i czołgi sowieckie dojdą do Kosowa? Albo małą grupką przedzierać się do oddziałów walczących, kraj, zalany już przez wrogów i objęty ukraińską ruchawką?... Przebijając się — choć nie ma żadnych widoków na szczęśliwe dotarcie — do najbliższego bodaj gen. Sosnkowskiego, o którym wieści są skąpe i mgliste, a który — w rzeczywistości — po świetnym zwycięstwie pod Brzechowicami — był już tylko o dwie niepełne doby od rozwiązania i rozproszenia swych oddziałów i sam przedzierać się miał na Węgry?... Czy wreszcie — iść do Rumunii, w ślad za Prezydentem i rządem, i stamtąd — dalej, do Francji?

Konieczność szybkiego wyboru narzuciła się, gdy Marszałek — wracając z ostatniej odprawy u Prezydenta w Kutach — zatrzymał się w Kosowie. Tu dopiero, na kwaterze premiera Sławoj-Składkowskiego, po długiej z nim rozmowie, około godziny 20-ej, zapada ostateczna decyzja. — Gen. F. Sławoj-Składkowski stwierdza: "Nakłaniałem Marszałka na mej kwaterze w Kosowie do najszybszego skierowania swego wysiłku tam, gdzie jeszcze istnieje szansa wygranej — do Francji. Tam również — mówiłem — winien przenieść Sztab Główny, jako gotowe, zgrane narzędzie pracy Wodza Naczelnego. W Polsce — mówiłem — nie ma już nic do roboty"... Marszałek — słuchając i ważąc — "cierpiał bardzo, lecz ostatecznie przyznał słuszność moim argumentom", zgodził się, że "nie ma już innego wyjścia — że pobity w Kraju, musi walczyć dalej z Francji"...<sup>7)</sup> Musiały tu być jeszcze — u Marszałka i premiera — wątpliwości co do tego, jak zachowają się Rumuni, a to wobec postanowień konwencji haskiej i umowy o "droit de passage", ograniczonej tylko do osoby Prezydenta i członków rządu. Wycofanie się wszakże Rumunów z aliansu z Polską stwarzało podstawy do nadziei, że pójdą przynajmniej tutaj po linii jak najżyczliwszej interpretacji. Zresztą ambasador rumuński przy rządzie polskim Grigorcea, w godzinach popołudniowych, powołując się na swą telefoniczną rozmowę z min. Gafencu, oświadczył, że wprawdzie z Marszałkiem, Naczelnym Dowództwem i wojskiem mogą być "pewne trudności formalne", ale powtarzał kilkakrotnie, że "wszyscy będą mogli przejechać do Francji"... Dodatkowym potwierdzeniem była jeszcze sprawdzona wiadomość, że rumuński attaché wojskowy przy rządzie polskim stoi już od szeregu godzin na moście w Kutach po stronie rumuńskiej w oczekiwaniu na Marszałka... Istotnie, w momencie przekroczenia granicy zameldował

7) Gen. F. Sławoj-Składkowski w listach do mnie z 4. VIII., 12. IX., 9. X. 1951 r.

się u Marszałka i potem towarzyszył mu w drodze do Czerniowiec.

Pojawienie się Marszałka w Rumunii było dla wszystkich wstrząsającą niespodzianką. Wiadomość o tym lotem błyskawicy obiegała, będące jeszcze w ruchu gromady uchodźców, wywołując wszędzie zdumienie i oburzenie. Sam byłem świadkiem wrogich głośniejszych pomruków w Wyżnicy, gdzie Marszałek spędził kilka pierwszych godzin. W Czerniowcach Prezydent Mościcki i min. Beck powitali go ze zdziwieniem, ale tylko z powodu zmiany decyzji, bo pożegnał się przecież w Kutach z tym, że zostaje w Polsce. Rozumiano tu wszakże, że innego wyjścia nie było.

Pierwsze wrażenia Marszałka z Rumunii musiały być bardzo ciężkie i głębokie. W Czerniowcach — wkrótce po przybyciu tam — postanowił wrócić do Polski... Mówił o tym z Prezydentem Mościckim i z min. Beckiem. Premier Składkowski raz jeszcze tu, w Czerniowcach, w obecności Prezydenta i min. Becka powtórzył wszystkie swoje argumenty z decydującej rozmowy kosowskiej. Otoczenie najbliższych Marszałka również powtrzymywało go przed powrotem. Przedstawiali mu beznadziejność sytuacji, brak realnych możliwości przedarcia się w głąb Polski.

Marszałek został... Daleki jestem od myśli, by mógł coś tutaj ważyć lęk przed śmiercią czy niewolą. Myślę, że jak w rozmowie kosowskiej z premierem, tak i tu, przy nierozeznanym jeszcze niebezpieczeństwie rumuńskim, zwyciężała nadzieja na Francję. Może powie ktoś, że była tu — zrozumiała, bo taka przecież ludzka — chęć zatrzymania i po klęsce buławy wodzowskiej w rękę. W dokumentach, jakie niżej jeszcze przytoczę, nie brakuje elementów do takiej supozycji. Grać musiało — może nawet silnie — poczucie obowiązku — dalszej pracy, i to przy głównym sterze spraw państwowych, nie tylko wojskowych, ale i politycznych. Byłoby to skutkiem przedwojennego, pomieszania pojęć dowództwa i rządu, dalszym ciągiem przedwrześniowego nawyku brania na siebie i dźwigania zadań i obowiązków, dla których być musiały i były inne barki i inne ręce. Ale przy tym wszystkim nikt chyba twierdzić nie może, że i w tym odzywającym się nawyku nie było szczerzej troski o przyszłość państwa: chciał dalej służyć swoim doświadczeniem, według najlepszej woli i rozumienia.

Jak podkreśliłem tu już parokrotnie — rozgoryczenie i oburzenie na niego było powszechne. Świadczyć o tym może i ten fakt, że "konieczność zadośćuczynienia" — paląca potrzeba "uspokojenia wzburzonych umysłów" — była nie jedynym, ale przecież jednym z głównych powodów, dla którego ambasador Łukasiewicz już w dniu 28 września 1939 r. powierzył gen. Sikorskiemu stanowisko dowódcy odbudowywanej we Francji ar-



mii polskiej. Sikorski nie uważał tego za rozwiązanie ostateczne. Od razu też po objęciu Prezydentury przez Wł. Raczkiewicza rozpoczął akcję w kierunku jak najszybszego przejęcia najwyższej władzy wojskowej. Coraz częściej i coraz natarczywiej interweniując osobiście u nowego Prezydenta — wysłał do niego — choć był poważnie chory — paru ministrów, wyższych oficerów, przedstawicieli stronnictw i różne "wpływowe osobistości", z których każda na swój sposób usiłuje przekonać Prezydenta, że wydanie dekretów, które uregulowałyby sprawę naczelnego dowództwa, jest — wobec powszechnego wzburzenia — zadaniem najpilniejszym i najbardziej palącym.

W tym stanie rzeczy — w pierwszych dniach października 1939 r. — przybył do Paryża Julian Piasecki. Przyjęty przez chorego Prezydenta — wręczył mu list Marszałka Śmigłego, datowany w Craiovej 1 października: "Panie Prezydencie! — pisał tu internowany Marszałek — bardzo rad jestem, że właśnie na Pana spadł ten ciężki obowiązek. Ograniczam się do gorących życzeń, prosząc o przyjęcie oddawcy tego listu, Piaseckiego, który opowie o sytuacji tutaj. Pamiętajcie o wojsku tutaj i na Węgrzech. Przesyłam serdeczne pozdrowienia. — Śmigły-Rydz".

Wysłuchawszy sprawozdania Piaseckiego — Prezydent omówił nastroje, atmosferę i warunki, panujące w Paryżu, i wysunął w sposób nader taktowny i delikatny sprawę zrzeczenia się przez Marszałka funkcji, której wobec internowania pełnić nie mógł. Piasecki z tą sugestią wyjechał z powrotem do Rumunii — po dziesięciu dniach był już ponownie w Paryżu, ale oczekiwanej rezygnacji Marszałka nie przywiózł. W otoczeniu Sikorskiego zawrzało. Sam Sikorski udał się do Prezydenta i w wyniku długiej z nim rozmowy wymógł na nim energiczniejsze wystąpienie. Znalazło to wyraz w liście Prezydenta do Marszałka Śmigłego z 29 października 1939: "Panie Marszałku! Sprawa, w której do Pana piszę, jest dla mnie tak ciężką, że kiedy dwa tygodnie temu nadarzyła mi się możliwość porozumienia z Panem za pośrednictwem wicemin. Piaseckiego, który przybył do mnie jako człowiek Pańskiego zaufania, skorzystałem z niej niezwłocznie, starając się, ażeby sytuacja, tak, jak ją widzę, i wnioski, które z niej wyciągam, dotarły do Pana w postaci jak najszerszej i jak najjaśniejszej. Złożony ciężką chorobą, nie miałem dotąd możności przyjęcia Pana Piaseckiego po jego powrocie, rozumem jednak, że nie przywiózł on ze sobą decyzji Pana Marszałka, której potrzeba staje się z dnia na dzień coraz bardziej imperatywna. To skłania mnie do opisania Panu sytuacji, której niezwłoczne wyjaśnienie leży moim zdaniem zarówno w interesie publicznym, jak i osoby Pana Marszałka. Przedstawia się ona następująco: Reakcja opinii publicznej polskiej, zwłaszcza tutaj i w ogóle na obczyźnie, nie wyłączając Polonii amerykańskiej, jest tego rodzaju, że ustąpienie Naczelnego

nego Wodza, który znalazł się w tych samych warunkach, jakie skłoniły Prezydenta Mościckiego i Jego ostatni rząd do rezygnacji, względnie dymisji, — uważane jest powszechnie za rzecz konieczną. Na tle tej reakcji obecny rząd Rzplitej jest zdania, że nie można zwlekać z załatwieniem tej sprawy. W tym stanie rzeczy, jakkolwiek tak bardzo pragnąłbym móc załatwić ją na zasadzie własnej decyzji Pana Marszałka — nie mniej uważam działanie ze swej strony za konieczne już w najbliższych dniach. Gdyby Pan Marszałek zechciał zakomunikować mi ją telegraficznie zaraz po otrzymaniu niniejszego pisma — w każdym razie nie później, jak do końca bieżącego miesiąca — był bym Panu bardzo wdzięczny. Proszę wierzyć, Panie Marszałku, wyrazom mej najszczerzej życzliwości. — Wł. Raczkiewicz.

Z tym odręcznym listem Prezydenta wyjechał 23 października z Paryża do Rumunii major Zygmunt Borkowski z gabinetu gen. Sikorskiego. Po czterech dniach — 27 października — był już w Dragoslavele. Internowany Marszałek przyjął go o godzinie 13-ej. Rozmowa trwała trzy kwadranse. Zainteresowania Marszałka zamykały się w obrębie kilku kwestii — jak podzielone zostały funkcje w rządzie polskim w Paryżu, jakie stanowisko objął tam gen. Sosnkowski — czy gen. Sikorski jest tylko ministrem spraw wojskowych, czy też i dowódcą tworzącego się wojska — czy i jakich dokonano zmian personalnych na placówkach dyplomatycznych i jakie były powody odwołania ambasadora Łukasiewicza w Paryżu?

Pytania te, skierowane do przybyłego z Paryża oficera, świadczą, jak ściśle był Marszałek odcięty od świata, jak nic prawie nie wiedział o sytuacji w Paryżu. Ale przybyły major Borkowski był bardzo powściągliwy w swych odpowiedziach. Stwierdzał tylko, że jest "zbyt małą figurą", aby wiedzieć coś o wzajemnym stosunku członków rządu, nie jest mu również znany podział pracy ministrów, jedynie z obserwacji jego wynika, że współpraca wszystkich, a "zwłaszcza współpraca gen. Sikorskiego z gen. Sosnkowskim" jest "jak najlepsza"; o zmianach personalnych na placówkach powiedzieć może tylko tyle, że są czy będą dokonywane wyłącznie pod kątem oszczędności, co jest "jedną z dominujących cech w posunięciach obecnego rządu".

Po takiej rozmowie Marszałek poprosił przybyłego, by poczekał na dole. Po godzinie wezwał go do siebie i wręczył mu list w zapieczętowanej kopercie. Na zapytanie, "czy nie będzie żadnej odpowiedzi dla przesłania drogą telegraficzną" — Marszałek oświadczył krótko, że pan major i osobiście "zdąży na termin".

Zapieczętowana koperta zawierała dwa odręczne listy Marszałka. Pierwszy — krótki — brzmiał: "Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Wobec tego, że jestem internowany i pozba-



wiony wolności — składałem funkcję Naczelnego Wodza do dyspozycji Pana Prezydenta. — Śmigły-Rydz, Marszałek Polski. Drogosławe, 27. X. 1939”.

W liście drugim pisał Marszałek:

“Panie Prezydencie! Nie chcę wobec złego stanu zdrowia Pa-  
na listem swoim zabierać dużo czasu. Dlatego streszczam się.  
Z Piaseckim mówiłem obszerniej, sądząc, że będzie mógł być  
przyjęty przez Pana Prezydenta. Internowanie moje czyni mnie  
bezbronnym i wszystkie winy można na mnie zwać. Daleki  
jestem od prowadzenia polemiki na temat opinii publicznej  
i jej żądań. Konstytucyjnie akt mianowania teraz Naczelnego  
Wodza nie jest konieczny — tym bardziej, że i armia jeszcze  
niezorganizowana. Więc chodzi o osądzenie mnie. Nie chcia-  
łbym utrudniać Panu sytuacji. Dlatego załączam dokument.  
Proszę zrobić, Panie Prezydencie, z nim to, co Panu sumie-  
nie wskazuje. Proszę o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku.  
— Śmigły-Rydz. Drogosławe, 27. X. 1939”.

Na list ten Prezydent Raczkiewicz odpowiedział 7 listopada:

“Panie Marszałku! List Pana z dn. 27 października r. b. odczu-  
łem i zrozumiałem głęboko. Izolacja, w której Pan od tygodni  
przebywa sprawia, że — jak Pan to słusznie mówi — dysku-  
towanie obecnie reakcji opinii publicznej, a zdaniem moim tak-  
że i wielu innych aspektów sytuacji, byłoby niecelowe. Rozmo-  
wa z p. Piaseckim, którego w międzyczasie, skoro tylko leka-  
rze mi na to zezwolili, przyjąłem, pogłębiła we mnie przekonanie  
o tym, jak trudno jest, będąc odcięty od świata, wy-  
czuć sytuację, dla której nawet w naszych burzliwych polskich  
dziejach o analogię nie łatwo. Rozumiem też uczucie bezbron-  
ności, którego Pan w obecnym swoim położeniu doznaje. Są-  
dzę jednak, że zwolnienie Naczelnego Wodza, w szczególności,  
gdy składa funkcję, której będąc internowany pełnić nie mo-  
że — jest aktem, który Jego prawa do obrony na przyszłość  
w żadnej mierze nie przesądza i nie umniejsza. Przesyłając Pa-  
nu Marszałkowi załączony dokument, który podpisałem po dłu-  
giej i głębokiej rozwadze, kreślę wyrazy mego szczerego sza-  
cunku. — Wł. Raczkiewicz”.

Dokument, dołączony do listu Prezydenta, brzmiał:

“Nawiązując do pisma Pana Marszałka z dn. 27. X. br., w  
którym złożył Pan swoją funkcję, na podstawie art. 13, ust. 2,  
pkt. d. Ustawy Konstytucyjnej, zwalniam Pana Marszałka ze  
stanowiska Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił  
Zbrojnych”.

Dokument ten, datowany 7 listopada 1939, ogłoszony został  
w dwa dni później w urzędowym “Monitorze Polski” nr 245/251  
z 9. XI. 1939. Tuż obok niego ogłoszono zarządzenie Prezyden-  
ta, mianujące gen. Wł. Sikorskiego Naczelnym Wodzem i Gene-  
ralnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI.

## Kronika kulturalna

### Tym razem w obronie poetów

W jednym z pierwszych numerów odrodzonego na bruku pa-  
ryskim “Słowa”, pod świeżym wrażeniem klęski wrześniowej,  
Stanisław Mackiewicz napisał, że polityce polskiej potrzebna jest  
wyobraźnia artystów i wizja poetów bardziej niż urzędnicze re-  
feraty. Propozycja była odważna i przebrzmiała bez echa, a być  
może i sam Mackiewicz jużby się pod nią dziś nie podpisał. No,  
bo jakże! Czyż można łączyć politykę z ludźmi, siedzącymi po  
uszty w abstrakcji i fantazji?

Olbrzymią większość legend, krążących na temat poetów, za-  
winiła szanowna burżuazja. To ona z lekkiej ręki Murgera prze-  
jęła mit o cyganerii, jakże wygodny, bo rozgrzeszający z góry,  
skoro i tak wiadomo, że artysta najlepiej tworzy, gdy cierpi na  
gruźlicę, nie jada obiadów i jest wyrzucany z mieszkania za  
notoryczne niepłacenie komornego. W ślad za tym poszły in-  
ne legendy i bajeczki. Za cenę ich utrzymania burżuj gotów  
był przyznać artystom szereg przywilejów, niewiele go kosztu-  
jących, tolerować niechlujstwo i niesłowność, wysłuchiwać z  
liberalnym uśmiechem filipiki przeciw filistrom, a nawet nie  
dopominać się zbyt natarczywie o niebacznie udzieloną pożycz-  
kę. Poza tym jednak malarz czy poeta nie miał prawa wtrą-  
cać się do spraw “poważnych”, realnych”. Więc i do polityki.  
Inżynier, oficer, ksiądz, lekarz, komendant straży ogniowej,  
emerytowany naczelnik poczty i wszyscy dozgonni czytelnicy  
“Kurierków” — mogli znać się na polityce. Poeta — nie! Gdy  
przed dwoma laty zacząłem poprawiać przyniesione do Radia  
madryckiego kulfony pewnego słynnego dyplomaty, obraził się,  
nadał i oświadczył z lekceważącym gestem: “Panie, to nie poe-  
zja!”

Pięknie. Gdy przez kilka lat z rządu przepowiadałem przy-  
szłą rzeź polsko-ukraińską, byłem “nierealnym poetą”. Gdy  
na pół roku przed wojną wróżyłem antypolski sojusz Stalina  
z Hitlerem, skonfiskowano mnie za “szerzenie fałszywych po-



głosek". Gdy na wiosnę 1941 roku wdałem się w dyskusję z pewnym zawodowcem, który, zonglując kolumnami liczb, twierdził, że wojna musi skończyć się za rok, wzruszono ramionami. Gdy tejsze wiosny napisałem artykuł pt. "Wojna dopiero zaczyna się", twierząc, że dopóki nie wejdą do niej Rosja Sowiecka, Japonia i Stany Zjednoczone, jesteśmy w okresie preliminariów, zaproponowano mi delikatnie, bym ograniczył się do pisania wierszy. Zaznaczoną możliwość rendez-vous niemieckich "Panzerkorps" między Kaukazem i Suezem uznano za nieodpowiedzialne fantazjowanie. Gdy po zawarciu umowy Sikorski-Majski twierdziłem, że Sowiety jej nie dotrzymają, naraziłem się na podejrzenie o sprzyjanie Niemcom. Gdy po wyjściu z więzienia w roku 1943 zapowiadałem okupację sowiecką kraju i nieuniknioną emigrację, patrzono na mnie jak na postrzelonego. Gdy wreszcie po Hiroshimie uparłem się, że trzecia wojna światowa i tak wybuchnie, nazwano mnie "trubadurem" i chciało ukamienować potwornej długości wzorami chemicznymi. Pamiętam, że było tam coś o plutonie. A ja, nieborak, wiedziałem tylko tyle, że Pluton to taki starszy pan z brodą, co porwał Demetrze Prozerpinę. Poeta! Najpierw się upije, potem ma halucynacje i własne nieprzytomne wizje bierze za rzeczywistość. Jakże tu z takim rozmawiać!

Obecnie profesor Studnicki kwituje moje polemiki ukraińskie lakonicznym twierdzeniem: "poeci na ten spór lekarstwa nie znajdują". Zaś Zbyszewski wyciąga z grobu wszystkich pisarzy, jacy kiedykolwiek parali się polityką czy dyplomacją, łożą im skórę, po czym w kurtuazyjnej formie odmawia mi prawa do pisania na tematy polityczne. "Historia świadczy — twierdzi Zbyszewski — że najwięksi bardzi nie mieli szczęścia w tej jakże odmiennej dziedzinie". Więc do kąta idą pokutować za branie się do nieswoich rzeczy Lamartine i Alexis Léger, Claudel i Mickiewicz. "Wot, eto, szczuka, tiebie nauka: wpieriod umnieje byt' i za myszami nie chadit'!") "Warsztat poetycki jest złą szkołą dla polityki i dyplomacji; egotyzm, będący podstawą twórczości poety, jest zgubny w trudnej umiejętności wyczucia, co jest możliwe a co nie, a to przecie — nie snucie abstrakcyjnych "programów" stanowi probierz dobrej polityki zagranicznej".

Kto z nas ma rację w sprawie ukraińskiej, czas pokaże. Przy innej okazji odpowiem obszernie i wyczerpująco na argumenty Zbyszewskiego, zawarte w cytowanym artykule. Tutaj pragnę ograniczyć się do obrony nie tylko siebie, ale poetów w ogóle i wykazać, że jednak nie jest z nami aż tak bardzo źle.

Zbyszewski pomylił pewne zasadnicze sprawy. Przykłady z Claudelem czy Lamartinem nie mają nic do rzeczy. Zgadzam się z góry, że pisarz nie nadaje się na premiera, ministra, czy

\*) Przysł. rosyjskie: Morał dla ciebie, szczupaku: bądź mądrzejszy i nie poluj na myszy.

ambasadora. Przyznaję z pokorą, że nawet na skromniejszym stanowisku sekretarza poselstwa wypadłbym zgoła katastrofalnie. Ale co innego dobrze "urzędować", a co innego mieć jasną wizję historyczną i wyczucie spraw zasadniczych. A pod tym względem niech się specjaliści od polityki zanadto nad poetów i pisarzy nie wynoszą, bo rady nie dadzą. Czy Zygmunt Krasiński nadawał się na ministra lub ambasadora, nie wiem. Chętnie zakładam, że nie. Ale jego par excellence polityczna wizja Rosji jeszcze po stu latach zadziwia ostrością widzenia i celnością sformułowań. A cóż powiemy o Norwidzie? Daj Boże, by wszyscy nasi politycy mieli zawsze takie wyczucie rzeczywistości, jak ten zahukany przez życie, zdychający w przytułku, nie umiejący zarobić grosza na jako takie życie, "nierealny", "egotyczny" poeta. I czy lirycznemu autorowi "Odrpawy posłów greckich" też przypniemy ośle uszy i pošlemy do dziecinnego pokoju bawić się "wierszykami"?

Genialny Donoso Cortés był ponoć miernym politykiem. W Wiedniu nazywano go szyderczo "anachoretą w dyplomatycznym mundurze". Ten "anachoreta" widział jednak dalej i ostrzej, niż kpiący zeń wyjadacze; przed przeszło wiekiem przepowiedział, dokąd zajądą ówczesne ruchy radykalne z ledwie ząbkującym socjalizmem na czele, i dokładnie przewidział hiszpańską wojnę domową. Szukać dobrych "techników" politycznych wśród pisarzy, a tym bardziej poetów raczej nie należy, choć i pod tym względem znajdują się wyjątki; natomiast, jeśli chodzi o wrażliwość na sejsmiczne ruchy historii i umiejętność stawiania koncepcyj także politycznych, można nawet najbardziej egotycznym lirykom udzielić odrobiny zaufania.

Zatem i ten mit, tak pracowicie podpierany przez Zbyszewskiego, musi runąć, gdy się go skonfrontuje z rzeczywistością. A już przynajmniej jednego prosię poetom nie odmawiać: daru przewidywania. "Przecież mnie srogi Apollo, trapisz?" — to nie tylko zręczny frazes poetycki. Przysięgam na Goethego, który nazajutrz po mizernej utarczce pod Valmy zanotował narodziny nowej epoki; na Mereżkowskiego, który Europejczykom, przerażonym czerwienią rosyjskich rewolucjonistów, zapowiadał proroczo: "jeszcze zobaczycie tę czerwień, rozpaloną do białości", i na tylu innych, których nie wymienię, by mnie nie posądzono o popisywanie się łatwą erudycją. Więc tylko jeszcze jedno przypomnienie: jedynym człowiekiem, który w lecie 1939 roku przewidział i dokładnie opisał przebieg przyszłej kampanii, był... krytyk poetycki. Całe życie dłubał w jambach i trochejach, aż tu kropnął artykuł na temat polityczno-militarny i za jednym zamachem zapędził w kozi róg panów zawodowców. Pocieszam się, że może i te moje "sentymentalne" wróżby co do niepodległego Kijowa nie okażą się po latach taką bzdurą, jak tego chcą trzeźwi pogromcy poetów, wchodzących fantazyjnym zajazdem na zazdrośnie strzeżone polityczne podwórko.



## II.

Wypad Zbyszewskiego to skromna partyzantka w porównaniu do generalnej ofensywy, jaką rozwinął "przeciw poetom" autor "Ferdydurke" i "Transatlantyku" w październikowym zeszycie "Kultury".

Znając metodę pisarską Gombrowicza, w pierwszej chwili można było pomyśleć, że chodziło mu o zaatakowanie pewnych przestępstw, wynaturzeń, czy ograniczeń poezji współczesnej, oraz o wyszydzenie śmieszności, cechujących w mniejszym lub większym stopniu środowisko poetyckie. Zaś nadanie artykułowi charakteru ataku generalnego można by traktować jako przekorę, czy też umyślne chowanie końców do wody. Nie pierwszy raz Gombrowicz maluje śledzia na zielono i każe mu śpiewać, żeby trudniej było zgadnąć.

Ale nie. To nie jest zamaskowana obrona poezji przed pseudopoetycką szmirą, ani obrona poetów przed prestidigitatorami i stawiaczami babek z polukrowanego piasku. To nie pewne odcinki, to cały front znalazł się pod krzyżowym ostrzałem gombrowiczowskich kolubryn. Trzeba więc tym kolubrynom zajrzeć wzorem Kmicica do gardła i powtórzyć za panem chorążym orszańskim: "Naści, piesku, kiełbasy, tylko się nią nie udław!"

Zacznijmy od stwierdzenia, że Gombrowicz określa swe stanowisko bez precyzji, niedostatecznie, mętnie, prawie po sztubacku. Nie trzyma się ustalonej terminologii. Raz powiada: "poezja wierszowana", drugi — "poezja zabsta". Otóż w roku Pańskim 1951 wolno od pisarza, który zabiera się do spraw poetyckich, wymagać rozróżnienia tych określeń. Można "wierszować" i nie mieć nic wspólnego z tzw. "poezją czystą". I vice versa — zarówno awangarda zachodnia jak rodzima dała niejednym przykład tego, co Gombrowicz nazywa "farmaceutycznym ekstraktem", nie używając formy wiersza i skazując na banicję rymy, asonanse i rytmy. Twierdzi on skromnie, że posiada wrażliwość poetycką "i to w dużej mierze — a gdy poezja objawia się nie w wierszach lecz zmieszana z innymi, bardziej prozaicznymi elementami, na przykład w dramatach Szekspira... drży jak inni śmiertelnicy". Ale, i jeśli pamięć mnie nie zawodzi, Szekspir pisał wierszem, zatem dał poezję "wierszowaną", choć nie "czystą". Więc jak? Już pierwszy przykład Gombrowicza zwraca się przeciw niemu.

Cała charakterystyka poezji, jaką daje Gombrowicz, świadczy, że bierze on część za całość, marginesy za książkę, brodawkę na nosie za nos. Jest jak ów turysta, który, zatrzymawszy się od pociągu do pociągu w stolicy wielkiego kraju, został okradziony w ulicznym tłoku i po powrocie do domu zanotował: "W Ypsylonlandii mieszkają sami złodzieje". Atak byłby częściowo słuszny, gdyby ograniczał się do abstrakcjonistów, niektórych surrealistów, czy formistów typu naszego Peipera.

"Poczęto oddawać się jakimś wynalazkom i eksperymentom z grymasem straszliwego wtajemniczenia — i tej nudnej orgii, powtarzam, nic nie jest w stanie zahamować. Albowiem tu nie idzie o twórczość człowieka dla człowieka, a tylko obrządek pełniony przed ołtarzem". Oskarżenie stoi wyraźnie jak wół. Ale za pozwoleniem pana prokuratora. Któż tu siedzi na ławie oskarżonych? Claudel? Pierre Emmanuel? Lanzo de Vasta? García Lorca? Pablo Neruda? Thomas Eliot? Dowid Knut? Gombrowicz spędził na skraj swojej Skąły Tarpejskiej same pekińczyki o krzywych nogach, mopsy i buldogi z połamanymi nosami — i wydziwiał: "Z kimże ja, Nemrod nieszczęsny, pójdę na polowanie?" Jak w bajce Kryłowa, wrócił z Zoologu i opowiada o "moszkach i bukaskach". Słoni zauważyć nie raczył.

Na wiele lat zanim autor "Ferdydurke" przystanął na warszawskiej ulicy z gałęzią bzu w zębach, José Ortega y Gasset — le habeis leido, muy admirado maestro? — pisał w studium o Mallarmé, że poezja współczesna przechodzi proces dehumanizacji, zamienia się w dostępną jedynie dla wybranych "algebrę metafor". Ortega y Gasset wskazał na dominującą podówczas tendencję, ale roztropnie ustrzegł się wniosków generalizujących. I dziś jeszcze na niektórych jarmarkach roi się od szamanów abstrakcjonizmu, wielbicieli metafor dla metafor, kapłanów hermetycznego kultu, uczonych filologów przez nich samych wymyślonego języka. Są nawet potrzebni i po swojemu pożyteczni, bo w swych laboratoriach przeprowadzają niejedno ciekawe doświadczenie, udoskonalają niejedną wynalazek. Ale główny nurt poezji współczesnej skutecznie omija brzegi tej utopijnej wyspy, której na imię "Czysta poezja". I tak jak wczoraj, jak zawsze, również i dziś nie brakuje poetów, którzy używają "algebry metafor" dla celów astrofizyki poetyckiej. Wielka szkoda, że Witold Gombrowicz ich nie zauważył.

Za to zauważył poetów innego kalibru. Śmieszą go, gdyż stanowią klan kapłanów bez wyznawców, odcięli się hermetycznie od zewnętrznego życia, "śpiewają w próżni". I nie może być inaczej, gdyż "prawie nikt nie lubi wierszy". Bardzo arbitralne i bardzo niebezpieczne twierdzenie, które łatwo wprowadzić a d p e r s o n a m. Jakież to tłumy czytelników w Polsce zachwycały się "Pamiętnikiem dojrzewania" i "Ferdydurke"? Co z hiszpańską wersją książki Gombrowicza? Czytałem parę recenzji w prasie południowo-amerykańskiej. Jedni wpadli w zachwyt i mianowali go genialnym pisarzem, inni dawali do zrozumienia, że autor ma bzika. To była reakcja zawodowców, krytyków, recenzentów. Radbym uwierzyć, że Gombrowicz stał się ulubionym pisarzem nie tylko inteligencji w Buenos Aires i Montevideo, ale również patagońskich "gauchos" i meksykańskich "mañitos". Radbym, ale nie mogę.



Mimo to nie zdobędę się na jurną bojowość Gombrowicza i nie nazwę go pisarzem śmiesznym albo niepotrzebnym.

A cóż z tym hermetyzmem i odgraniczaniem się od życia? Najwidoczniej od czasu swej transatlantycznej podróży Gombrowicz ulokował się na tak niebotycznej wysokości, że już nie dostrzega poetów, którzy właśnie tkwią głęboko — i twórczością i czynem osobistym — w życiu swego środowiska, społeczeństwa, narodu. Najwidoczniej ufundował sobie kalosze zaiste zwierciadlanej czystości, skoro tak beztrzesko włączył w serca i życie tych nieszczęśliwych i śmiesznych poetów!

Autora "Ferdydurke" widywałem przelotnie w warszawskich kawiarniach. Zapewne jakiś odpowiednik "Małej Ziemiańskiej" istnieje w Buenos Aires. Na tej osi poznawał nasz oskarżyciel poetów i poznawał wielbicieli poezji. A poznając, przeprowadzał doświadczenia. Powiada, że kombinował luźne fragmenty, a nawet zdania, budował wiersz absurdalny i odczytywał go "w gronie szczerzych miłośników, jako nowy utwór wieszczą — ku ogólnemu zachwytowi..." Gdy się trick wydawał, sypały się protesty, ale już było za późno: "ten groch odbijał się od twardej skały Doświadczenia". Cóż za przesada! Ta skała jest zbudowana ze zwykłego papier-mâché, a jeśli utrzymała się, to tylko dlatego, że ostrzelano ją grochem. Pierwszy lepszy kamyczek ukazałby jej teatralną pustkę. Wtajemniczeni twierdzą, że gdy psychiatra zbyt wiele lat ordynuje w zakładzie dla obłąkanych, sam zapada z czasem na chorobę psychiczną. Podobno zaraźliwe. Gdy się zbyt długo przebywa w towarzystwie snobów, również można się zarazić. Choćby to był snobizm à rebours.

W "Transatlantyku" Gombrowicz dał kapitalną w celnej zjadliwości karykaturę kawiarnianych literatów, którzy zdobywają się wyłącznie na gadanie o samych sobie, o nowych pismach i honorariach, przy czym "gran escritor" i "maestro" nie schodzą im z ust. W Madrycie takie zebrania, poświęcone wzajemnemu uwielbianiu, noszą nazwę "tertullias literarias". Może i w Buenos Aires używa się tej nazwy, a u n q u e — oh, ilustre e insuperable v a t e — ignoro las costumbres p o r t e ñ a s. Śmiem zapewnić Gombrowicza, że wybrał najgorszą formę doświadczeń z poetami. Gdy w przedwojennej Warszawie młodzi poeci schodzili się na Solcu albo na Dobrej i szli na wódkę (nie na kawę!), częściej dyskutowano o dziewczętach, sporcie, sprawach społecznych, Marksie, polityce, niż o asonansach, rymach, czasopismach i honorariach. I nikt nie kadził, nie celebrował i kapłana nie udawał, bo towarzystwo miało zbyt wiele zmysłu humoru. Gdy, mając dwadzieścia sześć lat i już pewne stanowisko wśród młodych, zacząłem z amatorstwa uprawiać boks i występować na ringu, gorszyli się burżuje, nie poeci. Żaden ornat mi się przy tej okazji nie rozdarł i żadna korona z głowy nie zleciała, bo jej nie nosiłem. A towarzysze owych wczesnych, poetyckich lat też częściej włączyli

na szynkwasy lub trybunę wiecową, niż na ambonę. Więc nie, drogi panie Witoldzie! To nie poeci winni, to zawinił pański dobry smak w doborze osobistego otoczenia.

Dodatkowo "kompromitujący fakt, to ilość poetów". Ustalmy: poetów, czy wierszopisów? Gdyby spędzić na plac musztry wszystkich amatorów wierszowanej mowy, którym pocziwy Marian Sztajnsberg wydawał (za forszę zresztą) chude tomiki, byłoby z tego kilka pełnych kompanij. Już przy przesiewaniu do antologii odpadały ich całe mendle i kopy. Iluż zostanie w historii literatury? Grafomani istnieli zawsze i będą istnieli nadal. Nic nie szkodzi, boć większość z nich to autentyczni amatorzy i miłośnicy poezji, póty nieszkodliwi, póki jak kibice zaglądnący do kart, nie zaczynają dawać rad prawdziwym grażom. Gombrowicz zabawił się w kibica-interwencjonistę, nie od rzeczy zatem poradzić mu, żeby zajrzał na własne podwórko. Czy ilość prozaików nie wydaje mu się równie k o m p r o m i t u j ą c a? Jakoś nikomu z poetów nie przyszło do głowy wygombrowiczać się na ten temat, bo każdy dobrze wie, ilu — obok autentycznych pisarzy — wałęsa się prozoidów i prozajdów, prozomaniaków i prozografomanów, prozadków i prozajakałów. Więc dajmy spokój statystyce, bo tylko jeden Mahomet wie, kto lepiej na niej wyjdzie.

Ale Gombrowicz również niektórym z własnej branży nie przebacza i stawia ich na cenzurowanym. Broch, Joyce, Kafka — też pisali "na klęczkach z myślą nie o czytelniku a o Sztuce, lub też o innej abstrakcji" (zwraca uwagę, że abstrakcję Gombrowicz wyjątkowo pisze z małej litery). Żeby jednak nie wypaść z roli, od razu dodaje: "Ta proza zrodziła się z tegoż samego ducha, który przyświeca poetom..." No, proszę, co to za złośliwy naród ci poeci! Nie tylko, chodząc jak wszyscy w krótkich kałesonach, udają natchnionych kapłanów, ale na domiar złego zdołali zarazić swą "herezją" co zdolniejszych powieściopisarzy.

Mówiłem już o tym, że Gombrowicz jest niekonsekwentny. Jego krytyczna broń ma wyszlizganą lufę i bije z rozrzutem. Kiedyś w rówieńskiej podchorążówce strzelaliśmy z erkaemów do tarcz. Przy drugiej serii zagapiłem się i wykropiłem do innej tarczy. W rezultacie miałem za mało trafień, natomiast mój sąsiad o kilka więcej niż oddanych strzałów. Gombrowicz również zagapił się. Na jednej stronie mówi wyłącznie o poezji współczesnej, na następnej dodaje (bo jakże ja, Gombrowicz, mam pracować w detalu? — zniszczę ich hurtem!), że poeci znaleźli się poza rzeczywistością "od wieków". I znów poprosimy: nóżki na stół! Którzy poeci? Dante i Chaucer, Villon i Lope de Vega, Milton i Byron, Goethe i Mickiewicz, Whitman i Błok? To oni byli "kapłanami Niedojrzałości, bosymi księżmi w krótkich majtkach"? Jeśli oni mają być "mnichami" w gombrowiczowskim ujęciu, jeśli ich sztuka jest "fikcją i ceremoniałem", a nie "prawdziwym obcowaniem człowieka z



człowiekiem", to lepiej zostawić autora "Ferdydurke" w argentyńskiej kawiarni, gdzie — według jego określenia — pisarze zajmują się oglądaniem własnych skarpetek, i poszukać rozmówcy gdzie indziej.

W międzyczasie jednak Gombrowicz zajrzał do swoich książek i doszedł do wniosku, że jednak... że należy zabezpieczyć sobie tyły. Więc spowiada się: "jeśli nie piszę dla ludu, to jednak piszę jako ktoś przez lud zagrożony, lub też zależny od ludu, lub przez lud stwarzany... Sztuka moja wykształciła się w zetknięciu z wrogiem". Zaś poeci "szaleją w próżni", religię przekształcili w obrządek, zapomnieli o istnieniu konkretnego człowieka.

Czy mam aż do znudzenia cytować nazwiska? A jednak trzeba, skoro Gombrowicz ciska swe gromy w poetów, siedząc na "skale Doświadczenia" (właśnie przez Duże D). Więc taka propozycja: oto "Hymny" i "Księga Ubogich" Kasprowicza. Niech nam Gombrowicz przeprowadzi swój akt oskarżenia z tymi książkami w rękę, niech udowodni, że samotnik z Poronina również beltął "farmaceutyczne ekstrakty" i "tkwił w próżni", że zatracił obcowanie z człowiekiem, że należał do sekty.

Cały niemal artykuł Gombrowicza, to obijanie się po ciemnych zaułkach, niechęć do wyjścia na główną, jasno oświetloną ulicę. Skutek: kilka słusznych i inteligentnie sformułowanych uwag, zagubionych, jak Abraham wśród sodomitów, w tłumie arbitralnych sądów, pomieszanych pojęć i komplementów pod własnym adresem.

### III.

Połączyłem w jednym artykule Zbyszewskiego z Gombrowiczem, choć zdaję sobie sprawę, że ich wypowiedzi są mocno niewspółmierne. Zbyszewski zahaczył o poetów na marginesie polemiki w sprawie ukraińskiej — Gombrowicz wytoczył proces zasadniczy. Pierwszy nie zamierza poetów niszczyć, przeciwnie — bardzo ich ceni, ale pragnąłby uwięzić ich na lirycznej łączce: niech się pasą na kwiatkach i nie zabierają do rzeczy poważnych, exemplum polityka; drugi przypisuje poetom organiczną niezdolność do wyjścia poza zaczarowany krąg samozachwycenia i zapowiada kategorycznie, że "nic nigdy u nich się nie zmieni". I tu i tam rodzicielką było lekceważenie, choć Zbyszewski stara się być elegancko wyrozumiały, zaś Gombrowicz kipi takim gniewem, jak gdyby sam w młodości pisywał nieudane wiersze.

A jednak, ta pogardzana, lub do ciasnej klatki jeszcze jednego rodzaju literackiego spychana poezja jakoś niebardzo chce się poddać z góry ferowanym wyrokowi. Nie będę powtarzał truizmów o społecznej roli poezji, bo ostatecznie wszystko, co jest wytworem człowieka, musi odgrywać jakąś rolę społeczną. Zasięg poezji jest znacznie większy. Wielka poezja wszystkich

czasów i narodów wywodziła się z pnia religii i w epokach, gdy państwa i ludy zachowywały organiczny z nią związek, nie istniał żaden rozdział między twórcą i społeczeństwem. Tak było jeszcze w średniowieczu i legenda o przepuce florenetyjskiej, która, wskazując na Dantego, zawołała do sąsiadki: "Patrz, ten człowiek wrócił z piekła!" — dobrze oddaje istniejący ówczesnie stan rzeczy. W Gruzji po dziś dzień rodzice wręczają córce jako podarek ślubny egzemplarz "Wepchis Tkaosani" Rustawelego. Wacław Grubiński w swych wspomnieniach z sowieckiego łagru pisze o Gruzinach, którzy recytowali mu fragmenty z poematu Rustawelego, usiłując w ten sposób zapomnieć choć na chwilę o straszliwej rzeczywistości. Udział poetów arabskich — zwiastuje tych z epoki "beduińskiej", przed Mutanabbim — w krystalizacji i rozszerzaniu się Islamu zasługuje na osobne studium. Gdyby Gombrowicz zechciał wziąć na swój warsztat te przykłady, miałby wdzięczne pole do popisu. Bo właśnie tak, właśnie kapłani, będący wyrocznią polityczną, świętujący zwycięstwa swego ludu, oplakujący jego klęski, rzucający egzorcyzmy na szatana i obelgi na wroga, podniecający do walki, chłoczający wady, pochwalający cnotę i odwagę. Taką była — cóż za anachronizm! — poezja naszych romantyków i w Polsce nie raził fakt, że czyn był testamentem słowa, że, jak za zamierzchłych mistycznych czasów, taki Piłsudski począł się z żebra egzaltowanego poety.

Ale nie tylko w Polsce poezja nosiła mity w zanadrzu. Gdy z germańskiej babki-protestantki i angielskiego dziadka-purytanina zrodzony racjonalizm zaczął podbijać narody europejskie, wydawało się, że nadwątlona już dawniej gałąź poetycka oderwie się definitywnie od starego pnia religii. Na szczęście, tak się nie stało. Poprzez wszystkie zwątpienia i bunty, poprzez wszystkie "Salute, o Sataná, o ribellione!" — mieliśmy we Włoszech Papiniego, a w Niemczech Rilkego, a w Hiszpanii Unamunę, a w Rosji Sołowjowa, a w Czechach Ottokara Brzezińskiego i poezja coraz to nawracała do swego źródła, i dlatego Artur Górski miał prawo określić dzieło Mickiewicza jako "rechrystianizację" Polski, a Karol Péguy mógł zaważyć bodaj decydująco na odrodzeniu myśli katolickiej we Francji. I jeśli w Rosji sowieckiej przypisuje się takie znaczenie poetom, to na pewno nie bez kozery. Tyle, że w atmosferze, wytworzonej przez fałszywą religię dialektycznego materializmu, poezja dusi się i umiera.

A teraz, jeśli ktoś wróci do twierdzenia, że "wierszy prawie nikt nie lubi" i że świat poezji wierszowanej "jest światem fikcyjnym oraz sfałszowanym", zawsze pozostanie pociecha, płynąca ze świadomości, iż śmieszni i nie lubiani nosiciele owych "fikcyj" i "fałszów" wywierali i, mimo wszystko, nadal wywierają potężny wpływ na najbardziej rzeczywistą rzeczywistość.



## Wystawa Józefa Czapskiego

W Galerie Motte w Genewie została otwarta w dniu 27 listopada r. wystawa obrazów i rysunków Józefa Czapskiego.

Jest to pokaz jego dorobku artystycznego z lat ostatnich: 30 płócien olejnych i 65 rysunków.

Daniel Halévy opatrzył katalog wystawy wstępem, który podajemy w tłumaczeniu.

Jakże zastanowiły mnie dwadzieścia a może dwadzieścia pięć lat temu płótna Józefa Czapskiego! Ceniłem w nim człowieka i jego gorące oddanie wszystkim sprawom ludzkim i boskim, ale jego malarstwo było mi obce.

Nigdy nie opuszczałem wystaw, na które mnie zapraszał i błądziłem wtedy pomiędzy ścianami czystych form i barw zadając sobie pytanie: jak się to dzieje że Czapski, tak wrażliwy na więzy łączące go z ludźmi, jest artystą odczuwającym?

Mówiłem mu, należy bowiem do tych przed którymi nic się nie ukryje: "Jakże się będę cieszył, kiedy pewnego dnia zobaczę twarz ludzką przez pana narysowaną."

Ale miałem do czynienia w tej dziedzinie z estetą Montparnassu, którego poglądy nie pozwalały mi niczego się spodziewać.

Nadszedł przecie ten dzień upragniony ale po jakich manowcach, po ilu zwłokach! Piętnaście lat a może i więcej. Józef Czapski wrócił do Polski; już go nie widziałem. A potem nastąpiły wypadki olbrzymie. Dowiedziałem się, że Czapski powołany do armii czynnej wpadł w ręce Rosjan; dowiedziałem się, że zmarł w jakimś konwoju; dowiedziałem się, że był przewodnikiem wielbłądów w Azji Środkowej. Czyli że nie wiedziałem nic, aż do tego popołudnia 1945 roku, kiedy otworzywszy drzwi na czyjeś pukanie ujrzałem wyniosłą postać w mundurze brytyjskim; był to Józef Czapski.

Jeż miał mi do opowiadania ten ocalony, ten przewodnik wielbłądów! Legenda nie była całkiem zmyślona: śmierć — otarł się o nią; wielbłądy — wędrował obok nich; przybywał samolotem z Rzymu, gdzie wkroczył po przebyciu Azji, morza Śródziemnego, Italii, jako żołnierz. Mówił, opowiadał, posiłkując się grubym zeszytem, obracając szybko stronicę, a na tych stronicach spostrzegłem, o dziwo, pośród gryzmołów linii — rysunki, twarze. Mimo tej wizji, tak pośpiesznej, nie mogłem wątpić o ich wartości.

— Oto są te twarze, zawałałem, których się tak domagałem!

— Tak jest, wyjaśnił mi, zapaliłem się do nich w obozach jeńców, w których długo siedziałem, rysowałem moich towarzyszy.

Szczęśliwe nawrócenie: katastrofa zniszczyła doszczętnie montparnassowskie założenia i teorie; wyzwoliła artystę, odnalazłem Józefa Czapskiego bardziej żywego, bardziej godnego siebie aniżeli kiedykolwiek przedtem. Może jego paradoksalne studia miały swoją korzyść; może dla tej młodzieży 1920 roku, po uprzednich szalach pendzli i palety, ascetyczna dyscyplina linii abstrakcyjnej i czystej barwy były konieczne. Ale asceza jest zawsze tylko środkiem, asceza nie jest nigdy celem. Trzeba było może, aby Józef Czapski przyjął tę pierwszą, by móc zdobyć, mając w rękę dziewicze rzemiosło, tę inną wolność. Wolność tę znalazł w obozach powolnej śmierci. Jakiż dały mu one materiał twórczy! Callot widział wojnę Trzydziestoletnią, po nim cóż można było jeszcze dodać na temat klęsk wojennych? Goya widział Wojnę Hiszpańską; po nim co można było dodać na temat okrucieństwa? Ale postęp byłby pustym słowem, gdyby druga wojna światowa nie wzmogła, nie odnowiła tematu niedoli. Ona to stworzyła i zоста-

wiła po sobie te ludy wydziedziczone, które tułając się byłyby wyginęły, gdyby sumienni biurokraci nie osiedlali ich w określonych miejscach, gdzie te tłumy istot, określone algebraicznym znakiem D.P., mogą nie umierać.

Sam Józef Czapski jest również D.P. z 1917, wygnany z domu rodzinnego, z Polski przedrozbiorowej; od 1945 jest on na dobitkę Polakiem proskrybowanym. Dwukrotnie uderzony, oporna ofiara, stał się wędrownym rycerzem nowych pariasów. Ale człowiekiem miłosierdzia nie przynosi żadnego uszczerbku człowiekowi sztuki. Ten sam pionier ożywia obu, rysować, malować, to też dawać. Gdzie by się nie znajdował: w poczekalni gdzie wyczekuje, w sali sądowej, gdzie świadczy, na okręcie, który go wiezie do New Yorku, stolicy dobroczyńców, w pociągu, który go wiezie do Berlina, stolicy katastrofy, ma zawsze w kieszeni szkicownik, ołówek i rysuje.

Tak rzucone zostały na papier liczne tu wystawione rysunki.

Podobnie jest z płótnami: wszystkie powstały z wizji bezpośredniej, z rzeczy, którym Czapski dziś już nie odmawia prawa istnienia dla oczu artysty, prawa wzruszania go. Pejzaże są dziełem tygodni wakacyjnych w Limousin albo w Ile de France, ale punktem wyjścia płócien, które nie są pejzażami jest nieraz tylko rysunek z podręcznego szkicownika. Na przykład ta kobieta w oknie swego wagonu z dzieckiem u kolan, wpatrzonym uważnie w rzeczy i ludzi nieznanego mu świata. Józef Czapski — podróżnik, znalazł się na przeciągu kilku minut w odległości paru tylko metrów od tej koczowniczej kobiety, zamieszkiwał swój pociąg; kobieta z dzieckiem koczowała w innym pociągu; Józef Czapski wciągnął ich najpierw do swego szkicownika, a następnie przeniósł na płótno. Wędrowki i spotkania to doświadczenia wyjętych spod prawa.

Podręczne szkicowniki zawierają plon obfity rzeczy zaledwie dotkniętych przez ich twórcę. Dojrzałem tam fantastyczne kształty, które przybierają w Ameryce budynki przemysłowe; dojrzałem chaos miast niemieckich zgniecionych bombami. Oto, w karnecie szkic z berlińskiego Tiergartenu: pustkowie, na którym wznosi się tu i ówdzie kilka wyniosłych drzew zachowanych od fosforu o dziwnie wylamanych gałęziach. W głębi masa żelazowa spalonego Reichstagu.

Dopiero w XVIII w. artyści nasi zrozumieli wielkość ruin starożytnych. Spodziewajmy się, że współcześni nie będą równie powolni w ocenieniu ruin nowożytnych; spodziewajmy się, że Józef Czapski płótnami swymi utwali materialne wspomnienie tego, co nie powinno być się stać.

Ale uprzedzam wypadki, proszę mi to wybaczyć. To co jest rozwieszane na tych ścianach żąda naszej uwagi i starczy by ją nasycić.

Daniel HALEVY.

## KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU

WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezpłatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:  
Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4



## *Straty Kultury Polskiej*

### Wspomnienie o Adamie Rose

Adam Rose był jednym z tych Polaków, którzy wywarli duży wpływ na politykę gospodarczą Polski przedwojennej. Jeśli ktokolwiek w przyszłości będzie pisał historię gospodarczą Polski, to, niewątpliwie, nie będzie mógł pominąć roli Adama Rosego w tym okresie.

Duże zdolności, gruntowne wykształcenie, patriotyzm, pasja pracy i realizacji składały się na sylwetkę Adama Rosego.

Wchodząc na nowy teren pracy, wprowadzał zawsze nowe koncepcje, dynamizował środowisko swoim zapałem, wprowadzał nowy styl pracy i zmuszał swoich współpracowników do nieustannego wysiłku nad zwiększeniem obowiązkowości i podnoszeniem kwalifikacji zawodowych.

Do szkół średnich Adam Rose chodzi w Poznaniu (1905-1914). Bierze żywy udział w pracy niepodległościowej i w ciągu ostatnich lat szkoły średniej kieruje tajną organizacją niepodległościową młodzieży im. Tomasza Zana. Organizacja ta była jednym z członów znanej organizacji niepodległościowej "Zet".

Studia wyższe odbywa na Uniwersytecie w Berlinie, a następnie na Uniwersytecie w Jenie (1915 - 1918). W Polsce niepodległej robi doktorat u Władysława Grabskiego (1921). Był to pierwszy doktorat, jaki został zrobiony przy katedrze Władysława Grabskiego i, zdaje się, w ogóle pierwszy doktorat, jaki został zrobiony w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. W szereg lat później (1928) habilituje się na Politechnice Lwowskiej.

Adam Rose bierze czynny udział w Powstaniu Wielkopolskim. Działa, wraz ze swoim przyjacielem Bogusławem Łubieńskim, w powiecie szamotulskim.

W 1920 r. wyrusza na front ze swoim młodszym bratem, Jerzym. W pierwszej bitwie, w której biorą udział, brat jego ginie.

W bogatej i wszechstronnej działalności Adama Rosego, jako człowieka dojrzałego, można rozróżnić trzy główne okresy:

przypadający na lata dwudzieste, w którym zajmuje się on zagadnieniami socjalnymi, w szczególności zagadnieniami socjalnymi w rolnictwie; okres drugi, a więc wczesne lata trzydzieste, w którym wywiera silny wpływ na kształtowanie polityki rolnej w najszerszym tego słowa znaczeniu; i wreszcie, okres trzeci, przypadający na późniejsze lata trzydzieste, to okres kształtowania polityki przemysłowej.

Ponieważ tu, na emigracji, brak jest odpowiedniej dokumentacji, nie jestem w stanie dać z pamięci szczegółowego przeglądu działalności Adama Rosego. Muszę, niestety, ograniczyć się do ogólnej charakterystyki.

W latach 1918 - 1921 Adam Rose, pracuje w Ministerstwie Rolnictwa. W tym czasie oraz w latach 1921 - 1922, w których pracuje w Międzyn. Biurze Pracy w Genewie, wywiera on wielki wpływ na ukształtowanie systemu umów zbiorowych pomiędzy pracownikami a pracodawcami w rolnictwie. Jest jednym z głównych autorów ustawy z 1919 r. o załatwianiu zatargów zbiorowych pomiędzy pracownikami a pracodawcami. Następnie, bierze żywy udział w organizowaniu — w oparciu o tę ustawę i parę innych, zbliżonych aktów prawnych — arbitrażu i umów zbiorowych w rolnictwie. Ze względu na wielką różnorodność stosunków, panujących w rolnictwie na terenie Polski, nie można było uregulować ustawowo, jednolicie na terenie całego państwa, wiele zagadnień socjalnych w rolnictwie. Punkt ciężkości reglamentacji w tej dziedzinie został przesunięty na umowy zbiorowe. Umowa zbiorowa była instrumentem bardziej elastycznym, można było w niej uwzględnić różnorodność warunków. Stopniowe udoskonalanie umów zbiorowych i rozszerzenie ich zakresu prowadziło w okresie między wojnami do coraz większego rozwoju opieki społecznej w rolnictwie. Na przykład, na podstawie umów zbiorowych, a nie aktów ustawodawczych, zostało wprowadzone ubezpieczenie chorobowe w rolnictwie. Niewątpliwie, o rozwoju opieki społecznej w rolnictwie zadecydowało stworzenie właściwego systemu wyjściowego, a zasługa Adama Rosego była tu bardzo duża.

Głównie na wczesny okres działalności Adama Rosego przypada jego większe prace ekonomiczne. Pierwszą z nich była, wydana w 1918 r. w Poznaniu, rozprawa o zagadnieniu pracy w rolnictwie na terenie Wielkopolski. W trzy lata później (1921) pisze o bilansie handlowym ziem polskich byłego zaboru pruskiego. W tymże 1921 r. publikuje rozprawę o reformach rolnych w Europie środkowej; ukazuje się ona również w języku francuskim. W 1924 r. wychodzi po francusku jego rozprawa o problemie agrarnym w Polsce. Te dwie, wymienione ostatnio, prace są po dziś bardzo często cytowane w literaturze międzynarodowej. Na przykład, figurują one z przychylnymi adnotacjami w amerykańskich wydawnictwach bibliograficznych.



Mówiąc o pracach Adama Rosego, na temat problemów agrarnych, pragnąłbym wspomnieć o jego stanowisku w sprawie reformy rolnej. Adam Rose nie był jej przeciwnikiem. Uznawał jej społeczną i gospodarczą konieczność i celowość. Uważał jednak, że reforma rolna, rozpatrywana z punktu widzenia kapitalnego problemu, jakim był problem przeludnienia rolnictwa, jest zabiegiem kosmetycznym. Pracując nad zagadnieniami rolniczymi, i później, gdy się już nimi bezpośrednio nie zajmował, zawsze twierdził, że uzdrowienie stosunków społeczno-gospodarczych w rolnictwie możliwe jest tylko przez rozwój przemysłu. Gdy organizował system interwencjonizmu antykrzysowego w zakresie rolnictwa, nie przestawał twierdzić, że każdy złoty wydany na rozwój przemysłu przynosi rolnictwu niewspółmiernie większe korzyści niż akcja bezpośrednia — ratowania rolnictwa. Tym niemniej, był promotorem interwencjonizmu antykrzysowego w rolnictwie. Uważał, że w braku czynnej polityki na odcinku przemysłowym — interwencjonizm ten jest koniecznością. Nb. sądzę, że Adam Rose był jednym z pierwszych ludzi w Polsce, którzy wysuwali zasadę planowej rozbudowy przemysłu przy pomocy planowej mobilizacji zasobów wytwórczych.

Wracając znów do dorobku pisarskiego Adama Rosego, pragnę przypomnieć jego dalsze prace. Jedna z nich, o międzynarodowej organizacji pracy, ukazuje się w 1923 r. w Warszawie, druga — o ochronie przemysłu rolnego w ustawodawstwie o reformie rolnej, publikowana jest również w Warszawie w 1927 r. W czasie wojny wydaje w Szwajcarii, w języku francuskim, pracę o polityce polskiej między wojnami oraz bierze czynny udział w redagowaniu 3-tomowej encyklopedii w Polsce. Encyklopedia ta ukazała się w języku francuskim w Szwajcarii.

Objęcie przez Adama Rosego stanowiska Dyrektora Departamentu Ekonomicznego w Ministerstwie Rolnictwa zbiega się, mniej więcej, z początkami kryzysu rolnego, który w latach trzydziestych przekształca się w przewlekłą depresję.

Pamiętam dobrze Adama Rosego w tym okresie. Pamiętam lata gorączkowej pracy z zupełnym zaniedbaniem wypoczynku i zdrowia. Dzień pracy musiały mieć chyba 48 godzin, by Adam był zadowolony. A i to nie wiem, czy i wówczas byłby zadowolony. Jestem pewien, że wkrótce wypęłniły go całkowicie swoją intensywną, dobrze zorganizowaną, wydajną pracą. Na ten nieustanny, ogromny wysiłek zdobywał się człowiek, który od bardzo wielu lat miewał, niemal stale, straszliwe migreny, wywołane zbyt wysokim ciśnieniem, chorobą, która spowodowała jego przedwczesną śmierć (umarł w Paryżu 9 listopada br.).

Organizując politykę gospodarczą Polski w dziedzinie rolnictwa w dobie kryzysu i depresji, Adam Rose musiał zajmować stanowisko, że tak powiem, "resortowe". Uważał, jak już mówiłem, że ratunkiem dla rolnictwa byłby rozwijający się przemysł, który wchłonąłby ludność rolniczą i przyczynił się do wzrostu pojemności rynku na artykuły rolnicze. Skoro jednak w dziedzinie polityki przemysłowej panowała pasywność, nale-

żało iść drogami, na jakie pozwalały — czy to w zakresie perswazyji międzyministerialnej, czy też w zakresie bezpośredniej decyzji — kompetencje resortowe Ministra Rolnictwa.

Adam Rose dąży do tego, by problemy rolnicze — jakże liczne, różnorodne i skomplikowane — stały się przedmiotem poważnych rozpraw i dyskusji. Dąży do podbudowy intelektualnej polskiej polityki rolnej. W tym celu tworzy miesięcznik "Rolnictwo" (1928), w którym stara się skupić wszystkich Polaków, pracujących nad zagadnieniami rolniczymi. Jeśli dziś ktokolwiek chce poznać tę dziedzinę życia Polski przedwojennej, w obszernych tomach "Rolnictwa" znajdzie nieocenione bogactwo materiałów — przyczynków i informacji. Wiele rozpraw, które ukazały się w "Rolnictwie", posiada nieprzemijającą wartość naukową. Między innymi, o ile mnie pamięć nie myli, pierwszy raz na łamach "Rolnictwa" ukazały się rozdziały pracy Władysława Grabskiego pt. "Wieś i folwark". Również w "Rolnictwie" Józef Poniatowski ogłosił po raz pierwszy swoją pracę o przeludnieniu wsi i rolnictwa, pracę, która należy do wielkich pozycji przedwojennej literatury naukowej. Niewątpliwie, "Rolnictwo" wywołało olbrzymi ferment intelektualny w dziedzinie problemów rolniczych. Spełniło zadania, dla których stworzył je Adam Rose.

Adam Rose był twórcą "Bloku Rolnego, tj. porozumienia państw rolniczych Europy środkowo-wschodniej i południowej.

Koncepcja "Bloku Rolnego" cpierała się na następujących przesłankach.

Państwa rolnicze Europy cierpią na przeludnienie rolnicze i małą pojemność rynku wewnętrznego na artykuły rolne. Konkurencja zamorska wypiera je z rynków Europy uprzemysłowionej. Ponadto, dostęp na te rynki utrudnia rosnący protekcjonizm agrarny. Tego rodzaju tendencje re-agraryzacji są wynikiem kryzysu przemysłowego — trudności w zakresie zbytu zagranicznego artykułów przemysłowych.

Pogłębienie europejskiej współpracy gospodarczej mogłoby przynieść korzyści obustronne, zarówno Europie rolniczej, jak i przemysłowej. Stworzenie sytuacji preferencyjnej dla produkcji Europy rolniczej na rynkach Europy przemysłowej rozszerzyłoby możliwości zbytu produktów Europy przemysłowej w europejskich krajach rolniczych. Na długą metę współpraca ta mogłaby prowadzić do aktywnego udziału europejskich krajów przemysłowych w inwestycjach w Europie rolniczej. Rozładowanie przeludnienia rolniczego, dzięki tym inwestycjom, i podniesienie dochodu społecznego krajów Europy rolniczej zwiększyłoby pojemność rynków tej Europy na produkty przemysłowe Zachodu.

Koncepcja "Bloku Rolnego", którego Adam Rose był inicjatorem i promotorem, jako sekretarz generalny, była niezmiernie bliska dzisiejszym koncepcji integracji gospodarki europejskiej.

Adam Rose włożył ogromnie dużo energii i trudu w rozwój



działalności "Błoku Rolnego". Bierze udział w szeregu międzynarodowych konferencji, poświęconych tym prawom. Niestety, akcja ta — w założeniach słuszną — nie mogła się powieść. Interesy pozaeuropejskie Europy przemysłowej były główną przeszkodą w jej realizacji. Tym niemniej, skutki pośrednie tej akcji były duże. Niewątpliwie, wpłynęła ona na korzystniejsze traktowanie eksportu Europy rolniczej przez państwa Europy przemysłowej. W wielu wypadkach państwa rolnicze poprawiły swoją sytuację traktatową wobec państw przemysłowych.

W 1935 r. Adam Rose przechodzi na stanowisko Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Podlegają mu sprawy górnictwa, hutnictwa i przemysłu.

Na tym stanowisku, tak, jak na każdym innym, które w swym życiu zajmował, rozwija niezmiernie intensywną działalność.

Wychodzi z założenia, że dotychczasowe organizacje poszczególnych gałęzi przemysłu nie są dostosowane do problemów dynamiki rozwojowej danego przemysłu. Sprawa obrony "wested interests" (bez względu na to, czy mamy do czynienia z organizacją typu kartelowego, czy też inną) dominuje nad problemami akcji, zmierzającej do modernizacji nowych inwestycji, specjalizacji zakładów wytwórczych, obniżania kosztów, organizacji zbytu itp.

Dąży do utworzenia nowego typu organizacji, które byłyby zdolne i obowiązane do podjęcia wspomnianych zagadnień dynamiki rozwojowej. Koncepcja Adama Rosego była identyczna z koncepcją, jaką po wojnie podjęły przemysłowe organizacje branżowe w Wielkiej Brytanii, opracowując i realizując wspólne dla całej brazy programy zdynamizowania rozwojowego danych gałęzi wytwórczości.

Z inicjatywy Adama Rosego, jako pierwsza, powstaje Komisja Hutnicza, która opracowuje program rozwoju polskiego hutnictwa. Program ten miał być wprowadzony w życie przez Naczelną Organizację Hutnictwa, która została powołana po ukończeniu prac Komisji.

Prace Komisji Hutniczej miały być następnie naśladowane przez inne dziedziny przemysłu; częściowo były już nawet rozpoczęte.

Inicjatywa Adama Rosego nabrała specjalnego wyrazu w związku ze zbliżającymi się wypadkami wojennymi. Staje się aktualne posiadanie przez poszczególne branże przemysłu aparatu organizacyjnego, który byłby zdolny do podjęcia wspólnych zadań przygotowania do wojny (zapasy surowców, rezerwy wyrobów gotowych, problem siły roboczej itp.). W 1939 r. koncepcja Adama Rosego zrealizowana jest we wszystkich branżach przemysłu. Organizacje branżowe, które w załączku powstały przed wojną, w momencie jej wybuchu przekształcają się w naczelną organizację branżową, o bardzo dużych pełnomocnictwach w stosunku do należących do nich przedsiębiorstw.

Po klęsce wrześniowej, Adam Rose znalazł się we Francji. W Paryżu daje inicjatywę zorganizowania komitetu, złożonego z

merów stolic świata, który zająłby się zbiórką funduszy na odbudowę Warszawy, zniszczonej przez niemieckie bomby. Dla swojej inicjatywy udaje mu się zjednać, między innymi, Lorda Mayora Londynu. W tym okresie wyklada na Uniwersytecie Polskim Zagranicą w Paryżu, zorganizowanym przez Rektora Prof. Oskara Haleckiego. Muszę tu dodać, że w latach 1929 - 1939 Adam Rose wykladał politykę agrarną i politykę handlową na kilku wyższych uczelniach w Polsce.

Po upadku Francji w 1940 r. spotykam Adama Rosego w Tuluzie. W tym czasie — lipiec i sierpień 1940 r. — jeszcze lepiej poznaję prawdziwego Adama.

Tuluza jest przepełniona polskimi uchodźcami — cywilnymi i wojskowymi — bez dachu nad głową, głodnymi, bez pieniędzy i dokumentów. Poprzedni konsul został ewakuowany, jego następcą jest zajęty wielką polityką. Adam Rose ochotniczo pracuje w konsulacie od świtu do nocy: ma czas na rozmowę z każdym, dla każdego ma jakąś radę, każdemu śpieszy z pomocą, chociaż środki, którymi dysponuje, są bardzo skromne; broni przed władzami.

Do 1943 r. przebywa we Francji, organizując opiekę nad polskimi uchodźcami.

W 1943 r., poszukiwany przez Gestapo, chroni się do Szwajcarii, gdzie spędza ostatnie lata wojny, pracując dla Rządu R.P. w Londynie.

W 1945 r. decyduje się na powrót do Polski. Motywem powrotu było gorące pragnienie wzięcia czynnego udziału w odbudowie kraju. Miał nadzieję, że pomimo warunków politycznych, w jakich Polska znalazła się po wojnie, będzie mógł dla niej pożytecznie pracować. Jedzie z nadzieją, że będzie mógł wyzyskać swoje doświadczenie i wiedzę dla zorganizowania stosunków gospodarczych Polski z Zachodem, że będzie mógł — w ograniczonym zakresie — przeciwdziałać izolacji Polski od Zachodu.

Dorobkiem Adama Rosego po wojnie było nawiązanie stosunków handlowych Polski z Belgią, Francją, Włochami, krajami Skandynawskimi i ze Szwajcarią. Dorobek ten, gdyby nie był niweczony przez komunistyczne kierownictwo polityki gospodarczej Polski, niewątpliwie, byłby dorobkiem dużym.

Planowe wzmocnienie izolacji Polski i zagrożenie osobiste nie pozwoliło Adamowi na kontynuację jego wysiłków. W końcu 1949 r. emigruje powtórnie.

Relacje, pełne a bezstronne, jakie dają dziś ludzie, którzy przybyli z kraju, a którzy obserwowali tam Adama Rosego w latach 1945 - 1949, pozwalają nam na jasne wyrobienie sobie poglądu również i na ten okres jego życia. W latach tych pracował ciężko nad odbudową swego kraju. Za pracę tę był wynagradzany upokorzeniami i zagrożeniem wolności osobistej. Nie szukał zaszczytów i nie spotykały go zaszczyty.

Ostatnie lata swego życia poświęca sprawie wyzwolenia krajów Europy środkowo-wschodniej od zależności od Rosji, sprawie ich przyszłej federacji i najściślejszej współpracy z krajami Eu-



ropy zachodniej. Wygłasza wiele odczytów na ten temat w zachodnio-europejskich ośrodkach naukowych i politycznych. Między innymi, wielkie wrażenie wywołuje jego argumentacja w odczycie, który wygłosił w marcu w 1951 r. w paryskiej Academie des Sciences Morales et Politiques.

Śmierć Adama Rosego jest bolesnym ciosem dla jego przyjaciół.

Przede wszystkim jednak śmierć ta jest wielką stratą z punktu widzenia sprawy polskiej, która potrzebuje wiedzy, zdolności, doświadczenia i energii twórczej Adama Rosego — tu, na emigracji — dla obrony interesów Polski, a w przyszłości — dla organizacji jej niepodległego bytu państwowego.

Stanisław GRYZIEWICZ.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

*jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.*

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogół. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau  
US Zone, Germany.

## Książki

### Stalin i nowa koncepcja historii Rzymu

Dla tych ludzi, których interesuje pytanie jaka kultura powstaje na Wschodzie za Żelazną Kurtyną, książka M. A. Maszkina ("Historia Starożytnego Rzymu", wydana w Moskwie w 1948, a obecnie w Polsce), przedstawia prawdziwe odkrycie. Jaskrawo ukazuje ona poziom na jakim stoi nauka w Związku Sowieckim. Odstania też kierunek myśli historyków sowieckich i tę atmosferę społeczno-intelektualną i moralną, w której tworzy się tam nauka. Wskazuje również na polityczne i personalne czynniki, z których istnieniem nauka ta musi się liczyć.

Nauka historii, a w szczególności badania starożytności klasycznej, jest wspólną sprawą wszystkich cywilizowanych narodów świata. Chociaż Związek Sowiecki chciałby odgrodzić się od tego świata politycznie, nie może on definitywnie przeciąć kulturalnych związków jakie istnieją od ponad 200 lat. Na zie czy na dobre historia powszechna jest wykładana w sowieckich szkołach, bada się ją w uniwersytetach i akademiach. Historycy sowieccy pracują po swojemu nad ogólno-ludzkimi zagadnieniami. Oczywiście po swojemu. Gdyż w tej pracy zajmują oni szczególnie stanowisko, jak sami sądzą, wyjątkowo wygodne: przecie tylko oni władają ściśle naukową metodą — "marksizmem" — i dlatego tylko im dane jest odkrywać pełną i niewzruszoną naukową prawdę.

To wysokie mniemanie o marksizmie i nauce sowieckiej wyraziło się, jak łatwo zgadnąć, i w książce Maszkina. W zarysie

N. A. MASZKIN, *Historia Starożytnego Rzymu*, Warszawa, 1951, wyd. "Czytelnik".



rzymskiej historiografii, stanowiącym drugi rozdział książki, wypowiada on zdanie, że tylko Marks i Engels "dali początek p r a w d z i w i e n a u k o w e m u p o j m o w a n i u historii" (str. 42, podkr. autora). Sytuację historyków sowieckich Maszkin uważa za wyjątkowo pomyślną. "Wielka Październikowa rewolucja socjalistyczna — powiada — stworzyła wszelkie warunki dla płodnego rozwoju naukowych badań" (str. 54). "Teoria marksizmu i leninizmu — powtarza jeszcze raz — i te warunki w jakich znajduje się nauka w Związku Sowieckim zapewniają płodny rozwój rzymskiej historiografii i krytyczne oświetlenie tego ogromnego dziedzictwa jakie postawił nam świat antyczny..." (str. 58).

W ten sposób Maszkin od razu wystawia czytelnikowi weksel na siebie i na naukę sowiecką. Zobaczmy jak będzie go spłacał.

Zanim przejdziemy do treści książki kilka słów o jej zewnętrznej wyglądzie. Jest to okazały tom liczący 679 stron, in octavo, wydany z pretensją do solidnego europejskiego wyglądu, naturalnie w miarę sowieckich możliwości. Książka jest zaopatrzona w liczne ilustracje, przedrukowane ze znanych zagranicznych wydawnictw: Rostowcewa, Grenier i in. Niestety, niezbyt dobry papier odbiera wartość rysunkom, nadając im rozpiwający się i mgły wygląd. Każdy rozdział zaopatrzony jest w bibliografię, jednak co najmniej niepełną i często przypadkową; skorowidz nazwisk i przedmiotów na końcu tomu zawiera nawet nieistotne szczegóły, ale wzamian za to grzeszy ważnymi opuszczeniami o czym powiemy poniżej. Dodane do tomu mapy mają mało związku z tekstem. Ogromny nakład 50.000 egzemplarzy i niezwykle niska cena — 18 rubli, świadczą o życzeniu wydawców, aby rozpowszechnić jak najszerzej znajomość historii Rzymu w interpretacji Maszkina.

Mając na względzie podaną wyżej pochlebną ocenę teorii marksizmu-leninizmu, mielibyśmy pełne prawo oczekiwać iż znajdziemy w jego książce naprawdę marksistowską konstrukcję historii Rzymu, jakiej nie ma w zachodniej historiografii. Tym większe jest nasze rozczarowanie. Chociaż książka upstrzona jest powoływaniami się na Marksa i "klasyków marksizmu-leninizmu", ani w filozoficznej konstrukcji rzymskiej historii, jaką podaje, ani w ułożeniu i wzajemnym związku faktów, rzeczywistego marksizmu nie ma ani na jotę. Przecież dać naprawdę marksistowskie pojmowanie historii Rzymu, znaczyłyby objaśnić jego ustrój społeczny i polityczny, życie rodzinne i kulturę, jego rozwój wewnętrzny i zewnętrzny — ekonomiką i w szczególności jego "stosunkami produkcyjnymi". Jeżeli szczupłość źródeł nie pozwala na taką konstrukcję w pełni, to wypadałoby aby historyk sowiecki, w imię Marksa chociaż

tego próbował. Zrobił przecie w swoim czasie analogiczną próbę Fustel de Coulanges na podstawie swojej oryginalnej socjologicznej koncepcji, co prawda jaskrawo idealistycznej. Jego znakomite "Cité Antique" przy całej swojej jednostronności, pozostaje dotychczas arcydziełem historycznej syntezy.

Niczego podobnego nie znajdujemy w książce Maszkina. Jest ona ułożona według przyjętego poprzednio w "burżuazyjnej" nauce kanonu, według którego przygotowuje się podręczniki dla uniwersyteckich wykładów. Treść obejmuje wypadki i zjawiska, zaczynając od czasów Romulusa, a kończąc upadkiem zachodniego rzymskiego imperium w r. 476. Rozłożenie materiału jest zupełnie niedołążne: zewnętrzna historia oddzielona jest od wewnętrznej co zaciemnia wzajemne uwarunkowanie obu. Ustrój państwowy, stosunki społeczne, gospodarka, kultura duchowa są rozpatrywane w osobnych rozdziałach, po przedstawieniu wewnętrznego i zewnętrznego rozwoju w każdym okresie. Dzięki temu czytelnik zaznajamia się z charakterem instytucji i urzędów, a także grup społecznych znacznie później niż zapoznał się z nimi jako uczestnikami wydarzeń.

Sposób przedstawienia na przestrzeni książki nie jest jednolity. Opowiadanie o okresie królewskim i wczesnej republiki przedstawia kompilację z krótko streszczonych źródeł, często niesprawdzonej rzymskiej tradycji i z rezultatów współczesnej nauki, używanych przez naszego autora dogmatycznie, jakby były powszechnie przyjętymi prawdami. Jednak równocześnie z tym tokiem opowiadania, zawartym we właściwym tekście książki mamy drobny druk, w którym autor podaje liczne, często sprzeczne, domysły uczonych dotyczących trudnych zagadnień historii rzymskiej, jak początek Rzymu, nazwiska i osoby królów, pochodzenie plebsu, prawa Licyniusa i Sekstiusa. Być może, że Maszkin przez to chce nadać swojej książce charakter głębokiej "erudycji". Niczego jednak nie daje, aby wyprowadzić czytelnika z labiryntu sprzecznych domysłów i przez swój sposób wykładu nie pozwala mu stanąć na twardym gruncie historycznej rzeczywistości.

Dalej, zaczynając od epoki italskiego podboju, wykład ma charakter dogmatyczny, przy czym rzadko i tylko przypadkowo wspomniane są rozbieżności w poglądach historyków, np. o pierwszej wojnie samnickiej (str. 109). Niezrozumiałe jest dlaczego nasz autor nadaje takie znaczenie właśnie temu paktowi i równocześnie uchyla się od krytycznego rozpatrzenia również ważnych problemów jak ruch Grachów, Liwiusza Druza Młodszego, ustawodawstwo Sully i tak dalej. Wszystkie te wypadki podane są czysto dogmatycznie. Tylko w rozdziałach o działalności Cezara i o pryncypacie Augusta znów przytoczone są sprzeczne opinie współczesnych historyków, przy czym i tutaj Maszkin nie daje czytelnikowi żadnego oparcia dla ich krytycznej oceny.

W książce "sowieckiego" historyka szczególnie nas uderza



nieznaczna rola przypisywana ekonomice. Autor nie tylko nie daje choć odrobiny żywego Rzymu w jego aspekcie ekonomicznym, do czego dobrze by mu posłużyły znakomite ekonomiczne historie Rzymu Tenney Trank'a i Rostowcewa, ale i biorąc rzecz czysto zewnętrznie poświęca w całej książce faktom życia gospodarczego jedynie osiemnaście stron. A przy tym poświęca faktom kultury duchowej całych osiemdziesiąt stron. Ekonomika jest całkowicie opuszczona również w skorowidzu przedmiotowym. Nie ma w nim tak ważnych terminów jak "produkcja", "przemysł", "rzemiosło", "praca", "kapitał", "rolnictwo", "handel", itd. Jest za to masa prawniczych odsyłaczy, jak "emptio-venditio", "usucapio" i in. Wreszcie, w książce nie ma nawet usiłowania, aby zgodnie z marksistowskim tematem przedstawić fakty kultury duchowej jako "nadbudowę" nad ekonomiczną bazą. Tylko raz znajdujemy nagie twierdzenie, że "społeczno-ekonomiczny rozwój w wiekach III i II-gim stworzył w Rzymie przesłanki dla rozwoju kultury" (str. 190). Jednak w dalszym opisie tej kultury Maszkin wykazuje wpływ na nią Grecji, a o wpływie ekonomiki — ani słowa. Czyż nie dowodzi to wszystko, że myślenie Maszkina dalekie jest od "materializmu ekonomicznego"?

To, co powiedziano wyżej nie oznacza jednak, że książce Maszkina brak jakiegokolwiek filozoficznej koncepcji. Taka koncepcja istnieje, daje ona znać o sobie nawet całkiem głośno, zawiera się jednak nie w układzie i w ukształtowaniu faktów, ale w formie deklaracji jakie wypowiada autor zaczynając od pierwszych stron książki. Maszkinowska "idea Rzymu" nie wypływa z toku opowieści, jest ona jak etykieta, przyklepiona z zewnątrz.

Już na pierwszej stronie książki, we wstępie, Maszkin określa Rzym jako "społeczństwo i państwo władające niewolnikami". Na przykładzie jego historii, powiada, "można śledzić powstanie, rozkwit i upadek społeczeństwa i państwa opartych na władaniu niewolnikami, w ich najlepiej rozwiniętych klasycznych formach" (str. 1). Tamże w ostatnich słowach swego wstępu krótko streszcza istotę wewnętrznej ewolucji Rzymu i przyczynę jego upadku: "W epoce rozkwitu rzymskiej potęgi sposób produkcji, oparty na pracy niewolniczej dosięgnął wyższego stopnia rozwoju. Walka między niewolnikami i wolnymi, między biednymi i bogatymi, toczyła się w Rzymie w ciągu wielu stuleci, konflikty polityczne nieraz prowadziły do wojen domowych. Upadek rzymskiego imperium spowodowany był przez kryzys niewolniczego sposobu produkcji; jego rozpad był przyspieszony przez walkę klasową. Rewolucja niewolników zlikwidowała właścicieli niewolników i zmieniła formę eksploatacji pracujących, opartą na niewolnictwie. W łonie społeczeństwa władającego niewolnikami rodził się już nowy sposób produkcji"

(str. 2). Ta tyrada jest w istocie prawdziwym galimatiasem pozbawionym sensu. Zgodnie z samym Maszkinem "niewolniczy sposób produkcji" tym właśnie się odznacza, że nie ma rozwoju, to jest stoi w miejscu. Poza tym Maszkin nigdzie w swojej książce nie pokazuje co oznacza właściwie "kryzys niewolniczego sposobu produkcji". Nie o to jednak chodzi. Ważne jest, abyśmy wskazali tu na rolę jaką Maszkin przypisuje niewolnictwu i wspomnianej przez niego jakiejś "rewolucji niewolników".

Ta wzmianka powinna zaciekawić każdego czytelnika, choć by trochę znającego historię Rzymu. Ani źródła, ani nowocześni uczeni nie wspominają nic o fakcie "rewolucji niewolników". Fakt ten jest "odkryciem Stalina", na którego powołuje się tutaj Maszkin. W ten sposób idea, że Rzym przedstawiał sobą "władające niewolnikami społeczeństwo i państwo", które zginęły wskutek "rewolucji niewolników" jest stworzona przez Maszkina, zgodnie ze "wskazaniem" Stalina.

Tutaj należy niezbędnie wyjaśnić nieoświeconemu czytelnikowi jak zdarzyła się ta dziwna ingerencja "ojca narodów" w dziedzinę historii antycznej.

Po zwycięskim przeprowadzeniu kolektywizacji wsi rosyjskiej, w Moskwie, 19 lutego 1933 roku otwarty został pierwszy wszechzwiązkowy kongres kolchoźników-przodowników pracy. W agitacyjnej mowie, wygłoszonej na otwarciu, Stalin zrobił historyczny przegląd, z lotu ptaka, kolejnych form eksploatacji pracujących, form które obalały jedną drugą drogą rewolucji, aż dopóki rewolucja październikowa nie skończyła ze wszelką w ogóle eksploatacją. Tutaj właśnie Stalin wygłosił wspomniane wyżej zdanie o "rewolucji niewolników", która zlikwidowała właścicieli niewolników u schyłku rzymskiego imperium.

Nie ma potrzeby rozwodzić się tutaj o niedorzeczności "wypowiedzi" Stalina. Powtarzamy, że o żadnej rewolucji niewolników w Rzymie nauka nic nie wie. W swoich agitacyjnych i politycznych celach Stalin nie robi ceremonii z faktami. Ale w Związku Sowieckim przyjmuje się każde jego słowo jako prawo i rzeczywistość niewymagającą dowodów. Wymyślony przez Stalina fakt przybrał szatę filozofii historii w książce Maszkinna.

Zgodnie z tą koncepcją Maszkin ogłasza, że "z a s a d n i c z ą s p r z e c z n o ś c i ą r z y m s k i e g o n i e w o l n i c z e g o s p o ł e c z e ń s t w a" była normalnie "s p r z e c z n o ś ć p o m i ę d z y n i e w o l n i k a m i i w ł a ś c i e l a m i n i e w o l n i k ó w" (str. 186, podkreśl. autora, także str. 210). W związku ze swoją zasadniczą tezą Maszkin powiedział o niewolnictwie nie mało wszelkiego rodzaju głupstw. Tak np. według niego jednym z głównych celów wojen punickich było "zdobycie niewolników" (str. 156). To, że Katon w swoich rolniczych radach milczy o udosko-



naleniu rolniczych narzędzi, objaśnia się rzekomo "niewolniczym sposobem produkcji" (str. 187); ze słów Maszkińskiego, jakoby dyktatura wojenna, która obaliła republikę, w pierwszym rządzie powstała "dla walki ze zbuntowanymi niewolnikami" (str. 258). Wszystkim ruchom niewolników i w szczególności dwóm powstaniom niewolników na Sycylii w drugim wieku i buntowi Spartakusa w 75 r. przed Chr. stara się nadać r e w o l u c y j n e znaczenie, chociaż takie pojmowanie obala sam swoimi opisami tych powstań, opisami zgodnymi z tym co o tym mówią "burżuazyjni" historycy. Mówiąc o Spartakusie, Maszkiński sam przyznaje, że "nie stawiał sobie za cel, pełnego obalenia niewolnictwa" (Str. 266). Nie mniej Maszkiński i tu nie porzuca swojej idei "rewolucji niewolników", twierdząc, że "istotną przyczyną porażki (Spartakusa) był brak w tym momencie przesłanek do rewolucji niewolników". Broniąc swojej tezy, Maszkiński wchodzi w konflikt z samym Leninem, który zupełnie prawidłowo patrzy na powstania niewolników. Oto jego słowa, przytoczone przez Maszkińskiego: "niewolnicy, jak wiemy, powstałi, urządzali bunty... nigdy jednak nie mogli... jasno zrozumieć do jakiego celu idą i nawet w najbardziej rewolucyjnych momentach historii okazywali się pionkami w rękach rządzących klas". "Ale — dodaje tu już od siebie Maszkiński — "tym niemniej powstania niewolników w oparciu na pracy niewolników ustroju, pogłębiały kryzys zbudowanego na niewolnictwie społeczeństwa i przyspieszały proces jego rozkładu" (str. 209).

Jeżeli Maszkiński stara się tutaj osłabić znaczenie słusznych uwag Lenina, dzieje się to dlatego, że za wszelką cenę musi podtrzymać stalinowską ideę "rewolucji niewolników".

Skoro "rewolucja niewolników" jest kardynalnym faktem w historii rzymskiej, nieznanym "burżuazyjnym" historykom i skoro ponadto stanowi ona wiekopomne "odkrycie" Stalina, powinna byłaby być opisana przez Maszkińskiego jasno, dokładnie i szczegółowo, aby mogła wejść do światowej nauki historii jako "osiągnięcie" przynoszące chlubę nauce sowieckiej.

Nie ma niczego podobnego w książce Maszkińskiego! Jak widzieliśmy, od pierwszej strony wstępu mówi o tej "rewolucji" jako o finale rzymskiej historii, a nieraz wspomina ją w tekście książki. Kiedy jednak wreszcie wykład jego dochodzi do tego wydarzenia, znajdujemy puste miejsce. Co prawda formalnie Maszkiński stara się wypełnić tę lukę przy pomocy krótkiego paragrafu w ostatnim rozdziale, o rozmiarze nieprzekraczającym dwóch i pół strony. Ale w nim nie o p i s u j e "rewolucji niewolników", tylko zajmuje się o k r e ś l e n i e m jakie fakty ostatnich wieków imperium da się zaliczyć do tej kategorii. Jednakże fakty okazują się zawodne, a w ich chronologii płacze się sam Maszkiński. Tu odnosi ją do wieku IV i V-go, ale nieco wyżej (str. 539) odnosi jej początek do III-go wieku to jest rozciąga ją na trzy stulecia. Okazuje się, że przez "rewolucję

niewolników" należy rozumieć różne ruchy wiejskiej biedoty, głównie kolonów, na kresach Imperium, to jest ruchy niezwiązane ze sobą ni miejscem ni czasem, ni celami. Konkretnie, są podane dwa takie ruchy: jeden w IV w., drugi w V w. Dalej Maszkiński przyznaje, że ruchy te "dążyły do wskrzeszenia patriarchalno-gminnych porządków", to jest były reakcyjne, a tylko "obiektywnie" sprzyjały rozpadowi niewolniczego państwa (str. 581). Tutaj niemały kłopot: to państwo dawno już przestało być "władające niewolnikami" i wykazywał to już poprzednio sam Maszkiński. Już w pierwszym wieku imperium niewolnicy zaczynają maleć liczbowo; słowami Engelsa Maszkiński powiada, że niewolnictwo "przeżyło siebie" (str. 423, 457). Po niewolnictwie przyszedł kolonat. Jakaż może być rewolucja n i e w o l n i k ó w, jeżeli niewolników prawie nie zostało? Ale przyznać to — znaczyło by rzucić Stalinowi wyzwanie. I tu Maszkiński znajduje wyjście w ten sposób, że swój paragraf o rewolucji zaopatruje w tytuł "Rewolucja Niewolników i Kolonów"; i rzeczywiście nosicielami wspomnianych w nim ruchów byli kolonowie. Ale przez to samo ze schematu Stalina nic nie zostaje: bo kolonowie, tj. poddani chłopci — to już forma f e u d a l n e j eksploatacji pracujących, która, według Stalina pojawiła się tylko po "rewolucji niewolników" i w skutek tej rewolucji.

Rozumie się samo przez się, że w Związku Sowieckim książkę Maszkińskiego uważa się za "marksistowską" i że również jej autor zalicza siebie do ortodoksyjnych "marksistów". Marksizm pojmuje się tam w szczególny sposób i bardzo łatwo jest sowieckiemu uczonemu zrobić z siebie "marksistę". Do tego nie potrzeba bynajmniej przeprowadzania przy pomocy faktów marksistowskiej koncepcji, jest to raczej nie pożądane, biorąc pod uwagę możliwość przewrotnej interpretacji ze strony napastliwych sowieckich krytyków. Trzeba tylko jak najczęściej wygłaszać dogmat o prymacie "stosunków produkcyjnych", jak najczęściej używać imienia "klasyków marksizmu i leninizmu", cytować ich, czy jest do tego sposobność czy nie ma, i polewać błotem zachodnią "burżuazyjną" naukę i "burżuazyjnych" uczonych. Poza tym wolno, stosownie do własnego uznania, korzystać z dorobku tej nauki, bacząc tylko, aby wynikające stąd sprzeczności i niezręczności były dostatecznie przykryte przez należne słowne formuły i etykiety.

Widzieliśmy wyżej jak wypełnia Maszkiński tę ostatnią część programu. Wypada teraz rozpatrzeć jak odnosi się do przedstawicieli zachodnio-europejskiej nauki i jak cytuje "klasyków marksizmu-leninizmu".

U sowieckich historyków wcześnie historycy Rzymu jak Montesquieu, Gibbon, Niebuhr, Mommsen cieszą się immunitetem: ubliżać im nie wypada, gdyż znali ich, studiowali i cenili Marks



i Engels. Inna sprawa z historykami drugiej połowy XIX-go wieku, a także naszego stulecia. Do tych stosuje się ogólna nazwa "burżuazyjnych" uczonych. Maszkin jednak zna dobrze ich zasługi: w ogólnej, nieokreślonej formie wspomina ich "ważne prace", "uogólnienia", "udoskonalenie metody", "odkrycie nowych stron ludzkiego życia" itd. Ale w zasadzie i tutaj decydujące okazuje się "wskazanie" Stalina, który "wypowiedział się", że epoka od 1871 do 1917 stanowi "okres zaczynającego się upadku kapitalizmu, pierwszego uderzenia w kapitalizm ze strony komuny paryskiej, przeradzania się swobodnego kapitalizmu w imperializm i obalenia kapitalizmu w Z. S. S. R. przez siły październikowej rewolucji, otwierającej nową erę w historii ludzkości".

Maszkin cytując go, powołując się na niego wygłasza wyrok: 80 i 90-te lata jest to epoka rozkwitu burżuazyjnej rzymskiej historiografii i równocześnie początek jej upadku (str. 43). "Reakcyjne nastroje", "idealistyczne konstrukcje", "teoria cykliczności w historii", "zamierzona modernizacja starożytności", "uważanie kapitalizmu za wyższy stopień ludzkiego rozwoju, "hiperkrytycyzm" itd. (str. 45) — takie są symptomy upadku. Jeżeli chodzi o "burżuazyjnych" uczonych XX w. to ich prace są "przeważnie kompilacjami niemającymi dużej wartości naukowej" (str. 52).

W swoim sądzie o sowieckich i przedrewolucyjnych rosyjskich historykach Maszkin składa daninę również modnemu dzisiaj w ZSSR patriotyzmowi. Rosyjskiej historiografii końca XIX i początku XX wieku wyznacza niepomierne poczesne miejsce i pochwała ją za to, że "uwolniła się od wpływów zachodnio-europejskiej historiografii" i "od początku lat 90-tych ubiegłego wieku znajdowała się pod silniejszym wpływem marksistowskiej teorii niż zachodnio-europejska burżuazyjna historiografia" (str. 51). Co zaś do sowieckiej historiografii to Maszkin już ex officio obowiązany jest ją wychwalać. Przewaga jej, jak się okazuje, polega na tym, że "szczególne znaczenie mają dla niej wywody i wskazania... w pracach Lenina i Stalina" (str. 54). Czytelnik może pomyśleć, że to "prace" o historii Rzymu? Nie, to dwie broszury jednego i drugiego "O Państwie" i "O Dialektycznym i Historycznym Materializmie", poza tym jeszcze "Sprawozdawczy Referat Stalina o Robocie CK WKP(b) na XVIII Partyjnym Zjeździe". Przepraszamy czytelnika za te być może nudzące szczegóły. Jest to jednak przecież stroniczka z życia sowieckiej nauki historii, stroniczka z życia rosyjskiej kultury. Z takich to "prac" płyną "wskazania klasyków marksizmu-leninizmu", dające historykom sowieckim "prawdziwy program badawczej roboty" (str. 55). Maszkin wylicza też rozprawy sowieckich historyków nie omijając żadnej i zaopatrząc każdą w pochwalne epitety. Zebrało się ich u niego około tuzina z drobnymi dysertacjami włącznie. To wszystko co zrobiła sowiecka nauka w dziedzinie historii Rzymu w la-

tach od rewolucji. Jednak słowom Maszkina i tutaj zadają kłęb jego czyny: w treści książki nigdzie nie wykorzystuje prac swoich sowieckich kolegów i, z dwoma wyjątkami nawet o nich nie wspomina. Sam, lepiej niż ktokolwiek zna ich właściwą cenę.

Przypatrzymy się teraz jak cytuje Maszkin swoich "klasyków marksizmu-leninizmu". Chociaż Marks i Engels nie przeprowadzali żadnych badań w dziedzinie historii Rzymu powołał się na nich obu jest w książce znacznie więcej niż na prawdziwych historyków Rzymu razem wziętych; większość takich powołań się jest niepotrzebnym używaniem słów, bo przy ich pomocy pokrywa się dawno ustalone fakty, które przeszły nawet do elementarnych podręczników. Ze względu na brak miejsca, przytoczymy tylko jeden przykład: fakt, że "zaczynając od ostatnich czasów Republiki władztwo Rzymu opierało się na bezlitosnej eksploatacji podbitych prowincji" podaje się jako słowa Engelsa w cudzysłowie z powołaniem się na niego (str. 254). Wśród "klasyków" Stalinowi jest wydzielone, oczywiście, zupełnie szczególne miejsce: Maszkin dosłownie, jakby jakieś "odkrycie", przytacza wszystko co było "wypowiedziane" przez Stalina na temat starożytnego Rzymu. Przy czym te cytaty zawierają albo truizmy, albo płaśkości, albo kłamstwa. Wspomnieliśmy już o słynnej "rewolucji niewolników" Stalina. Ponieważ stoimy wobec faktu sowieckiej kultury pozwolimy sobie pokazać czytelnikowi kilka cytowanych przez Maszkina "wskazań". Opowiadając o katastrofie Krassusa w wyprawie Partyjskiej Maszkin, wbrew wszelkim oczekiwaniom, przytacza takie słowa: "Dawni Partowie wiedzieli... o przeciwdzierzeniu, kiedy zwabili rzymskiego wodza Krassusa i jego wojsko w głąb swego kraju, a później uderzyli i zniszczyli ich" (str. 301). Ciekawe, że tę perłę stalinowskiego stylu Maszkin wyciąga z odpowiedzi Stalina na list niejakiego tow. Raziny, niewątpliwie z powodu operacji wojennych ostatniej wojny. Jeszcze jedną perłę stalinowskiego nieuctwa, Maszkin przytacza w ostatnich liniach swojej książki, niby pendent do tego że zaczął ją również "wypowiedzią" Stalina.. Oto ta końcowa cytata: "Wszyscy barbarzyńcy zjednoczyli się przeciwko wspólnemu wrogowi i z trzaskiem obalili Rzym" (str. 585). Taki był koniec Imperium według Stalina, nie mniej Maszkin o osiem stronie przedtem opowiada o tym, zgodnie z powszechnie wiadomymi faktami.

◆  
Książka Maszkina jest żalnym plodem usychającego drzewa rosyjskiej kultury. Spośród wszystkich dziedzin tej kultury Rewolucja Październikowa najciężej odbiła się na nauce historii. W ciągu trzydziestu lat polityka "partii i rządu" zmierzła niezmiennie do wykorzenia "burżuazyjnej" ideologii i do wtłoczenia w umysły uczących i uczących się integralnego marksizmu. Stopniowo schodzili ze sceny uczeni starej szko-



ły, w rozmaity sposób: jedni przez naturalną śmierć, inni przez śmierć poprzedzoną zesłaniem, jeszcze inni przez dobrowolną czy przymusową emigrację; niektórzy zostali wyrzuceni za nawias jako niepoprawni "idealiści". Część zesłanych historyków, po spłaceniu należnej Stalinowi daniny i po przekształceniu się w "marksistów", uzyskała w latach 30-tych przebaczenie i rehabilitowała się<sup>\*)</sup>. W 1929 r. zamknięto w Moskwie ostatnie schronienie historyków starej szkoły: Naukowo-Badawczy Instytut Historyczny, uznany za szkodliwy jako rozsądnik "burżuazyjnej" nauki. Na jego miejsce pojawił się tzw. GAIMK<sup>\*\*</sup>), ośrodek wyłącznie historyków-"marksistów". GAIMK i utworzone jeszcze wcześniej przez bolszewików Komunistyczna Akademia i Instytut Czerwonej Profesury zajęły się przygotowaniem nowych kadr historyków wychowywanych po marksistowsku. Już w końcu lat dwudziestu historia dawno wygnana ze średniej szkoły wiodła żalosne bytowanie w szkole wyższej: tematem wykładów stały się przeważnie ruchy rewolucyjne, ekonomika i technika, fakty podawano jako ilustracje marksistowskich "formacji społecznych". Analogiczny charakter miały nieliczne ukazujące się książki historyczne.

W połowie lat trzydziestych bolszewicy, a przede wszystkim sam Stalin, opamiętali się. W r. 1934 decyzją "Partii i Rządu" przywrócono nauczanie historii w szkole średniej i wyższej. Dekret mówił o przywróceniu "graždanskoj" historii — termin użyty przez samego Stalina, zgodnie z jego przyzwyczajeniem niedouczonego seminarzysty, gdyż w programach seminariów duchownych dawnej Rosji historia dzieliła się na "kościelną" i "graždanską", tj. powszechną, wg przyjętej tam terminologii. Termin "graždanskaja istoria" nie był znany nikomu prócz byłych seminarzystów. Wywołał on powszechne zdumienie. Nikt jednak nie śmiał wskazać na niestosowność jego użycia, bo mogło to być uznane za napomknięcie o braku wykształcenia u Stalina, który był autorem tego terminu. I oto termin wszedł w użycie u uczniów, pedagogów, a nawet uczonych. Dekret przywracał również wydziały historyczne i nauczanie w nich łaciny.

Było jednak za późno. W latach rewolucji również średnia szkoła straciła dawne, wykwalifikowane kadry nauczycieli historii, a próba pospieszego przygotowania nowych, zorganizowana z tępą pewnością siebie, zawsze właściwą bolszewikom, nie dała żadnych rezultatów: nauczyciele historii w szkole śred-

\*) Wśród tych którzy zginęli na zesłaniu znajdowali się uczeni tej miary co Płatonow; wśród tych co opuścili Rosję — Roztowcew i Kizewetter; wśród wyrzuconych za nawias Karejew i Grebs. Z liczby "kajających się" i przywróconych do łask przez Stalina smutną sławę zyskał swoim lizusostwem znany w Europie, a szczególnie we Francji akademik Tarle. Dwóch ze zmarłych na zesłaniu historyków miało najbliższą styczność z Maszkinem — G. K. Weber i P. F. Preobrażencki: pierwszy był jego teściem, drugi jego profesorem uniwersytetu i przewodnikiem.

\*\* Gosudarstwennaja Akademijskaja Istorii Materialnoj Kultury.

niej okazali się niedoukami i niedołączkami. Studenci wstępowali na wydziały historyczne bez wiedzy i bez ogólnej kultury. Wśród profesorów uczeni starej szkoły przemalowani na marksistów stanowili wyjątki.

Książka Maszkina jaskrawo ilustruje "osiągnięcia" sowieckiej nauki historii w ciągu trzynastu lat jakie upłynęły od czasu przywrócenia historii. Sytuacja wydaje się nam beznadziejna, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Maszkin jest orłem wobec większości swoich sowieckich kolegów. W młodości zdążył jeszcze otrzymać humanistyczne przygotowanie w przedrewolucyjnym gimnazjum. W pierwszych latach rewolucji, jako student otwartego wówczas uniwersytetu w Saratowie, mógł jeszcze łyknąć prawdziwej nauki historii, pod kierownictwem młodego i wykształconego profesora P. F. Preobrażenckiego, który później zginął na zesłaniu. Maszkin zna starożytne i nowoczesne języki i odczytany jest w zachodniej literaturze historiograficznej. W normalnych warunkach mógłby z niego być użyteczny pracownik naukowy co prawda bez szczególnych talentów, ale pracowity, rzetelny i wykształcony. Co stało się z Maszkinem w warunkach sowieckiego reżimu wymownie wykazuje jego książka. Dla zachodniego czytelnika, interesującego się Rosją Sowiecką, książka ta ma znaczenie d o k u m e n t u, świadczącego o tym, że nie istnieje w Sowieckiej Rosji wolność twórczości naukowej. Niemożliwa jest tam ona nawet dla prawdziwego marksisty, gdyż zastosowanie koncepcji marksistowskiej do każdego konkretnego procesu historycznego jest już jego subiektywną wykładnią. Ale każda taka wykładnia w warunkach sowieckiego reżimu grozi autorowi obwinieniem go o "odchylenie", "skażenie", "zboczenia i trockizm" czy "zgniły liberalizm" itd. Mnóstwo jest przykładów takiego "demaskowania" sowieckiej historii. Najjaskrawszym było zde-maskowanie "szkoły M. N. Pokrowskiego". Tak więc niewolnictwo myśli jest im zalecone jako elementarna zasada samozachowania się. Stąd proste wyjście: ślepo trzymać się "wskazań" i "wypowiedzi" Stalina, jako najlepszej gwarancji.

Zachodni czytelnik, mało obeznany z warunkami jakie stwarza sowiecki reżim, może zadać pytanie: Jak można było dojść do podobnie niewolniczej psychologii? Odpowiedź na to brzmi prosto. Oto jest przed nami rezultat trzydziestoletniego terroru i "społecznego wychowania" inteligencji. Jej niezależne elementy zostały eliminowane, tj. albo unicestwione fizycznie, albo zmuszone do milczenia. U "przystosowanych", którzy z konieczności materialnej czy ambicji za wszelką cenę starali się utrzymać na powierzchni, wyrobiła się specjalna moralność, cynicznie wyrażona przysłowiem: "kto z wilkiem żyje po wilczemu wyje". Powszechnym ostrzeżeniem jest w Związku Sowieckim los tych wielu, którzy zginęli z powodów "burżuazyjnej" ideologii.

Powstaje też bardziej ogólne pytanie: czy podobna psycholo-



gia jest specyficzną właściwością Rosjan, czy też możliwa jest również u człowieka zachodniego? Sądzymy, że triumf komunizmu na Zachodzie przyniosłby z sobą tę samą psychologię inteligencji co w Związku Sowieckim, bo i na Zachodzie będą zastosowane te same metody nawracania: terror, zniszczenie niezależnych elementów i społeczne wykształcenie. Zapowiedzi takiej przyszłości są już widoczne na przykładzie takich krajów jak Polska, Czechosłowacja, Wschodnie Niemcy. Są one być może jeszcze lepiej widoczne, kiedy się wnika w psychologię tej części zachodniej inteligencji, która wchodzi dziś w skład komunistycznych partii Francji i Włoch, czy też grupuje się wokół tych partii.

N. N.

(były profesor Uniwersytetu Moskiewskiego).

## «Walter 7.65»

Z Jasińczykiem, jako człowiekiem i pisarzem znam się nie od dzisiaj, lecz muszę wyznać, że ocena jego twórczości sprawiała mi nieraz kłopoty. Jest to pisarz — mimo stałego dążenia do doskonałości i może właśnie dla tego — nieobliczalny, nieszablonowy, wprowadzający do swej sztuki wciąż nowe elementy, z którymi nie zawsze łatwo się pogodzić.

«Walter 7.65» jest nowym eksperymentem Jasińczyka. Po reportażowej powieści «Po Narwiku był Tobruk», po klasycznym, nienagannym artystycznie «Słowie o bitwie» przychodzi powieść niemal sensacyjna a równocześnie pełna artystycznych ambicji i osiągnięć: «Walter 7.65».

Jest to historia młodego i dzielnego bojowca spod okupacji niemieckiej, Marka Kordy, który skompromitowany przez romans z kobietą szpiegiem, zostaje usunięty z A.K. i wiąże się z szajką bandycką zrazu w dobrej wierze, że zdobywane przez nią fundusze idą na walkę z okupantem; poznawszy jednak z czasem istotną prawdę, jest już dostatecznie rozłożony wewnętrznie, by się z tą prawdą szybko pogodzić. Taka jest w skrócie treść części pierwszej. Część druga powieści, drukowana obecnie w odcinkach «Orła Białego», ma przeprowadzić Kordę przez Powstanie Warszawskie i obozy jenieckie.

«Walter 7.65» wydał mi się jeszcze trudniejszy do obiektywnej oceny, jeszcze bardziej unykający się ustalonym formułom, aniżeli poprzednie utwory Jasińczyka. Jest to próba

Janusz Jasińczyk: «Walter 7.65», powieść; okładkę zaprojektował Z. Turkiewicz; str. 230; nakładem Gryf Publications Ltd., Londyn 1951. Cena 7/6.

stworzenia polskiej powieści sensacyjnej («dreszczowca») na artystycznym poziomie, rodzaj uprawiany w Anglii z powodzeniem przez Grahama Greene'a — lecz na pewno nie łatwy; niejako łączenie wody z ogniem. Nic dziwnego, że nowy eksperyment Jasińczyka budzi na przemian uznanie i niepokoje. Niektóre rozdziały «Waltera» odczytywałem po kilka razy a za każdym wrażenie było odmienne i ocena wypadła inaczej.

Nie łatwo jest oczywiście sformułować dojrzały i sprawiedliwy sąd o utworze tak skomplikowanym i nierównym, nie łatwo nawet sobie samemu zdać z niego sprawę. Dlatego wybieram wpiery drogę analizy, rozbioru. Spróbuję mechanizm powieści rozkręcić na pojedyncze kółka i oglądać każde z osobna. Omówię po kolei, oczywiście w największym skrócie, styl, konstrukcję, prawdę życiową i myśl utworu.

**S t y l.** Nerwowa, niecierpliwa, rąbiąca krótkimi zdaniami proza Jasińczyka nadaje się doskonale do oddania atmosfery życia pod okupacją, napiętej, gorączkowej i zapierającej oddech od nagłych przerażeń. Zwraca uwagę rytmiczność tej prozy a podstawą rytmiki jest tutaj siedmio-sylabowa stopa wierszowa. Właśnie tej krótkiej zwartej stopie zawdzięcza proza Jasińczyka swój szybki i skoczny bieg.

W ogóle język «Waltera» wart jest studium. Jasińczyk ma swoisty sposób dopadania tematu kilkoma krótkimi niezwiązanymi z sobą oświetleniami, które nieraz aż niepokoją swą niezwykłością, odmiennością od ujęć, do których przywykliśmy. Toteż dziwnym a stosunkowo częstym gościem wśród takiego orzeźwiającego towarzystwa są wkładki banału, łatwego patosu, sentymentalnej retoryki. Autor umie jednak żywotnością i pasją swego stylu stopić banal ze szlachetniejszymi elementami w jedną sugestywną i udaną całość.

Styl musimy oczywiście pojmować szerzej, nie tylko jako sztukę operowania pojedynczymi słowami czy zdaniami, ale także całymi obrazami — jako sztukę wyboru ich, ustawienia i sposobu wiązania. W tym, że tak nazwę «wielkim» stylu Jasińczyk jest wierny tym samym co poprzednio założeniom, czy raczej naturze swego talentu. Tok powieści rwany jest, jak pojedyncze zdania. Snopy ostrego światła padają na pewne elementy akcji, potem nastaje ciemność. Nie ma połączeń. Jasińczyk stosuje tu wyraźnie nowoczesną, narzuconą przez film, technikę chwytania obrazu życia. Obraz złożony jest u niego z migawkowych zdjęć, tak jak utrwała je taśma filmowa — bez syntezy, bez stopienia ich w ciągłą relację.

Pełni i jasności «małego stylu» Jasińczyka nie mam nic do zarzucenia. Natomiast wydaje mi się, że w powiększonych rozmiarach technika ta niekiedy zawodzi. Zdarza się jak np. w rozdziale XXV (napad partyzantów), że akcja rozstrzelona na fragmenty, złożona z samych migawek, tylko z trudem zbiega się w obraz całości. Na ogół jednak Jasińczyk bardzo



szczęśliwie umie używać tej techniki dla uchwycenia samej istoty działania i ruchu.

**Konstrukcja.** Trudno mówić o konstrukcji dzieła niejako przeciętego w połowie. Mimo tego, wydana już część pierwsza stanowi w pewnej mierze całość dla siebie. Linia perypetii moralnych i upadku Kordy jest zarysowana wyraźnie, pełno i z poczuciem powieściowej równowagi. W środku powieści następuje przełom a ostatni rozdział jest doraźnym zamknięciem bojowo-bandyckiej kariery bohatera.

Miałbym natomiast do zarzucenia autorowi zbyt wybitną różnicę manieri stylowej między pierwszą a drugą połową wydanego już tomu. Osobiście wolałbym widzieć całość bardziej jednolitą w stylu. Druga połowa zbudowana jest wyraźnie z innego materiału niż pierwsza. Pierwsza ma charakter więcej obyczajowy, poświęcona jest uchwyceniu atmosfery i oblicza Warszawy pod okupacją, opisowi jej lokalików, ulic i typów ludzkich — co autor, Warszawianin z krwi i kości, umie oddać celnie i z miłością. Natomiast druga połowa tomu wydaje mi się o wiele mniej cielesna, mniej zrodzona z bezpośredniego dotyku życia. Przeważa tu intelekt nad urzeczaniem uczucia i zmysłów. Autor jak gdyby potrosze był już znudzony zwyczajnym obrazem życia, co przejawia się zainteresowaniem raczej eksperymentami artystycznymi. Coraz więcej tutaj techniki filmowej, opuszczania połączeń, mnożenia skrótów i synchronizowania wielu wątków naraz. Wyznaję jednak szczerze, że szkoda mi mniej wyszukanego, ale pełniejszego i ciekawszego obrazu życia Warszawy, jakie autor dał na początku powieści. I jakkolwiek Jasieńczyk zdaje się przypisywać dużą wagę do tego artystycznego nowatorstwa, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest ono w powieści, która ma szczęśliwie łączyć artystyzm z popularnością — zbyt radykalne, a przede wszystkim, że zainteresowanie techniką artystyczną tłumi w autorze bezpośrednie urzeczanie życiem. Autor w tej drugiej połowie jakby nie umiał się zdecydować czy pisze powieść lekką, by bawić czytelników, czy też nowatorską, by olśnić ich ekwilibrystyką artystyczną. Łączy, jak już powiedziałem ogień z wodą — co nie zawsze się udaje.

#### **Prawda życiowa i psychologiczna.**

Nie idzie mi tu oczywiście o wierność faktów, jakie się naprawdę "historycznie" zdarzyły. Artysta jest od takiej wierności wolny. Obowiązuje go tylko wierność esencjonalnej prawdzie o życiu, płynnemu tworzywu, z którego można dowolnie każdą postać życia modelować, byle prawdopodobną.

"Walter 7.65" tętni życiem i to życiem pełnokrwistym. Talent Jasieńczyka chwytania rzeczywistości na gorąco i oddawania jej z wyjątkową plastyką i werwą po prostu uderza. I trzeba podkreślić najwyraźniej, że nie jest to sztuczne życie "dreszczowca", przemijające z zainteresowaniem intrygą, ale życie

pełne i trwałe, życie odtworzone środkami artystycznymi co Jasieńczyk postawił sobie jako ambitny cel w swojej sensacyjnej powieści i co niewątpliwie osiągnął. Jasieńczyk niejako nobilituje powieść dreszczową, podnosi ją do artystycznego szlachectwa.

Ale i w tej dziedzinie "Walter" ma swoje wzloty i upadki. I znowu muszę stwierdzić, że końcowe rozdziały pierwszej części powieści nie wydają mi się równe początkowi werwą ani prawdą życiową. Przez dwie trzecie pierwszego tomu przepyszne tło okupacyjnej Warszawy, akcja przerzucająca się z żywością srebra z środowiska w środowisko, obrazy zamachów i łapanek, charakterystyczne scenki i typy świata i półświata warszawskiego — wszystko to żyje, raduje oko, trzyma na uwierzy i pozostaje w pamięci. Pod koniec natomiast urzeczanie czytelnika zaczyna słabnąć (z wyjątkiem bardzo dobrego rozdziału zamykającego powieść).

Przyczyn tego osłabienia lotu może być wiele. Ale jedną z nich jest na pewno psychologiczne wykołajenie się bohatera. Głównym wątkiem "Waltera" nie są bowiem ani awantury bandyckie, ani romans Kordy z Krzyńską, ani nawet barwny kalejdoskop podziemnej Warszawy. Wątek ów to rozkład moralny młodego bojowca, spychanego w dół stopniowo i nieubłaganie, z chwilą, gdy bez winy własnej, pierwszy raz się poślizgnął.

Do XX rozdziału (w którym Korda odkrywa czysto bandycki charakter imprezy w jaką został wplątany) ten upadek moralny młodego człowieka, a raczej stopniowe przesuwanie go w sytuację, które wiodą do upadku — przeprowadzone są przez autora bez zarzutu, pomysłowo i wiarygodnie. Natomiast szybkie pogodzenie się Kordy z bandycką sytuacją w tym XX-tym rozdziale, wydaje się zbyt już dużym i nieprzygotowanym ostatecznie przez autora skokiem, a niemal natychmiastowe, po tym otwarciu oczu, stoczenie się Kordy ku cynizmowi, jest jeszcze bardziej poronnym załatwieniem się ze sprawą trudną, zarówno psychologicznie jak artystycznie.

Nie ratuje sprawy, że autor na przestrzeni jednej jedynej strony przywołuje do pomocy stosunki rodzinne bohatera. Niefortunny wpływ ojca, suchego moralisty, mógłby wiele wyjaśnić w duchowej przemianie Marka Kordy, gdyby nas autor jakąś poprzednią sceną do tego motywu przygotował a nie podawał go na wiarę w ostatniej chwili. Czytelnik, ażeby odczuwał i wierzył, musi widzieć a nie tylko odczytywać nagłówki przyczyn, które składają się na jakąś przemianę psychiczną. Być może, że w "dreszczowcu" nie jest to takie niezbędne, może jest to z innej strony uprzedzenie maniaka prawdy psychologicznej, ale dla mnie powieść od tego XX-go rozdziału mniej już wydaje się żywa, mimo szybszego jeszcze niż przedtem biegu zdarzeń. Mści się na niej grzech psychologiczny.

Jasieńczyk jest talentem męskim i "charakterystycznym"



(tak jak się mówi: aktor charakterystyczny). Najżywiej i najprawdopodobniej wychodzą w "Walterze" sceny gromadne, awantury, utarczki — a jeśli idzie o ludzkie typy najlepsza jest galeria rzezimieszków i ryzykantów z kanałią Salińskim włącznie. Postaci pozytywne przedstawiają się zarówno ilościowo jak jakościowo ubożej — zmartwienie niejednego tegiego powieściopisarza, z Gogolem i Mauriacem włącznie. Ale jedyną naprawdę niedojrzałą stroną powieści wydaje się jej typy kobiece. Zarówno wytworna i demoniczna Krzyńska, jak dziewczę polskie — Krystyna, zalatują banałem i melodramatem. Jasińczyk jak gdyby kroił obie swoje panie bardziej z wyświechtanych wzorów literackich, aniżeli z życia.

Odniosłem jednak ciekawe wrażenie, że ta przymieszka taniego materiału nie zaszkodziła życiu i prawdziwości powieści — dlatego może, że "Walter" w samym swoim założeniu jest mieszanym sensacyjno-artystycznym tworem. Oryginalność i banał — niezwykle małżeństwo — żyją u Jasińczyka w zadziwiającej zgodzie.

**M y ś l.** Choć na temat ten bywa wiele nieporozumień, nie ulega wątpliwości, że elementem, który decyduje o wadze utworu literackiego jest jego myśl. Nie tendencja ani teza; myśl, która wypływa sama z zdarzeń i unosi się nad nimi "jak duch Boży nad wodami" — niewyłożona słowem, niewytknięta palcem, uchwytna dopiero w echu, jakie budzi w duszy czytelnika.

Sądzę, że uważny czytelnik dostrzeże bez trudu myśl, która przewodzi od początku kapryśnym zdarzeniom "Waltera". Były co prawda głósy, że zbyt ją trudno wysledzić w kapryśnym biegu wydarzeń powieści. Pamiętajmy jednak, że przekazywanie czytelnikowi sensu jakiegoś utworu bywa czynnością niezwykle subtelną, w której jedna zbyt wyraźna kreska może zepsuć całe wrażenie. Jasińczyk niedorysował kreski i uczynił dobrze.

Tłem na którym rozgrywa się dramat młodego Kordy, to niebezpieczne pogranicze dwu światów: świata walki o wolność i świata samowolnego rozboju. W Warszawie podczas okupacji niemieckiej dwa te podziemia nie tylko istniały obok siebie, ale często przeplatały się z sobą. Jasińczyk w powieści swej wielokrotnie i celowo podkreśla to zacieranie się granic, te "incydenty graniczne". Wiktor i Małpa, szczerzy bandyci, giną walcząc z Niemcami; bojowiec Korda — idzie w bandytów. Wilgotny, którego Korda, jako oficer A.K., karcił za rabunek, zostaje później przez tegoż Kordę, wciągnięty do bandyckiej roboty. Nie sposób, by tak splecione ze sobą dziedziny nie wpływały na siebie. Los Marka jest smutnym wynikiem tych pogranicznych stosunków.

Myśl dzieła wyłania się sama z tak ukazanego tła i z przebiegu zdarzeń — myśl co wydaje się ważna nie tylko dla młodsza, które ją zrodziło, lecz dla całego dzisiejszego zdziczałego

świata: — że każdy gwałt prowadzi do bezprawia, że walki, gdy się raz rozpętała, nie sposób rozdzielić od rozboju; że najszlachetniejsza krew często rozlewa się w błoto. Dobrze jest zatem widzieć jasno tę nieszczęsną zależność i ani zbyt surowo sądzić spraw dokonanych, ani lekkomyślnie podchodzić ku przyszłym. Walka o wolność to rzecz bardzo kosztowna: płaci się za nią podwójnie: stratami fizycznymi i moralnymi.

Zbliżam się ku końcowi. Kółka mechanizmu powieściowego "Waltera" zostały rozebrane i przejrane. Czy je składać? Czy porywać się na syntezę? Do syntezy potrzeba wszystkich elementów, potrzeba całości. Byłoby rzeczą przedwczesną wypowiadać zamknięty sąd o utworze, który poznaliśmy dopiero w połowie — pytanie czy ważniejszej. Stąd ostrożność i analityczny przede wszystkim charakter tej doraźnej oceny. Stąd możliwość omyłek, zarówno na gorsze, jak na lepsze. Ukazanie się całego utworu zmieni z pewnością i uzupełni niejedno w tej recenzji, pisanej niejako na polu toczącej się bitwy literackiej.

Jedno można już dzisiaj na pewno stwierdzić, że Jasińczyk podszedł ciekawie, oryginalnie i bardzo szczęśliwie do rozwiązania trudnego zagadnienia jakie sobie postawił: powieści której zadaniem jest nie nudzić, zaś ambicją, by stała się dziełem sztuki. Co więcej, widać, że w miarę rozwoju powieści autor rozszerza swe zadania, próbuje nowych dróg, dąży do coraz trudniejszych osiągnięć. Jasińczyk potwierdził "Walterem 7.65", że jest jednym z najpoważniejszych pisarzy emigracyjnych, pisarzem, który potrafi chodzić własnymi drogami, pisarzem z przyszłością.

Nie zapominałmy także, że "Walter" był pisany wprost do odcinków "Orła Białego", z tygodnia na tydzień, bez możliwości powrotu do tekstu i poprawienia go czy wypolerowania. Jak na tego rodzaju nieartystyczną metodę pisania Jasińczyk dokonał imponującego wysiłku artystycznego.

Na zakończenie pozostawiłem sobie kilka uwag, które nie mieściły się w dotychczasowym, estetycznym głównie rozbiórce powieści — bo dotyczą one raczej zagadnień rzeczywistości, tej rzeczywistości krajowej, jaką Jasińczyk w "Walterze" przedstawia.

Czy ją przedstawia? Przypuszczam że raczej tak, choćby nie było to przyjemne stwierdzenie. Z oddalenia emigracyjnego wolimy patrzeć przez mgłę uludy na wielostronną rzeczywistość życia krajowego pod niemiecką okupacją. Stąd zarówno przecenienia jak niedocenienia — a w każdym wypadku zawody.

Kto przypomina sobie dobrze pierwsze zetknięcie się z falą nowej emigracji po Powstaniu Warszawskim, ten przyzna, że był to wstrząs — wstrząs zupełnie odmienną postawą moralną tej młodzieży, dla której zwykle zasady moralne, tak samo jak życie ludzkie — były przedmiotem pobłażliwego uśmiechu. Niemniej młodzież ta biła nas, starszą emigrację, swoją tę-



żyzną i pasją wewnętrzną. Straszliwa szkoła jaką ta młodzież przeszła w okresie dojrzwania inaczej musiała ukształtować jej pion moralny (który niewątpliwie na ogół pozostał), przeprowadzić go po prostu w innym miejscu duszy.

Oczywiście, nie u wszystkich pion mógł się utrzymać — u wielu skrzywił się i załamał może na stałe. Życie za wszelką cenę i walka "catch as catch can", musi prowadzić do wykołajeń.

I tę całą atmosferę, tę prawdę — pozytywną jak negatywną — Jasińczyk próbował uchwycić. A jeśli nawet przyjmie my, że więcej jest u niego dżungli, niż bohaterskiego dramatu — pamiętajmy, że sztuka ulega również prawu akcji i reakcji i że po tylu patetycznych obrazach, jakich naczytaliśmy się o podziemiu krajowym musiał znaleźć się pisarz, który — przy całym pietyzmie dla ognia cfiary — zapragnął pokazać odwrotną stronę medalu, przemilczaną dotąd wstydliwie w emigracyjnym piśmiennictwie.

Mnie ta meliniarska epopea Warszawy nie zawstydzą, mimo wszystko, ani martwi. Czuje się w wszędzie niej ducha "miasta niepokonanego", chociaż został on pokazany w tak krzywym zwierciadle.

W jednym z ostatnich artykułów Herlinga-Grudzińskiego na temat nowej powieści Koestlera, znalazłem ciekawe i trafne ujęcie (cytuje je z pamięci): że przetrzymanie przez naród groźnych momentów dziejowych zależy nie tyle od elity intelektualnej, ile od prostych ludzi, którzy nie obawiają się bić. Towarzystwo z "Waltera", choć bardzo różnorodne w skali moralnej, składa się przede wszystkim z takich prostych ludzi. Na pewno w razie potrzeby znajdzie się wśród kompanów Kordy niejeden Wiktor-bandyta, co zginął, by uratować od Niemców papiery powstańcze.

Wit TARNAWSKI.

## Czym jest „Kultura”

LIST DO ZESPOŁU "KULTURY"

...de omnibus rebus et quibusdam aliis...

List ten piszę w nieznane. Wiem, co chcę w nim powiedzieć, nie wiem do kogo go skierować. Bo — i to właśnie jest jego treścią — nie sędzę, aby adresat podany w nagłówku istniał w ogóle. A jeżeli istnieje, to oby śpiesznie roztopił się znów w tej nirwanie, z której powstał.

Czesław Miłosz mówił niedawno, że nikt w kraju nie oczekuje, by emigracja brała na swoje barki troskę o ocalenie kultury polskiej. Jestem przekonany, że się myli. Ale gdyby nawet kraj nie stawiał takich wymagań, to wszystko co dochodzi nas z Polski, wszystko, co choćby ten sam Miłosz pisze na innym miejscu, świadczy, że tak na pozór niełatwe dla ludzi oderwanych od własnej ziemi pielęgnowanie ciągłości i odrębności ducha narodowego stanowi jedno z głównych naszych zadań. Trudno przewidzieć w jakich formach odrodzi się nasz byt (wolny. Prawdopodobnie będzie tyle Polski, ile miejsca znajdzie się dlań w Europie. Ale miejsce to znajdzie się tylko, o ile potrafimy zachować własne oblicze. Do wspólnej budowy nie jest dopuszczony ten, kto przychodzi z pustymi rękoma. Jak żydzi w diasporze musimy stać się więc narodem księgi. A że księgą tą będzie księga pielgrzymstwa nie powinno straszyć nas właśnie.

Prawnukom Woltera, wnukom Anatola France'a trudno jest żyć w epoce superlatywów. Wolimy z wyrozumiałym sceptycyzmem pochylać się nad przeszłością, staramy się, i słusznie, zachować dystans nawet do wydarzeń współczesnych. Ale jak zachować dystans do trzęsienia ziemi, które z niemniejszą siłą miota wyniosłym mędrcem, co przydrożną wierzbą?

W jednym z ostatnich numerów "Kultury" opowiada nie żaden pacyfista, nie żaden marzący in camera caritatis ideolog, ale generał, co ostrogami dzwonił po Polsce i strajki chłopskie uśmierzał i Mackiewiczza i innych buntowników w Berezie osadzał, ile włożył troski i wysiłku w oduczenie policji od strzelania do tłumu. Z tym niebohaterskim pamiętnikiem sąsiaduje niemal przedruk z prasy krajowej; bohaterski wiersz



Andrzeja Mandaljana, poświęcony towarzyszom z Bezpieki, tym co jeśli strzelają, to tylko z tyłu i to na zakończenie długich i wymyślnych tortur. Człowiek nie znający zupełnie rzeczywistości polskiej mógłby przypuszczać, że stary generał jest hipokrytą, młody poeta fanfaronem cynizmu. Wiemy że takie przeciwstawienie byłoby nie tylko łatwizną, ale nieprawdą. Właśnie dla tego, że oba wyznania są szczerze stanowi rozpiętość ich miarę tej szczeliny, którą cudze ręce pragną wykopać między Polską wczorajszą a Polską jutra. I właśnie dlatego jest wiersz Mandaljana dokumentem tak wstrząsającym, tak przeraźliwym.

Jeśli Tuwim, Słonimski lub Iwaszkiewicz płacą za wódkę, befszytk i samochód odą na cześć Stalina, o którym w gruncie rzeczy myślą tak samo, jak każdy z nas, to jest to zwykła mała apetyczna transakcja handlowa. Zainteresować się nią winien raczej badacz czarnego rynku. Z punktu widzenia literatury wystarczy stwierdzić, że widocznie rdza strachu i oportunistu przegryza talent tylko powoli, i że można być jeszcze wielkim pisarzem, a już bardzo małym człowiekiem. Ale jeśli dla młodego poety, który jednak widzi "jakże ojczysta noc drzewa za oknem kołysze" krwią i krzywdą nasiąkłe korytarze Bezpieki stają się ojczyzną jego młodości, tą ojczyzną, której "nie odda nigdy nikomu", to jest stokroć groźniejsze niż kupiony wiersz ex-skamandryty i niż narzucony Warszawa pomnik Dzierżyńskiego. Starsi wśród nas pamiętają przeciwieństwo Paszkiewiczza na Krakowskim Przedmieściu i Bismarcka w Poznaniu. Dla tego jednego wiersza, niemniej niż dla wszystkich wymuszonych uchwał Kongresu Nauki, trzeba aby gdzieś pod Paryżem, gdzie Sekwana wiślaną połyska się falą, trwała i wciąż odradzała się polska kultura.

Nie ważę więc sprawy "Kultury" lekko. Jestem przekonany, że Hotel Lambert znajdzie właściwe miejsce w dziejach także i drugiej Wielkiej Emigracji nie z powodu, pożytecznych zresztą bali i imprez, które snobizm mieszkańców Ritz'a stawiają w służbę potrzeb uchodźczych, ale dlatego, że w którejś tam z jego izb podniebnych składały się pierwsze numera najważniejszego i najrzetelniejszego w naszych czasach polskiego miesięcznika. Może treść ich gorszyła nieraz w światłach autorkę "Malwiny", ale stary Książę Adam przyglądał się im na pewno z łaskawym i nawet wzruszonym uśmiechem. A jeżeli wzorem Napoleona ryć kiedyś będziemy na polskim Łuku Zwycięstwa nazwy miejsc dalekich, jako świadectwo zasług i przewag naszego wojska, to choćby wiele poniżej Monte Cassina, Falaise i Tobruku znaleźć się tam powinna również i zerwana w ogrodach Maisons Laffitte gałązka wawrzynu.

Już pierwsze numery "Kultury" wywołały szereg krytyk. Zarzucano im nadmierny eklektyzm, zarzucano brak tego konformizmu, który jest — obok namiętnych sporów personalnych

— może najwyrazistszą cechą naszego społeczeństwa emigracyjnego. Kolejne artykuły i rozprawy Bobkowskiego, Janty, Wańkowicza, Florczaka, wybuchały w światku polskim jak bomby o bardzo nierównym zresztą ładunku dynamitu i zmiennych kierunkach podmuchu. W dziale "Z Najnowszej Historii Polskiej" zaczęli nawet ci, o których się milczy, pisać o tym o czym się nie mówi. Wiersze Marszałka Śmigłego-Rydza obok poezji Łobodowskiego wywołały zdziwienie i zakłopotanie. Artykuły Ł. Małeckiego i Miłosza budziły zastrzeżenia nie tyle treścią co podpisem autorów. A jeżeli, nie częsta zresztą, ekskluzywa ze strony redakcji dotykała niektórych pisarzy wysokiej miary, to zazwyczaj ani oni sami, ani też czytelnicy nie zdołali rozumieć powodów chyba czysto subiektywnych tego ostracyzmu.

Rozwijała się więc "Kultura" jak dżungla bujna, barwna i pełna niespodzianek. Publiczność przyzwyczaiła się traktować ją niby park narodowy, stanowiący własność ogółu, ale rządzący się własnymi, niezależnymi od powszechnie przyjętych przepisów, prawami. Gleba, klimat, kaprys przyrody nie wolała ustawa dawcy decydowały o jego faunie i florze. I to właśnie, że obok śpiewu słowika słychać było w nim czasem poryk drapieżników, że drzewa powalonego nie rąbano ani nie usuwano na opał, że gąszczu nie przecinano dla wygody nużąco prostymi liniami, i to nawet, że czasem spod wykrotów jadowita żmija wychylała głowę — to wszystko stanowiło o swoistym nastroju uroczyska.

Burze nie oszczędzają rezerwatów bardziej niż strzyżonych ogrodów. Trudno powiedzieć czy to gromy padające co pewien czas na "Kulturę" zastanowiły i może nawet przestraszyły wydawcę, skłaniając go do stworzenia choć pozorów klasyfikacji i hierarchizacji prac zamieszczanych, czy na odwrót zainteresowanie i napływ publiczności zbudziły w nim drzemiący w każdej duszy polskiej pociąg do ideowego posłannictwa, do zbawiania własnymi metodami narodu i ludzkości, dość że w piśmie, zachowującym nadal dawny polifoniczny układ, zaczęła dźwięczeć coraz uparciej nowa i zgoła nieoczekiwana nuta.

Jeszcze w numerze kwietniowym 1950 oświadczyła redakcja: „Kultura jest piśmie prowadzonym w duchu największego liberalizmu, poszanowania praw autora, zaufania do człowieka no i oczywiście, poszanowania godności ludzkiej. W szczególności Kultura nie ma zamiaru brać udziału w tej kampanii nienawiści, porachunków personalnych, rozbijania prób poznania prawdy, demagogii i egocentryzmu, która, niestety, stała się dominantą życia politycznego na uchodźstwie. W pracy naszej stawiamy na człowieka. I nie będziemy klasyfikować ludzi inaczej, jak z bezwzględną wiarą, że to co piszą i mówią jest prawdą, ich własną prawdą subiektywną”. Dwa miesiące potem powtarzała znów: "Nadal będziemy drukowali każdą analizę rzeczywistości, każdą krytykę, każdą ocenę sytuacji, jeżeli



będziemy mieli przekonanie, iż autorem kieruje uczciwość i dobra wola i jeżeli będziemy uważali, iż ocena ta czy krytyka będzie w najmniejszym bodaj stopniu pomocna przy krystalizowaniu się programu i taktyki walki o niepodległość i nowe oblicze świata". Lecz obok tych zapewnień, i niezależnie od nich, zyskiwało stopniowo na łamach pisma prawo obywatelstwa niepokojące, tajemnicze i noszące w sobie jakoby zarodek dyktatorski pojęcie Zespołu "Kultury".

Kryptonimem tym, nie nazwiskiem autora, podpisano wydany w osobnej ulotce przedruk "Manifestu Demokratycznego" Ojca I. M. Bocheńskiego. Autorytetem Zespołu starał się podprzeć Juliusz Mieroszewski tezy wysunięte w "Psychologii Przewrotu". Istotnie, czy pozornie zarysowała się za zwałami zadrukowanego papieru nowa instancja ferująca wyroki, powstała w życiu polskim nowa, nieznanego obrządku kapliczka.

Nic więc dziwnego, że czytelników ogarnął niepokój. Kto tworzy ten tajemniczy sanhedryn, jakie są jego cele, jaka władza w redakcji? Czy w skład jego wchodzi wszyscy piszący w "Kulturze" od gen. Sławoja Składkowskiego poprzez Koestlera i Czapskiego aż do murzyńskich poetów tłumaczonych po mistrzowsku przez Józefa Łobodowskiego? Czy tylko autorzy rozpraw programowych, stawiających wyraźne tezy filozoficzne, społeczne lub polityczne, a więc co najmniej Hostowiec obok Ojca Bocheńskiego, Wraga obok Wańkowicza, Małecki obok Kawałkowskiego, Zbyszewski obok Miłosza? A jeżeli oba przypuszczenia są mylne, to jak odróżnić pisarzy zespolonych od niezespolonych, współgospodarzy od przelotnych gości, jak stwierdzić co jest wypowiedzią samego wydawnictwa, co tylko zarejestrowanym wyrazem "prawdy subiektywnej" autora? Kogo należy słuchać w skupieniu bo mówi ex cathedra, a z kim wolno kruszyć kopie?

U źródła tych wszystkich zapytań i wątpliwości, które narosły dopiero ostatnio, leży zapewne wielkie nieporozumienie powstałe z winy redakcji. W prasie, stojącej na usługach określonego ruchu politycznego czy społecznego, każdy artykuł, każda wiadomość niemal ujęte, dobrane i podane są w sposób zgodny z poglądami tego ruchu. Cała treść pisma obciąża odpowiedzialność kierownictwa, a głosy odbiegające od jego tendencji lub zgola z nimi sprzeczne znaleźć można tylko w specjalnych rubrykach oznaczonych jako Wolna Trybuna czy też Listy do Redakcji. Analogiczny system stosują wydawnictwa naukowe i artystyczne o ile są wyraźnie organami jednego kierunku, jednej szkoły, jednej grupy. Metoda znacznie oględniejsza przyjęła się w tych periodykach które, jak liczne we Francji Revues, a w Polsce Przeglądy, mają być odbiciem całości życia i różnych prądów myśli współczesnej, a mimo to nie chcą stoczyć się do roli zwykłej składnicy w której gromadzi się towar wszelaki, byle wartościowy lub nawet tylko pokupny. Redakcja pism takich nie przemawia zazwyczaj w imieniu włas-

nym, nie odgradza artykułów czy utworów, z którymi zgadza się w pełni od innych, które uważa tylko za ciekawe. Rola jej, zapewne trudniejsza, polega na odpowiednim doborze materiału, na właściwym skonstruowaniu numeru tak aby pismo, unikając ciasnej jednostronności, miało jednak swój wyraźny i odrębny charakter. A nie zdarza się chyba nigdy, by autor artykułu powoływał się w toku swego rozumowania na aprobatę czy wskazówki wydawcy lub zespołu wydawniczego, tak jak aktor na scenie nie przerywa swej roli dla wyjaśnienia publiczności, co mu zalecił reżyser.

Emigracja polska posiada tylko jeden miesięcznik kulturalny o wysokim poziomie. Już samo to stanowisko monopolistyczne wytycza mu wyraźne zadania, nakłada nań jasne obowiązki. **Kultura** polska wyrosła organicznie z naszych dziejów. Nakaz zależnych od okupanta władców chwili może tor jej tylko wypaczyć. Słusznie więc odrzuca pismo służące jej sprawie wszystko co nieprawdnie przybiera się w szatę narodową, mimo iż jest obce, inncrodne, narzucone. Ale z tym jednym zastrzeżeniem oczekuje przeciętny — a określenia tego nie używam w znaczeniu ujemnym — czytelnik "Kultury" obrazu jak najpełniejszego, szuka wypowiedzi wszystkich tych, którzy myślą samodzielnie i rzetelnie, których siła twórcza lub choćby tylko talent nie znajdują gdzie indziej ujścia. Nie szuka zaś utartych szlaków ani też głosu jednego z wielu "zespołów".

Czy o układzie i charakterze pisma decydować ma nie wydawca lecz czytelnik? Czy opłacanie niepokrywającej kosztów wydawnictwa prenumeraty uprawnia do stawiania warunków, do dyktowania programu tym, bez których energii i umiejętności "Kultura" nie byłaby ani powstała, ani co trudniejsze przetrwała? Pytanie to tylko na pozór drażliwe.

"Kultura" stała się siłą faktów sui generis fundacją, fundacją w której fundatorzy zmieniają się nieustannie, ale zarząd pozostaje wciąż ten sam. I właśnie zarząd ten, jedno czy dwuosobowy, od pierwszej chwili okazywał zrozumienie dla prawdy, iż niezależnie od takich czy innych form prawnych, niezależnie od zmiennych źródeł finansowych, kierowane przezeń wydawnictwo jest rzeczą publiczną.

Przyznać trzeba, że przeszłość redaktora "Kultury" nie tylko predestynowała go do pracy, której się podjął, ale winna mu była również ułatwić rolę dyrygenta kierującego orkiestrą bogato zinstrumentowaną bez faworyzowania specjalnie puzonu czy wielkiego bębna, rolę którą spełniał do niedawna i do której pragnęlibyśmy by znów powrócił. Podsycanie swego czasu "Buntu Młodych" nie było rzeczą łatwą, choć — jak niestety widzimy — mniej trudną niż osiągnięcie dzisiaj zgody starych. Prowadzenie niezależnej "Polityki" przygotowywało do obrony niezależności "Kultury". "Bunt" i "Polityka" były wbrew swej firmie raczej organami jednej generacji niż jednej grupy czy tylko grupki partyjnej i otwierały gościnnie podwoje swe pisa-



rzom bardzo różnych i nie zawsze ortodoksyjnych poglądów. Już wtenczas umiał Jerzy Giedroyc, jak mawiali przyjaciele, rozglądać się bystro choć oczyma umierającej sarny po otaczającym go świetle i wylawiać z zalewu ozonowej monotonii młode oryginalne nieznanne talenta. Jak Noe gromadził je w swojej arce i jak Noe, choć zapewne z innych powodów, lubił przygarniać je parami. Dwóch Zbyszewskich, dwóch Pruszyńskich, dwóch Bocheńskich, dwóch Zdziechowskich niech świadczy o tej prelekcji.

Kiedy już niechcący wymieniłem Giedroycia nie mogę pominąć drugiego nazwiska, które mniej oficjalnie, ale niemniej istotnie i głęboko zrosło się z "Kulturą". Jak podciągnąć Józefa Czapskiego pod jeden strychulec z innymi, jak zrobić, by głową nie przerastał otoczenia choćby to otoczenie nosiło dumne miano Zespołu? Czyż można w karby sztywnych prawideł i dyscypliny ująć tego pełnego fantazji i temperamentu indywidualistę, który żyje tak jak pisze, pisze tak jak maluje, a maluje do brze lecz co dzień inaczej?

Ma więc "Kultura" dane personalne po temu, by zostając sobą nie popaść w ciasny i doktrynalny ekskluzywizm. Cel ten może osiągnąć o ile zrzeknie się sztucznej zespołowej obudowy, zrzeknie się podpórek, które nie chronią jej od wstrząsów, ale zacierają wyrazistość i bogactwo jej sylwetki. Decyzja taka nie uszczępli jej od ataków, lecz nie pomniejszając jej odpowiedzialności określiła jej odpowiedzialności właściwe granice.

Juliusz Mieroszewski należy niewątpliwie do najinteligentniejszych publicystów polskich. Jest jednym z niewielu — może jedynym obok Wasiutyńskiego i Sakowskiego — którzy pełną miarę swych zdolności dali dopiero w okresie emigracyjnym. Artykuły jego czyta się zawsze z zainteresowaniem i co więcej z pożytkiem. Posiada odwagę samodzielnego myślenia i dobitnego formułowania swych myśli. Jeśli więc stawiane przezeń tezy traktować jako indywidualną wypowiedź młodego i gorącego pisarza, łatwo przejść do porządku dziennego nad pewnymi zastrzeżeniami w nich, obok rzeczy słusznych, naiwnościami, nadmiernym upraszczaniem w celach polemicznych zdania oponentów. Wolno mu ostatecznie w parę wieków po Kolumbie, a w parę lat po Mikołajczyku i wielu innych rodakach odkrywać na nowo Amerykę, wolno mu w sposób może nie dość przekonujący i nie dość liczący się z poczynionymi przez inne emigracje doświadczeniami zalecać określoną formę akcji politycznej w Stanach, wolno nawet nie doceniać znaczenia ciągłości rządowej i poglądy jej zwolenników zwalczać przez doprowadzanie ich ad absurdum. Inną jednak skalę wymagań stosować musimy do tych tez, inną miarę krytyki do ich błędów czy tylko niedociągnięć jeżeli stanowią już nie "subiektywną prawdę" autora lecz są uroczystym wyrazem opinii Zespołu.

To samo odnosi się mutatis mutandis do manifestu, który wyszedł spod pióra Ojca Innocentego Bocheńskiego. Nie śmiem spie-

raz się z uczonym profesorem Angelicum i Uniwersytetu fryburskiego o egzegezę Pisma Świętego choć trudno mi ukryć, że dana przezeń wykładnia trzynastego rozdziału pierwszego listu do Koryntian wzbudziła we mnie wątpliwość. Z większą odwagą twierdząc natomiast, że jego odżegnywania się od "lepszycy rodzin" i wysuwania żądania "równego startu dla wszystkich" nie tylko nie wnoszą elementów nowych do naszych koncepcji społecznych, ale w pewnej mierze przechodzą obok sedna przedmiotu. Równego startu dla wszystkich — tak jak i zapewnienia minimum przyzwoitej egzystencji — domaga się chyba cała współczesna oświecona opinia czy to w krajach socjalistycznych czy w kapitalistycznej Ameryce; dąży do niego w pewnej mierze nawet Hitler, odrzucając przy doborze chłopców do swych szkół partyjnych wszelkie różniczkowania poza nonsensownymi, ale będącymi kamieniem węgielnym całej konstrukcji narodowo-socjalistycznej, ograniczeniami rasowymi. Lecz istota zagadnienia leży w tym, jak ten równy start umożliwić. Ani najostrejsze przepisy prawne, ani nawet idealnie równomierny podział dochodu społecznego nie wystarczą w tym celu. Jeden z naszych profesorów, lewicowy polityk, zajmujący się zarazem z wielkim oddaniem swymi uczniami mówił mi, na podstawie długoletniej obserwacji, że na psychologię młodzieży polskiej nie wpływa decydująco ani tak zwana klasa społeczna ani też zażyłość środowiska, z których dany chłopiec czy dziewczyna pochodzą. Istnieje natomiast inna wyraźna linia podziału. Młodzież wychowana w rodzinach, których byt opiera się na samoistnym warsztacie pracy posiada pewne cechy wspólne, odmienne od tych, które charakteryzują dzieci osób pobierających stałe uposażenie. Syn gospodarza małorolnego czy rzemieślnika reaguje na szereg zjawisk tak samo jak syn obszarnika czy przemysłowca, ale inaczej niż syn wyższego lub niższego urzędnika a nawet robotnika fabrycznego. Oczywiście, żadna z tego rodzaju prób klasyfikacji nie jest w całości ścisła. Należy wniesć do nich szereg poprawek, z których najważniejszą może jest, że poziom kulturalny rodziny, jako ośrodka wychowawczego, niezależny często od jej poziomu materialnego i "rang" społecznej, wpływa decydująco na chłonność młodzieży i zdolność asymilowania nauki podawanej w szkole, a w późniejszym życiu rozstrzyga nieraz o zależności lub niezależności człowieka od własnego zawodu i własnej specjalizacji. Wyciągając z tych spostrzeżeń wnioski ostateczne można by dojść do stwierdzenia, że porządkany przez wszystkich a nie zrealizowany nigdzie równy start życiowy może zostać osiągnięty dopiero po nie tylko uspołecznieniu wszelkich środków produkcji, ale także ostatecznym przekreśleniu roli wychowawczej rodziny. Nie jest to cena, która — o ile rozumiem — autor "Manifestu" gotów by zapłacić.

Biorę przykłady dalsze. Ojciec Bocheński, stawiając postulaty słuszne, stwierdzając, że tak jak i inni nie wie jak je urzeczywistnić, zalecając znów, słusznie ale ogólnikowo, stosowanie me-



tody empirycznej, zarzuca emigracyjnemu społeczeństwu polskiemu, że idzie po linii najmniejszego oporu i formę niepodległościową, wypełnia treścią najlepiej mu znaną — tym co było przed wojną. Nie wiem czy zarzut taki w tym właśnie kontekście jest uzasadniony. Wydaje mi się, że liczne opracowania będące wynikiem studiów, przeprowadzanych czy to pod okupacją czy w Londynie przez organizacje polityczne i rządowe, że zwłaszcza przyjęta przez wszystkie stronnictwa niepodległościowe deklaracja Rady Jedności Narodowej, zawierają wprawdzie mniej ciekawych rozważań filozoficznych i historiozoficznych niż "Manifest Demokratyczny", nie ustępują mu jednak bynajmniej pod względem śmiałości i precyzji w wykreślaniu reform, mających przeobrazić przyszlą Polskę.

Ojciec Bocheński dowodzi wreszcie, że bolszewizm zawiera elementy, które potrafią do nas przemówić, bo wyrosły z duszy chrześcijańskiej i wywodzą się z marksizmu, ale że ten sam bolszewizm nie może być dla nas postępowym, bo Rosja jest zafanana i ponieważ tworzy odrębny od naszego krąg kulturalny nie wolno stawiać jej za wzór Europie. Mam duże wątpliwości czy ujemne cechy bolszewizmu przypisywać należy wyłącznie lub choćby głównie jego rosyjskości. Czyżby materialistyczny pogląd na świat nie zdołał doprowadzić w innym kraju do może odmiennych ale równie szkodliwych i nam obcych konsekwencji ustrojowych i społecznych? A zapewnienia o odrębnym, rosyjskim kręgu kulturalnym uderzają mnie w zestawieniu z przytoczonym w tym samym numerze "Kultury" zapytaniem, jakie Józef Czapski stawiał Niemcom w Berlinie: "Czyż narody ZSSR nie należą do Europy? Czyż możemy kwestionować europejskość Ukrainy?" Oczywiście, że stanowisko nasze co do wykreślenia granic Europy winno być ściśle przemyślane i sprecyzowane w świetle naszych interesów politycznych. W przyznawaniu lub odżegnywaniu się od kulturalnego pokrewieństwa z sąsiadami lepiej zachować ostrożność, bo, jak się okazuje, łatwo popaść w sprzeczność nie tylko z tymi sąsiadami, ale z członkami własnego Zespołu.

Uwagi powyższe kreślę nie dla pustej polemiki z Mieroszewskim, którego talent wysoko cenię, ani z Ojcem Bocheńskim, przed którego wiedzą i autorytetem chętnie chyłę czoło. Chodzi mi tylko o wykazanie, że rozprawy ich, by zastosować analogię z życia parlamentarnego, stanowiłyby może świetne wystąpienia poselskie, ale budziłyby zastrzeżenia jako deklaracja rządowa. Oświadczenia, składane imieniem zespołu rządzącego, bywają zazwyczaj wynikiem uzgodnień i kompromisu i są dla tego — taki jest już ich przywilej i obowiązek — sformułowane nudno i ściśle.

Pod rozłożystymi drzewami Maisons Laffitte skupiły się najznaczniejsze stajnie wyścigowe francuskie. My mamy tam tylko jednego konia, ale szlachetna to szkap, ta "Kultura" po Bun-

cie z Polityki. Życzę redaktorowi, by trzymał się mocno w siodle i tak jak dawniej nie oglądając się ani w prawo ani w lewo z hercem jechał na przeszkody. A sobie i innym przeciętnym czytelnikom "Kultury" życzę, by okazało się słuszne domniemanie, że Zespół "Kultury" to albo zespół nas wszystkich, albo też zwykli... — pluralis majestaticus!

Jan CHOMEŃKI.

## Nasza odpowiedź

"Kultura" otrzymuje nieraz listy, krytykujące ją to z prawa, to z lewa. Wśród nich dość wyjątkowe miejsce zajmuje powyżej zamieszczony list p. Jana Chomeńskiego. Ponieważ list ten pomoże nam wyjaśnić sprawę bardzo zasadnicze — jesteśmy wdzięczni autorowi i za jego nadesłanie i za ton naprawdę przyjaznej krytyki. Postaramy się odpowiedzieć mu równie rzetelnie i jasno.

Wydaje się, że dwa zarzuty w liście p. Chomeńskiego są zasadnicze i na nie przede wszystkim chcemy odpowiedzieć.

1) Nasz krytyk wolałby, żeby "Kultura" była jedynie intelektualnym domem towarowym, gdzie na stołach leżałyby pięknie zareprezentowane publiczności najrozmaitsze artykuły: od wspomnień gen. Składkowskiego po przekłady z poezji murzyńskiej. Czytelnik chodzący sobie po tym magazynie i wybierał co mu się podoba.

Mamy już dzisiaj pięćdziesiąty numer "Kultury" i dziwi nas, że tak uważny i tak przyjazny czytelnik jak p. Chomeński widział jedynie w artykułach "Kultury" chaos dżungli. Czyż naprawdę tak trudno zauważyć pewne linie wytyczne, które od pierwszego numeru redaktor próbuje wykreślać? Czy nawet krytyki i skandale, związane z reportażem Janty z Polski, poprzez zgorzenie wywołane tragicznymi artykułami Florczaka, a kończąc na brutalnej nagonce z powodu Miłosza, czy nawet linia tych ataków nie wskazuje na jedną z zasadniczych wytycznych pisma: nie odrywanie się od kraju i stąd wynikające nieustanne śledzenie przemian w Polsce bez elementów łatwej propagandy i czujny stosunek do nowej emigracji. Czyż drugą wytyczną nie jest walka ze skostnieniem emigracji i z jej oderwaniem się od rzeczywistości? Czy naprawdę stosunek do federacji europejskiej, do spraw ukraińskiej czy niemieckiej, czy też stosunek do Ameryki — nie wydają się p. Chomeńskiemu równie konsekwentnie realizowaną próbą krystalizacji poglądu na te sprawy? Zagadnienia te dyskutujemy czasami bardzo ostro. Weźmy na przykład Amerykę. Przy ca-



łym założeniu, że polityka polska musi opierać się na Stanach Zjednoczonych, nie wahamy się — jakże często — podkreślać błędów polityki amerykańskiej, jej niezrozumienia Europy. Ta krytyka zacieśnia jedynie współpracę polsko-amerykańską i tak to jest rozumiane przez naszych przyjaciół amerykańskich. Ale nie jest to eklektyzm typu "Wiadomości", gdzie przy każdym zagadnieniu robi się sałatkę obramowując np. artykuł Łobodowskiego o sprawie ukraińskiej Giertychem czy Zbyszewskim. Ponadto, od lat nie ograniczamy się jedynie do słów. Staramy się, by koncepcje lansowane przez nas na łamach pisma, były realizowane. Weźmy chociażby uniwersytet dla studentów z zażelazanej kurtyny w Strasburgu, nad którym pracowaliśmy przeszło dwa lata. Nie ograniczyliśmy się do mówienia o konieczności znormalizowania stosunków polsko-niemieckich, ale — mimo chyba większych trudności finansowych od reszty prasy emigracyjnej — potrafiliśmy dwukrotnie wystąpić w Berlinie i wysłać do Berlina naszego korespondenta, — pierwszego stałego korespondenta polskiego po wojnie. Tak samo w walce o federację Europy i o czynny wysiłek nasz w tej sprawie nie zamierzamy ograniczyć się tylko do rzucenia koncepcji brygad międzynarodowych, ale będziemy dążyli za wszelką cenę do ich realizacji.

Tak, "Kultura" zamierza być nadal wielkim intelektualnym magazynem, z tą jednak różnicą, że ten magazyn jest glebą, na której ścisły zespół "Kultury" próbuje krystalizować swoje opinie i opierać swoją działalność, starając się wykorzystać do tej pracy jak najszerszy wachlarz utalentowanych, rzetelnych współpracowników.

Nie trzeba być do tego megalomanem, ani opętanym "misją". Ale zdaje nam się jednak, że "Kultura" uchyliłaby się od odpowiedzialności, jaka na niej ciąży, gdybyśmy zrezygnowali z roli jaka w procesie formowania opinii publicznej przypada wolnej prasie w świecie. Elementarnym jej obowiązkiem jest nie tylko umieszczać przeróżne opinie i dyskusje, lecz wypracowywać własny sąd i tą drogą wpływać na kształtowanie opinii publicznej. Tak bowiem wygląda demokracja praktykowana na co dzień w słowie i piśmie.

2) Drugą sprawą, która niepokoi p. Chomeckiego jest słowo Zespół.

P. Chomecki przypisuje pospolitemu słowu "zespół" jakieś tajemnicze, magiczne, konspiratorskie, dyktatorskie właściwości. Słowo zespół w sensie w jakim używamy go na łamach "Kultury" nie ma nic wspólnego z mistyką podziemia, "czarną ręką", czy komitetem ocalenia publicznego. Nie pokrywa się nawet ze słowem "jedność". Na całym świecie, w każdym piśmie, jeżeli redakcja składa się nie z jednego człowieka, lecz z dwóch czy trzech, mamy do czynienia z zespołem. Jedynie Chesterton czy Niemojewski obywali się bez ze-

społu, gdyż ich miesięczniki były w całości pisane i redagowane przez jednego redaktora, którymi byli oni sami. A zatem w formalnym tego słowa znaczeniu, słowo zespół jest równoznaczne z pojęciem redakcji "Kultury". W skład redakcji wchodzi; redaktor i współpracownicy, przebywający w Maisons Laffitte pod Paryżem, oraz londyński korespondent "Kultury" — to wszystko.

W całym szeregu zagadnień, chociażby w tych, które wymieniliśmy wyżej, stanowisko "Kultury" jest rezultatem dyskusji i zbiorowej analizy w atmosferze całkowitego liberalizmu. Nad pewnymi, istotnymi zagadnieniami pracujemy zespołowo i wówczas współpracownik zapoznając ogół z tezami, które wypracowaliśmy wspólnie, używa sakramentalnego terminu "Zespół". Oznacza to, że nie jest to tylko indywidualny punkt widzenia. We wszystkich wypadkach autorzy przemawiają tylko w swoim własnym imieniu i wyrażają swoje własne poglądy.

Przez łamy "Kultury" przewinęło się około 400 autorów. Nie są oni, jak ironicznie sugeruje p. Chomecki, współodpowiedzialni za pismo, tak samo jak nie tylko szczupły "Zespół" jest trzonem "Kultury". Koło pisma powstała — jak to pięknie określił kiedyś Stanisław Vincenz — "niewidzialna redakcja". Jest to cały szereg pisarzy i przyjaciół, którzy może nie zgadzają się ze wszystkimi naszymi tezami, ale współpracując z nami stwarzają ten charakterystyczny klimat pisma.

Właściwie to byłoby wszystko. P. Chomecki porusza incydentalnie "Manifest Demokratyczny" Ojca Bocheńskiego, jak również publicystykę Mieroszewskiego. Nie wchodząc w analizę Listu do Koryntian, na co, przypuszczamy, Ojciec Bocheński odpowie z większą kompetencją, chcielibyśmy jedynie poruszyć stronę społeczną tego "Manifestu". Ma rację p. Chomecki, że większość stwierdzeń jest aż banalna. Tylko, że jest ona banalna w publicystyce, ale nie w polskiej rzeczywistości. P. Chomecki jest, jak mało kto, kompetentny, by wiedzieć, że przy teoretycznie najbardziej postępowym ustawodawstwie socjalnym, w Polsce nie potrafiiono rozwiązać zagadnienia pracy. Tak samo było z problemem wsi. O równym starcie syna robotnika czy chłopca lepiej nie mówić. Nie widzimy, by w czasie wojny lub po wojnie cośkolwiek się zmieniło. Mimo zapewnień p. Chomeckiego nie widzieliśmy i nie widzimy, by rząd londyński w czasie wojny przepracował jakikolwiek jasny i radykalny program społeczno-gospodarczy. Nie mówimy o deklaracjach rządu Sikorskiego, które były tym nierealne, że każdemu obiecywały złoty zegarek. Uchwały Rady Jedności Narodowej — pomijając całą ich błądliwość i ostrożność — powstały dopiero, gdy już działał "Komitet Patriotów" i gdy taktycznie trzeba było przeciwstawić się jego propagandzie. A przy tym, czy te uchwały, zarówno w sprawach społecznych jak i w sprawach narodowościowych (problem ukraiński), były w ogóle publikowane w prasie emigracyjnej? Jeżeli nie mamy



być białą emigracją, jeżeli chcemy wrócić do kraju nie tylko w oparciu o bagnety amerykańskie, to zagadnienia te muszą być uczciwie i konkretnie przez nas sprecyzowane.

Tak samo jeśli idzie o publicystykę Mieroszewskiego. Tu wyciera jakby "przerażenie", że coś się dzieje, że mogą powstać fakty dokonane. Starsze pokolenie emigracyjne choruje bowiem na niestrawność spowodowaną nadmiarem akcyj, których byli świadkami. Ta niestrawność dyktuje im zapał dla abstynencji i uwielbienie dla diety. "Wada" Mieroszewskiego jest to, że nie zadawała się sloganami, ale domyśla zagadnienie polityczne do końca. Że zawsze próbuje wyciągać wnioski w czasie i przestrzeni. I znów nie są to żadne rewelacje, ale w naszych warunkach trzeba ciągle "odkrywać Amerykę", mimo że została już odkryta i przez Kolumba i przez Mikołajczyka. I tę Amerykę z Mieroszewskim odkrywamy. Bo to w warunkach polityki emigracyjnej jest znacznie ważniejsze niż "Polska na Earls Court'cie".

Po 1920 roku zwrócił się do Piłsudskiego, który był jeszcze Naczelnikiem Państwa, Franciszek Potocki i zapytał go ze zgorznięciem jak może być tak niekonsekwentny, by jednocześnie rozmawiać z "Żubrami", to znaczy z przedstawicielami wielkiej własności ziemskiej na kresach i z "Wyzwoleniem", to znaczy z partią, która do reformy agrarnej na kresach parła. "Albo, albo" — powiedział Potocki Piłsudskiemu. Piłsudski zaś odpowiedział mu swoim śpiewnym, litewskim akcentem: "Ot, widzi Pan, cała Polska to jest wielki kołtun, trzeba przedtem tę głowę dobrze wyczesać, żeby każdy włos był z osobna, a wtedy będzie można, może, kosę zapleść".

To powiedzenie Piłsudskiego może się zdawać śmieszne jedynie totaliście. Myślimy, że p. Chomecki oceni głębiej tej odpowiedzi. To niepocholebne dla Polski porównanie mogłoby się tyczyć chyba jeszcze bardziej naszego społeczeństwa na emigracji. I nie trzeba być Piłsudskim, ale trzeba było się od niego uczyć, że zrozumieć, że wykrystalizowanie poglądów na zagadnienia, od których zależy nasza przyszłość, tworzy się nie przez zespół, taki jakim go rozumie p. Chomecki, ani przez chaos dzungli, ale przez nieustanną pracę, operującą materiałem nieraz sprzecznym, operującą jednak nie dla samej przyjemności zestawiania kontrastów, ale w celu wykrystalizowania, w miarę lat, odpowiedzialnego stosunku do wszystkich zagadnień współczesnych i wypracowania punktów wyjścia do działania i walki o przyszłość.

**ZESPÓŁ "KULTURY".**

## Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

La Livraison courante de notre revue est son 50<sup>e</sup> cahier. Considérant les conditions spécifiques de l'existence des émigrés, la parution régulière durant plus de quatre ans d'une revue de cette ampleur et d'un tirage égalant les tirages des revues françaises est un fait digne d'attention.

Nous trouvons en tête de ce 50<sup>e</sup> numéro une déclaration, signée par une vingtaine de représentants des intellectuels et hommes politiques polonais réclamant une attitude plus bienveillante à l'égard des nouveaux émigrés, de plus en plus nombreux. Tout ostracisme vis-à-vis des personnes récemment expatriées met un frein à la lutte contre le stalinisme et engendre des dissociations fatales pour la normalisation des relations en Europe Orientale de l'avenir.

Le récit de Stanislas Vincenz intitulé « Syrojidy » est une légende des Houtzouls (Carpathes Orientales) d'une étonnante actualité.

R. Palestre, dans une importante étude, analyse la musique contemporaine, le tournant critique qu'elle traverse et la situation qui lui est faite en Occident et en Orient.

Dans la partie historique, W.P. Malinowski nous donne des détails inconnus concernant les dernières années du maréchal Rydz-Smigly, commandant en chef de l'armée polonaise en 1939.

J.D. Kowalewski rapporte des citations extraites d'un mémoire du XVII<sup>e</sup> siècle écrit par un gentilhomme polonais; membre d'une mission commerciale envoyé à Moscou, il fut arrêté et tenu sous les verrous pendant deux ans. Les expériences de ce gentilhomme rappellent d'une façon surprenante les méthodes soviétiques actuelles.

Dans la partie politique J. Mieroszewski donne un aperçu sur la politique des États-Unis vis-à-vis de la Russie, soulignant les tendances représentées par Kennan, que l'Amérique ne combat pas la Russie mais uniquement le régime soviétique. Il en résulte qu'après l'effondrement de l'U.R.S.S. l'influence de la Russie ne va pas diminuer mais s'accroître. L'auteur de cette étude souligne l'importance d'une fédération de l'Europe Orientale comme seule défense contre un nouvel impérialisme russe, fédération qui devrait être préparée sans retard.

Marie Czapska, dans son reportage, nous parle des écoles anglo-polonaises en Grande-Bretagne et de l'organisation du Committee of the Education of Poles in Great Britain qui a pris à sa charge l'instruction de toute la jeunesse de l'émigration polonaise. Les sommes fournies au Comité par le Gouvernement britannique au cours des années 1947-1952 s'élèvent à 7 milliards et demi de francs.



La critique des livres nous présente les éditions de l'émigration ainsi qu'un important compte-rendu de l'Histoire Romaine par N.A. Machkine, manuel obligatoire dans les écoles de l'U.R.S.S. et des pays satellites. L'analyse de ce manuel témoigne d'une complète faille de études historiques en Russie Soviétique où cet enseignement est soumis non seulement aux exigences de la tactique mais aussi aux propos de Staline tenus au hasard des circonstances. L'auteur de cette critique est un professeur de l'université de Moscou, évadé de la dernière heure.

Administracja „Kultury” otrzymała cały szereg reklamacji od czytelników w Stanach Zjednoczonych, że nie otrzymali październikowego numeru pisma.

Opóźnienie w doręczeniu czy nawet zaginięcie numeru było spowodowane strajkiem dokerów w New Yorku i administracja jest bezsilna. Drukując pismo w nakładzie ściśle dostosowanym do ilości prenumeratów nie jesteśmy w stanie, mimo najlepszych chęci, wysłać numeru październikowego ponownie.

#### DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”.

Zawiadamiamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji lub do przedstawiciela za pośrednictwem którego „Kultura” jest prenumerowana.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: M<sup>me</sup> Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1951



# KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

#### PRZEDSTAWICIELSTWA

**FRANCJA:** Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
**W. BRYTANIA:** «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.  
**WŁOCHY:** Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma  
**SZWECJA:** Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm  
**NIEMCY:** «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone  
**ARGENTYNA:** Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires  
**KANADA:** Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; Foreign Languages Advertising Co., 1523 Drummond, Montreal, Que.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E., Hamilton/Ont. Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcl. Notre Dame de Grâce, Montreal/Que; Stanisław Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.  
**U.S.A.:** Józef Biaśiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Plewczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 200 East 21 st., New York 10, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.  
**BELGIA i KONGO BELG.:** Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.  
**AFRYKA POŁUDNIOWA:** Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg  
**AUSTRALIA:** «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney  
**BRAZYLIA:** Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo  
**SZWAJCARIA:** Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève  
**MEKSYK:** Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin

Egz. poj.	Prenumerata	
	½-rocznia	Rocznia
150 fr.	900 fr.	1800 fr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
250 lir	1500 lir	2500 lir
3 kr.	15 kor.	28 kor.
2,50 DM	15 DM	25 DM
8 peso	48 peso	96 peso
75 cent.	4 dol.	6 dol.
30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
15 cruz	90 cruz	150 cruz
2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

"Kultura"  
Paryż  
9.2.51



P. Jerzy PRĄDZYŃSKI został statym korespondentem „KULTURY” w Berlinie. Adres: Jerzy PRĄDZYŃSKI, Berlin-Wilmersdorf, Rüdeshheimer Platz 1, telefon - 837711.



Przypominamy jednocześnie, że korespondentem londyńskim „Kultury” jest p. Juliusz Mieroszewski — 21, Fentiman Road, London SW 8, telefon REL. 41-33.

---

*BBC requires male Programme Assistant for Polish Section. Requirements include bi-lingual knowledge of Polish and English an ability to translate perfectly either way, ability to read fluently in Polish at microphone, knowledge of contemporary conditions in Poland and of British way of life, interest in politics and economics and wide knowledge of British and international affairs. Appointment not normally for more than three years. Salary £655 with prospects of promotion. Applications to Appointments Officer, Broadcasting House, London, W.1. marked „Polish K” within a week.*

---

“KULTURA” oraz wszystkie wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu są do nabycia w

**La Librairie “VARIÉTÉS”**

1456 — 8 Avenue Union, Montreal/Que — KANADA

---

**Cena 150 frs.**

50